

Zapolska Gabriela

NOWELE

Tom I

AWANTURNICA

Starzec poruszył się niespokojnie na fotelu.

— O!... o!... — Wybełkotał — dwie muchy, dwie... tu i tu... wypędzić!... wypędzić!...

Ręką bladą, bezkrwistą migał w powietrzu, ukazując na dwie muchy kręcące się w słonecznej strudze, płynącej z okna na tafle podłogi.

— Muchy! muchy! — powtórzył, śledząc z zajęciem kręcące się w świetle owady, a oczy jego szklane, trupie zapalały się chwilowo jakby iskrą życia... Z ciemnego kąta pokoju podniosła się teraz kobieta i prosto szła ku słonecznej strudze, wlokąc za sobą tren czarnej, sukiennej szaty.

— Muchy! Flora! Muchy!... — i bełkotał starzec.

— Uspokój się pan!... wypędzę je natychmiast!...

Wyjęła z kieszeni chustkę i machnąwszy kilka razy, spędziła owady w kierunku okna. Uchyliła storę, muchy z brzękiem wypadły do ogrodu, stora zapadła i razem z nią mignęła złota struga światła. Ciemny półcień zapanował w pokoju.

Starzec zakaszłał kilka razy i ostrożnie wysunął przed siebie nogi poobwijane płatami flaneli.

— Flora!... nogi!...

Kobieta podeszła szybko i na ziemi przyklękawszy powoli, uważnie nogi starca na stołeczku miękko wysłanym układać poczęła.

Pochylona tak, cała czarna i spowita w fałdy prostej wdowiej sukni, miała w sobie majestat kobiety pochylonej

nad zapadłą w ziemię mogiłą; czarna koronka spadała z jej głowy na plecy cokolwiek wypukłe, jakby już ułożone do dźwigania ciężaru i chylenia się ku ziemi.

Płaski, brązowy zegar stojący na mahoniowej serwantce wybił dwunastą.

Cienki, drżący głosik rozlegał się jęcząco wśród ciszy kaplicznej, zalegającej pokój.

Jeno szmer drzew w ogrodzie spoza story dolatywał stłumiony, jakby lękliwy, nie chcąc kłócić grobowego spokoju, w którym pławiła się postać dogorywającego starca.

Kobieta tymczasem, ciągle klęcząc, poprawiała tasiemki wiążące dokoła nóg flanele; palce jej trochę krótkie, grube, o płaskich paznokciach, poznaczonych białymi plamami, migwały ciemną barwą na tle białej tkaniny.

— Czy podać panu bulion? — zapytała wreszcie cichym, niskim głosem. Stary skrzywił się, otworzył bezzębne usta i jak małe dziecko, chcące się uwolnić od nie milej mu łyżki lekarstwa, wykrztusił:

— Jeszcze trochę!

Kobieta nalegała.

— Wybiła dwunasta!

— Słyszałem, przecież nie głuchy!...

Zapanowało milczenie.

Kobieta podniosła się z ziemi i stała teraz na środku ciemnego pokoju, zlewając się z czarnym cieniem dokoła panującym. Zaledwie kontury jej silnych, krępych ramion rozróżnić można było, rysunek głowy, bujnym, czarnym włosom pokrytej, niknął w przestrzeni i tylko jeszcze występowała maska twarzy o rysach ostrych, południowych, nosie krogulczo zagiętym, ustach jakby boleścią skrzywionych.

Twarz, ta cała pożółkła ciemniała plamami oczodołów prawie sinawych, w których czerniły się olbrzymie i jakby gazą smutku przyćmione źrenice; brwi silnie zarysowane zrastały się prawie nad nosem i ściągały się w głęboką, jakby nożem przeciętą, zmarszczkę.

Twarz ta — była całą księgą.

Była to księga żałoby i wielkiej, potężnej boleści.

I gdy tak kobieta ta stała jakby wrośnięta w ciemną podłogę czarnymi fałdami swej szaty, cała nieruchoma, otoczona ciszą i wpatrzona w bielejącą twarz i łysą czaszkę starca, zdawała się być posągiem na własnej mogile, posągiem, który milczeniem swym skarży się Bogu i w ciemnej głębi ust, boleścią skurczonych, ma całą przepaść skarg, jęków, całą gamę niedoli i opowieści, we łzach poczętych i w łzach tych zastygłych.

Lecz znów głos starca jękliwy i płaczliwy rozległ się w przestrzeni.

— Listu nie było?

Kobieta drgnęła i ręce zacisnęła kurczowo koło szyi.

— Nie, panie!...

Starzec poruszył się niespokojnie.

— Dawno już listu nie było... ha, Flora? co? Flora głowę opuściła na piersi.

— Trzy miesiące... — odparła z wysiłkiem.

— Trzy miesiące!... Aby nie co złego!... Boże uchwój!

Chwilę siedział skurczony, wpatrzony przed siebie, z rękami na kolanach bezwładnie wyciągniętymi.

Myślą znękaną i w szmaty porwaną teraz za synem gonił, który znikł mu nagle sprzed oczu w całej krasie, w całym rozwoju młodzieńczej siły i teraz z oddalenia słał listy rzadkie, ciągle jednostajne, odczytywane mu przez Florę wśród ciszy letnich wieczorów lub w szarym świetle zimowych poranków. Co robi tam sam z dala od serca rodzicielskiego? Co, robi i kiedy powróci?

Starzec czuje, że w piersiach reszta życia się kołacze i resztę tę przedłużyć by rad het!... w nieskończoność, aż

do chwili, w której Janek jego do nóg mu przypadnie i drżącą dłoń ojca w swoje ręce pochwyti!

Janek!...

Widzi go, jak z fantazją tuż pod oknami konia dosiada i przeciągłym głosem psiarnię ku sobie wabi.

I zdrów, czerstwy, pełen siły i zdrowych soków ostrogami o strzemiona dzwoni, cały rumiany od krwi gorącej, która mu wartko w młodych żyłach płynie.

I wszystko mu wtedy darowuje ojciec w tę wizję wpatrzony, wszystkie wybryki junackiego temperamentu, małżeństwo z tą czarną Mołdawianką, wbrew woli rodziny pod dach wprowadzoną, cały mezalians z tą Florą „awanturnicą”, bez kąta i dachu, która długi czas była punktem niezgody pomiędzy ojcem i synem. Dziś, w ciemnym kącie dworu, pozostali tylko we dwoje, on stary i dogorywający, ciągle w dal za synem wpatrzony, i ona, „awanturnica”, u nóg mu klęcząca, schylona, cicha, pokorna, nocę całe na czuwaniu trawiąca, na czuwaniu koło jego łoża, na którym wije się bezsennie, ręce reumatyzmem pokrzywione w przestrzeń wyciągając.

Zeszła z oficyny, do której była wygnana wołą jego żelazną, na wieść o jego zniedołężnieniu, zeszła już w czarnej, wdowiej szacie i stanęła przed nienawidzącym ją teściem.

— Pozwól pan, poduszkę ci pod nogi podłożę!...

I przyklękła mu u nóg miłości pełna, przenosząc przywiązania serdecznego część, jaką w piersi dla męża żywiła, na tego starca, który chmurny i milczący usługi jej przyjmował.

Nie odpychał jej wszakże przekleństwem jak dawniej, nie groził, do oficyny nie wypędział, projdyświtką nie nazywał...

I Flora we dworze została, siostrą miłosierdzia się czyniąc, bez ślubów pokory — pokorna, bez przysięg poświęceń — miłosierna.

I oboje w cieniu zamkniętych okiennic i opuszczonych stor dławiając się, żyli teraz jedną jedyną myślą, która w ich mózgach, jak wizja przedśmiertna się wpiła, w serce wrosła, w duszę, z myślą o tym, który był gwiazdą ich życia, płomieniem jasnym, rzuconym na tło ciemne, liściem zielonym wśród przegniłych płotów w jesieni z drzew spadającym.

Starzec dzieciłniał, kurczył się, krzywił, strasznym bólem do ziemi gnieciony, lecz ciągle jeszcze bezkrwistą myśl posyłał w dal za synem, który dla niego żył, istniał, ruszał się, był ciałem, istotą o nim nawzajem myślącą, od czasu do czasu tylko przesyłającą mu wieści kreślone na kawałku grubego, ordynarnego papieru.

Z szmaty tej zapisanej czerpał nową chęć do życia i pazurami silnej woli życia się trzymając, wybladłe oczy ku Florze zwracał, pytając:

— Listu nie było? Mołdawianka wtedy kurczowo ręce koło szyi zaciskała, a po twarzy jej przesuwiał się cień, jakby nagle bezdenna rozpacz czarnym swoim welonem powiała...

Odpowiadała często:

— Nie, panie!

On wtedy mówił, chyląc drżącą głowę:

— Przeczytamy list ostatni raz jeszcze... dobrze, Flora? ha? ...

Kobieta zagryzała do krwi usta.

— Dobrze, panie! — odpowiadała z wysiłkiem.

I oczy jej zasłaniała mgła łez, a myśl biegła w dal, gdzie pod ciężarem ziemi sztywniał już szkielet bezduszny w trumnie z prostych desek skleconej.

Czasem jednak, gdy starca dręczył niepokój zbyt wielki i ojciec ten cierpiał bardzo, po osamotnionych komnatach dworu włóczęąc się z jękiem i narzekaniem, Flora biegła do swojego pokoju i tam w ciszy kaplicznej, na kawałku grubego papieru tworzyła list niby z oddali

przysłany, który nazajutrz miała odczytać teściowi, do snu go słowami syna kołyszając. .

Z dala, spoza otwartych okien, w grób ten żywy, w którym istniała kobieta, płynęła ciepła woń macierzanki świeżo razem z trawą skoszonych i na skrzydłach wieczornej ciszy tam w przestrzeń idącej.

Czasem żuraw zaskrzypiał w studni i koń pojony zarżał, łeb od koryta wysoko podnosząc.

Czasem, nagle, dziewczyna się zaśmiała przeciągle, zdrowo, a głos jej po nocnej rosie gamą srebrzystą się słał i jeziorko uspięte przeleciawszy, o ścianę czarną boru, w którą zapadało purpurowe słońce, się obił.

A Flora siedziała tymczasem schylona nad wielkim arkuszem papieru, mając zamiast serca w piersi jedną wielką ranę, zajątrzoną i bolącą, ranę, która krwawymi łzami płakała, wyjąc z boleści jak pies na rozstaju, nagle blaskiem miesiąca obłany. Przed nią, wśród listków szerniałej róży i gwoździków, leżało kilka listów męża, mających w sobie żółtość trupiej twarzy w świetle gromnicy skąpanej, a ona — wzniosła fałszerka relikwii tych po zmarłym, tworzyła przez łzy list wesoły i nadziei pełny, list, który zwiastując bliskość powrotu, miał podtrzymać gasnące życie starca i ostatek dni jego rozświetlić.

Purpurowo-żółte blaski grały od zachodu spalonym światłem po rozłożonych papierach migocąc, niektóre ginęły w fałdach czarnej sukni Flory, inne twarz jej nad listem pochyloną, wąskim, złotym paskiem na konturach bramowały.

Ona tymczasem pisała ciągle, nie ocierając łez, które jej gradem z twarzy ciekły; łzy te miały już swoje ścieżyny, po których płynęły gorącymi, lśniącoymi strugami.;

Ze słów „droga ty moja!" — kobieta starała się odtworzyć najdokładniej „drogi ojcze!" — Doszła już w tym fałszu do pewnej wprawy.

Co kilka miesięcy tak chyliła się nad pustą ćwiartką papieru, targając rękę trupa i każąc mu pisać, otwierając mogiłę z siłą zrozpaczonej lwicy, podnosząc wieko trumny

dla wydobycia z niej wesołego śmiechu, w którym grało już pośmiertne zawrodożenie puszczyka. Kłamała wśród światła zachodzącego słońca i ciepłej woni wołyńskiej ziemi od sosen do nieba wierzchami sięgających płynącej. Kłamstwo to łączy jej serdeczne bielity, a gdy wreszcie po długiej pracy i męce zdołała podpisać na ukończonym liście położyć, siedziała nieruchoma, wpatrując się przez mgłę łez, w słowa przed chwilą przez siebie skreślone:

„Zdrów jestem jak nigdy, interesa idą mi dość pomyślnie i sił tyle w sobie czuję, że zda się pieszko przestrzeń nas dzielącą przemierzyłbym i do Gorodyszcz zawitał...”

Purpurowo-żółte blaski mieniły się teraz na chwilę w barwę fioleto, opływały głowę schyloną kobiety i gasły powoli, w stalowe ciemne tony przechodząc.

Na tle otwartego okna, poza którym szeroka szarzejąca już przestrzeń się słała, czarna sylwetka Flory, jaśniejszymi konturami po brzegach obwiedziona, rysowała się z prostotą archaicznych arcydzieł, z wiarą w sercu przez prostych mnichów tworzonych.

Siedząc tak nieruchoma, milcząca, przeżuwała w myśli całe ubiegłe życie swoje i nigdzie prawie nie znajdowała jaśniejszego punktu, na którym wesprzeć się byłaby mogła.

Zawsze i wszędzie to słowo „awanturnica” drgało zawieszone przed nią jak uparcie powracająca nuta trywialnej, tanecznej zwrotki, którą się zasłyszało w chwili śmierci moralnej, gdy serce z bólu konało, a dusza szła na rozdroże.

Przygarnięta przez magnacką rodzinę, ciągle w dum-

nej swojej piersi miała ranę ciężkiej obrazy godności swojej własnej, a w oczach ten smutek, który drga w ślepiach bezdomnego szczenięcia na widok kości mu wzgardliwie przez obcych rzuconej.

I gdy Janek, uśmiechnięty, wesoły jednak u ojca, pana z panów, przygarnął ją ku sobie, nagle jej dusza gorąca otwarła się jak kwiat wspaniały, a oczy nabrały blasku dawniej jej nie znanego.

Lecz blask ten zagasł wnet pod wpływem ciężaru smutków i upokorzeń. Janek walczył ciężko z ojcem nie pozwalającym na

„mezalians" z.....awanturnicą", Bóg wie skąd przybyła, biedną i osamotnioną...

Chłopiec miał krew gorącą, uparł się, poszedł przeciwko rodzicielskiej woli; Florę poślubił i odważnie ją pod dach własny wprowadził.

Starzec szalał, rozerwać małżeństwo pragnął, synowej widzieć na oczy nie chciał, poniewierał nią i gardził.

Syn rwał się w dwie strony: do ojca, do żony, która milcząc znosiła wzgardę i tylko oczy jej otwierały się coraz szerzej, jak dwie bezdenne przepaście, chłonece w siebie całą moc rozpacz, smutku i boleści...

I nagle przyszła chwila, w której mąż — żonę, syn — ojca opuścić musiał dla interesów handlowych.

Janek poszedł w dal szukać fortuny, szczęścia i... więcej nie wrócił.

Gdy Florę wieść o śmierci męża doszła, zdało się jej, że pomiędzy nią i światem zapadła czarna, krepowa zasłona. W ból swój wsłuchana, łzy dławiła, aby starzec, około którego teraz jak matka chodziła, nie dostrzegł tej strasznej rozpacz... Czytała mu listy syna, czytała je po kilkadziesiąt razy, drżąc zawsze jak liść z wysiłku, szczytna swym poświęceniem, jedyna teraz podpora człowieka, który obrzucał ją dawniej obelgą, a teraz śledził poza jej żalobną szatą niespokojnym wzrokiem, pytając ciągle: — Nie ma listu? co? Flora! Nie ma? ha!...

Przyćmiona lampa zielonym abażurem rozjaśniała zaledwie małą przestrzeń sypialni, reszta tonęła w cieniu...

Na wielkim, wysokim łożu w toczony kolumny, pod stosem ciepłych kołder spoczywał teraz starzec, trawiony bezsennością, na pół oparty o wysoko sterczące poduszki.

Na tle ciemnego dywanu, którym ściana była obita, majaczyła jego pierś w flanelę białą spowita, żółta twarz

o zapadłych policzkach i lśniąca czaszka, po której migotało białe, bielmem zasnute światełko.

Ponad nią, ponad tą głową łysą i drżącą, ponad tą postacią, więcej do szkieletu niż do żyjącego człowieka podobną, odcinał się na tle czarnej tkaniny olbrzymi krucyfiks z kości słoniowej, poźółkły już, z palmą i gromnicą zatkniętą poza ramiona. Opodal, przy stoliku, na którym stała lampa, siedziała Flora, ukazująca w półświatle profil swój wymęczony, z głową pochyloną nad ćwiartką zapisanego papieru.

Wszystkie inne sprzęty toneły w cieniu tajemniczym, nie występując nawet, żadnym niepewnym punktem, wszystko zlewało się w bezkształt masy, czarne i niewidzialne dla oka...

Spoza przymkniętych okiennic dolatywało przeciągłe wycie psa, który nad drogę około studni wiodącą wybiegł i zawodził żałośnie, jak puszczyk na rozstaju opadły.

— Czytaj, Flora...

Kobieta, w wycie psa wsłuchana, drgnęła na głos starca i pochyliwszy się nad ćwiartką papieru, cichym, stłumionym głosem czytać zaczęła:

..., „Sądzę, iż wrócę niebawem, a interesa tak pójdą dobrze, że będę mógł cię uściskać niezadługo.”

Urwała nagle; z czoła jej pot spływał dużymi kroplami...

— Czytaj, Flora...

Kobieta podniosła w górę oczy i westchnęła ciężko, jakby z sił opadła i dalej na swą Golgotę wstępować nie była w stanie.

Lecz silną widać była ta wielka dusza wdowy wskrzeszającej syna dla utrzymania życia ojca, bo znów czytała...

Tymczasem za oknami, na wąskiej drożynie wyła stara suka, wyła przeciągłe, żałośnie, jak tylko psy wietrzące trupa wyć umieją...

I Flora zasłoniwszy nagle twarz rękami, cofała się w tył i cicho płakała... a łzy jej gorące wzdłuż palców ciekły i na żałobną szatę spadały... spadały...

BYDLĘ

Zaturkotało i na drodze od miasta wiodącej podniósł się tuman kurzu.

Niewielki koczyczek zielony, ciągniony przez czwórkę w poręcz sprzężonych koni, stuknął silnie o belkę położoną na poprzek, tuż przed chatą

Hieronima i ku bramie dworskiej podązał.

Na koźle, w szaraczkowy surdut ubrany stangret i lokaj w długim czarnym angielu, zetknęli się gwałtownie ramionami, zaklęli i do równowagi wrócili.

Z koczyka tymczasem na obie strony, jak drogowskazy, sterczały dwa olbrzymie cybuchy, ciemne, z fajkami wypchanymi silnie tytoniem. Pan hrabia i pani hrabina palili w milczeniu, rzucając w jasność liliową wołyńskiej przestrzeni całe kłęby białego dymu. Pudełko z tytoniem stało na przednim siedzeniu. Pani hrabina miała płaszczyk i twarz lśniącą od nadużycia gliceryny. Pan hrabia miał prześliczne turkusowe oczy, wprawione w poźółkłą maskę zgryzionego wątrobiarza. Koczyk stanął przed bramą. Lokaj zlął powoli i za wrota pociągnął, pasące się obok stado gęsi uciekło z przerażającym wrzaskiem. Koczyk próg bramy przestąpił wstrząsając woźnicą, pudłem, panią hrabiną, panem hrabią i obydwoma cybuchami. Gęsi, drąc się, leciały wśród masy traw, łopocząc skrzydłami, i hen, aż pod tajemnicze gąszcze ożyn się dostawszy, przypadły do ziemi, zdyszane i srodze zmęczone. Lecz już na ganku dworu powstał ruch i w kredensie Janek, czytający „Resurrecturi” w „Tygodniku Ilustrowanym”, otarł nos w znaczący sposób.

— Czort diabła niesie! — wyrzekł półgłosem.

Znad tapczana surdut zdjął, poślinił welwetowy kołnierz, na którym łupież silnie przyłgnął, surdut nadział i powłócząc nogami, na ganek podążył. Już pani sędzina pędziła od strony garderoby, pokrzykując cienko:

— Z Hati! Hrabstwo z Hati!

I szybko odwróciła się do Janka, który melancholijnie spod spadającej hyry na swą panią spoglądał.

— A ty mi się nie upij, bo jak Boga kocham, tak już z tobą koniec zrobię! Słyszysz?

Janek brwi zmarszczył i za poły surduta obydwoma rękami się schwyił.

— Słyszę, jaśnie pani! — odparł.

Koczyk z głuchym szumem już przed ganek zajechał. Sędzina wpadła we drzwi, prowadzące do głębi dworku, a Janek, ze specjalnym gestem ze stopni ganku schodząc, drzwi wchodowe hrabstwu ukazywał.

— Państwo w domu? — zapytał hrabia.

— Jaśnie państwo są! — odpowiedział lokaj.

Cybuchy i tytoń na rękach lokaja wędrowały już w głąb domu.

— A uważaj, kanalio, abys cybucha nie przetrącił! — dodał w formie uwagi hrabia.

* * *

Nie, to było nad jego siły!

Musi pójść do karczmy.

Chodzi, chodzi naokoło stołu, pociąga obrus, karbuje sól w solniczce, ustawia garnuszeczki ze śmietanką. Na środku piramida z poziomek krwawi się plamą purpury wśród zielonych liści. Po obu stronach, na złożonych porcelanowych koszyczkach rudym tonem znaczą się świeże obwarzanki, cukier miałki piętrzy się piramidką prawie skrzącą w promieniach zachodzącego słońca.

Poprzez okno na wpół otwarte płynie cała taka struga ognista, przecięta smukłością topoli, sterczących dokoła dworu.

Jeszcze bydło z pola nie wraca.

Nie słysząc kołatek ani hukania pastuchów poza wodą, hen poza stawem.

Janek ręce po napoleońsku na piersiach założył i stanął koło okna.

Włożył liliowy atłasowy krawat i włosy jasnoblonde, w których srebrne nici się biela, olejkiem zlał i z czoła odgarnął.

Czeka, aż kucharz kurczęta z przypadłej opodal dworu kuchenki do kredensu przyniesie.

Wtedy samowar, syczący w kredensie, do jadalni wniesie, na stoliku obok ustawi — otworzy drzwi do salonu i zaanonsuje niskim głosem:

— Podano do stołu!

Tymczasem przecież coś go we wnętrzu ssie jak wąż, a ślin w ustach pełno.

Janek wie dobrze, co to znaczy...

Czczo mu; do karczmy go ciągnie.

A jest ona tam po drugiej stronie stawu, ta karczma cała czarna mimo czerwonej jasności słońca.

Janek drogę tę od lat trzydziestu zna.

Zmienił ją tylko od chwili ożenienia. Trzeba bowiem było ze dworu do karczmy właśnie koło chaty iść, chaty, którą mu jaśnie pani dała, kiedy Warkę z garderoby wziął i z „werczem” do dworu przyszedł.

Pani chatę i Warkę dała, ale Warka darła się o wódkę z Jankiem i zaraz na próg chaty wypadła, za poły surduta chwyciła i zawodziła het, jak suka, gdy jej szczenię odbierają.

Wiedziała Warka, że jasnie pani ma tego pijaństwa Jankowego dosyć i lada chwila go z kredensu wygna precz.

Tym bardziej że Janek nie pił całe miesiące i tylko gdy gość się zjawił, wnet do karczmy pędził i za siwuchę chwycił.

A przecież trzydzieści lat już w Horodyszczu przetrwał służąc wiernie, nieposzlakowanie uczciwy, pełen arystokratycznych przesądów, właściwych wołyńskiemu chłopu, cerując dywany i szlafroki pana sędziego — objając sofę w buduarze panny sędzianki — obszywając gościnne kołdry na trawie dziedzińca — kolekcjonując „Tygodnik Ilustrowany”, bijąc Warkę i najstarszą córkę, Paraszkę, tyranizując chłopaków kredensowych i leżąc bez pamięci,

od czasu do czasu w krzakach berberysu, które bukietem blaszanych liści i delikatnych jagód wznosiły się na środku dziedzińca.

Pani sędzina nazywała go wtedy „bydlę”. Była to nazwa mniej wykwintna niż dosadna.

Pani sędzina jednak była córką ekonoma. Stąd miała dużo poczuć arystokratycznych wrodzonych! ...

Lokaj — a zwłaszcza pijany lokaj, był dla niej bydlęciem!

Hrabia mówił na swoją służbę „kanalia”.

Pani sędzina mówiła „bydlę”.

Pani sędzina nie lubiła chłopów i nie wdawała się z nimi w bliższe stosunki. Tolerowała tylko chłopki, gdyż jej przynosiły kury albo jaja, związane w szmaty.

Pan sędzia ciągnął namiętne starke rano i wieczorem, a czasem i w nocy.

Pani sędzina znajdowała to naturalnym.

Co innego było z pijaństwem Janka!...

Co wolno panu — nie wolno bydlęciu...

Pani sędzina mówiąc o pijaństwie męża mówiła „słabość mego męża”.

Pijaństwo Janka było zbrodnią, nie chorobą.

Lokaj nie mógł być chory!

Organizm jego nie mógł żądać alkoholu.

Janek pijany — był bydlęciem.

Pan sędzia pijany był__ słabym!

Przekonanie to wpoila pani sędzina w Warkę.

Dlatego teraz Janek miał schowane w oczerecie czółno i drag i poprzez staw się do karczmy Szmula dobijał.

Kiedy bowiem szedł przez wieś — a Warka broń Boże „cupała” w ogrodzie za chruściakiem przy burakach albo tytoniu, to porywała się z wrzaskiem, aż jej medaliki po piersiach dzwoniły.

— A doloć moja, dolo zatracona! ... — krzyczała, przez płot przełaząc, rozdzierając spódnicę, zapaskę, z „dołami” najeżonymi dokoła twarzy jak faworyty pana sędziego.

I był to lament tak wielki, że wszystkie baby, jakie były w chacie, wypadały na drogę z koszulami zawiniętymi po kolana,

z zapaskami ubielonymi mąką, ta od łatania świty, ta od przewijania dziecka. Wszystkie otaczały Janka i Warkę — łamały ręce, kiwały głowami — a dokoła podskakiwały dzieci w zgrzebnych koszulach, czasem zupełnie nagie, z masą jasnych włosów na spiczastych głowach i kwiczały prosięta zbiegłe ze źle domkniętych chlewików...

Teraz — Janek już potrafił unikać tej gorącej łaźni. Wprost do stawu szedł, w czółno wskakiwał i wodę pruł, aż szumiała. Potem do drugiego brzegu gdy się dobił, to już do Szmula było tylko kilkadziesiąt kroków — i łatwo było się dostać. Wracał jednak wolniej, na wpół przytomny — potrzebując mało do pełnego upojenia, rozstrojony zupełnie nerwowo — mając dziwną naturę wtłoczoną w smutne ciało dworskiego służalca, z fantazją przepelnioną wizjami powieści i artykułów, których nie rozumiał setnej części, z tęsknotą straszną, wrodzoną Wołyniakom, z tą tęsknotą, co serce z piersi wyrywa za czymś, czego określić na razie nie podobna, co szum sosen, zapach poziomek, krzyk spłoszonej gęsi, skrzyp wrot nagle budzi i potem jak druga dusza w ciele pokutuje, rwie, szarpie, nęka o zachodzie słońca i życia.

Bydle miało to wszystko w sobie, to wycie rozpaczliwe w pustkę, która się powiększa z dniem każdym. Jak duch pokutujący, jak trup, któremu nie dano mogiły i domowinki uskapiono — tak błąkał się Janek od karczmy do dworu z „Tygodnikiem” sterczącym brudną bielą druku w obciągniętej kieszeni surduta. Włosy mu posiwiały, twarz o delikatnych rysach nerwowego blondyna nabrzękała, oczy zmalowały i z jasnoblękitnych zrobiły się żółte. Plecy wygięły się w kabłąk, ręce jedne pozostawały nerwowe, silne, suche, jakby cała siła woli lokaja skoncentrowała się w tych rękach,

w których była potęga jego pracy. Gdy z krzaków berbersu podnosił się po okresie pijaństwa — zaciskał silnie pięści, jakby próbując, czy cała wola pozostała w nim jeszcze, czy nie spływa razem z umysłem w ten cień niepochwytny, który go otaczał i do karczmy iść kazał.

I — z pięściami jeszcze zaciśniętymi szedł prosto do kredensu, do swego tapczana, na którym wylegiwał się w czasie jego nieobecności Józiek.

— Won, bydlę! — mówił chwytając chłopca za kołnierz — won, pan wrócił!

* * *

Kucharz nie dawał znaku życia i tylko z kuchenki dobywał się wąski pasek dymu, który się aż nad drzewa owocowe wznosił.

Janek na lipę pod oknami patrzył i przypominał sobie, którego to było roku, gdy piorun w nią uderzył.

Pan sędzia wtedy do Żytomierza na wybory pojechał.

Ale który to był rok, za nic przypomnieć sobie nie może.

Nagle zakołatało na drodze.

Ha! ha! a! a!...

Bydło wraca do obór, pastuchy do chat.

Nie widać ich z okna, tylko duża smuga poza stawem się ściele, biała jak wielki kłęb powstającej pary.

I razem z tym jękiem chłopców goniących bydło jakaś nieokreślona tęsknota spada na całą wieś.

Słońce nie świeci jaskrawo.

Żółte i jakby gasnące zapada coraz niżej.

Coś się nad ziemią snuje, coś jakby widma z grobów wstające, szepczące tajemnicę mogił, trupich czaszek rozhowory.

Janek określić tego nie umie, rwie się w nim tylko coś i w przepaść dąży.

Obejrzał się jeszcze raz ku kuchni.

Nie widzi nikogo.

Zanim kurczęta podadzą, on przez staw przepłynie i powróci.

Wypije tylko jeden kieliszek, jeden tylko, aby lepiej służyć do stołu...

Czuje bowiem, że jest cały z waty i na nogach się nie utrzyma.

Wyskoczył przez okno, wpadł w grządkę nasturecji, zaklął i jak zając poprzez trawniki pomykać zaczął.
Do stawu dopadł, do oczeretu, w którym drzemało płaskie, z trochę lśniącą wody na dnie — czółno.

W czółno wskoczył, za drąg porwał, splunął w garść i od brzegu się odepchnął.

W tej chwili ciemny pas jakby od żalobnego całunu na wodę padł. Janek w pas ten wpłynął i nawet białe smugi, które zwykle czółno po sobie zostawia, krepę tej rozjaśnić nie mogły.

Od strony wsi kołatały wciąż drewniane dzwonki i wlokło się jęśliwe zawodzenie.

Ha!... a! a!...

Janek w głosy te wsłuchiwał się i czuł, że pod dworskim surdudem, z którego numer „Tygodnika” wystawał, w piersi rwały mu się całe przepaście, ech, na dźwięk tych chłopskich nut.

Ha!... a! a!...

W tej samej chwili z kuchenki Józik z półmiskiem kurcząt wypadł i ku dworowi dążył.

Idąc, mimo woli dzieciennym głosikiem powtarzał:

— Ha!... a! a!...

Bose zastępy ku sobie się rwały, ręce łączyły w tęsknocie nieokreślonej, co ku nim spod ziemi płynęła.

* * *

Gdy Janek wreszcie z krzaków berberysu powstał i do kredensu się powlókł, zastał tam, oprócz Józika, jakiegoś młokosa ubranego w szary surdut, bez wąsów — i z miną wyćwiczonego złodzieja nastawiającego samowar.

Janek do intruza podszedł i ręce wyciągnął.

— Czego to pan się do samowaru miesza? — zapytał zaspanym i powolnym głosem.

Lecz nowy lokaj zmierzył go od stóp do głów.

— Jaśnie pani kazała nastawić samowar! — wyrzekł i znów, za stary but z cholewą chwyciwszy, koło samowara krzątać się zaczął.

Janek osunął się w kącie i na swym tapczanie przysiadł. Powoli jednak ręce jego namacały inną derkę, nie jego własną. Pochylił się i w ukośnym promieniu, idącym z okna, które lipy zaciemniały zupełnie, dostrzegł całą obcą pościel na swym łóżku. Poduszka była

z irchy, druga gumowa, wypchana powietrzem, widocznie skradziona lub otrzymana w prezencie. Tylko nad tapczaniem rozkładał się jeszcze szmat gobelinu, na którym widać było szerniałe, jak nogi topielca, nogi jakiegoś mitologicznego bohatera i plamę kobiecej purpurowej sukni. Za obrębem gobelinu zatknięty obrazek z „Tygodnika”, kilka plam, fotografia pana sędziego, stara strzelba, profitka z różowych paciorek służąca za pantofelek do zegarka — wszystko jeszcze było na swoim miejscu, nieruszone i jakby uszanowane.

Janek podniósł się i do okna podszedł.

Tam był zawsze szuwaks i szczotki do butów, ustawione we framudze razem z kałamarzem i gęsiami piórami, które Janek dla pana sędziego temperował.

Pióra znikły, kałamarz także, pomimo tego, że lat dwadzieścia stały na tym miejscu —

Janka ogarnęło złe przeczucie. Powoli spode łba spojrzął na młokosa, który samowar już z ziemi podniósł i do pokoju podać się gotował.

Janek kilka kroków postąpił.

— Ja zaniosę!

— Nie trza — wyrzekł ten drugi, nogą drzwi otwierając. Janek pozostał na środku kredensu, w którym zaczynał zapadać powoli zmrok, przez abażur lipowych gałęzi koło okien rozpostartych. Nagle w bocznych drzwiach ukazała się pani sędzina. Miała usta silnie zaciśnięte i oczy zmrużone.

— Niech Janek zabiera swoje rzeczy i idzie precz, zaraz... od dzisiaj!...Jaśnie pan za dwa dni wróci, to się z Jankiem obliczy!

Trzeba się mi dzisiaj wynosić, mam już dosyć pijaków w kredensie!

Ręką tłustą i żółtą drzwi ukazywała.

Ręka ta w ciemności kredensu majaczyła przed Jankiem jak plama jasna, obwiedziona dokoła błękitną obwódka.

— Jaśnie pani! ... — wybełkotał wreszcie — ja... ostatni raz!...

— Ta, ta, ta!... — przerwała sędzina — już mam dosyć trzydziści lat takich skandali! ... Janek niech się wynosi, bo wyrzucić każe!

Janek się wyprostował.

— Jaśnie pani wyrzucać nie ma potrzeby. Ja sam pójdę, choć trzydzieści lat wiernie przy służbie warowałem!

Sędzina parsknęła śmiechem.

— Bo to psi wasz obowiązek! Za pensję i ordynarię jeszcze każdy wierny będzie.

Janek drżał cały, włosy mu na czoło spadły. Cofnął się w cień kredensu i milczał chwilę, wreszcie, jakby chcąc upokorzyć sędzinę.

— W konduktory pójdę!... — wyrzekł zdławionym głosem. Sędzina ku drzwiom zmierzała.

— Z Panem Bogiem! Właśnie tam na pijaków czekają! A wynoś mi się dziś jeszcze! ... won! ... won! ...

Wyszła.

Janek pozostał sam.

Obejrzał się dokoła i nagle uczuł w sercu ból straszny.

Trzydzieści lat przeżył w tych ciemnych ścianach kredensu, w których zapach razowego chleba miesza się z wonią stygnących na półmiskach tłuszczów. W ciemnicy tej przeszedł życie całe, waląc się w nocy na tapczan, jak kłoda, smutny, wiecznie znękany, zniechęcony do życia, a mimo to bałwochwalczo do tych miejsc przywiązany.

Chata, w której mieszkała jego żona, nie była mu domem, chodził tam w gościnę, w chwilach wolnych, nie pamiętając i nie wiedząc nawet, jakie imiona miały jego dzieci.

Od grzebania się w ziemi i mieszkania w izbie z uklepaną z gliny podłogą odwykł i tylko w kredensie żyć już mógł, w tym kredensie pomiędzy szafą z ubraniami pana sędziego a kantorkiem, w którym chował roczniki „Tygodnika Ilustrowanego”. Dziś mu każą iść precz, nie pamiętając, że on, Janek, ma religię ścian, wspomnień i sprzętów, że on się tu przekołatał całe lata, całe noce, całe jesienne wieczory, obrębiając ścierki, wsłuchany w tony fortepianu, na którym uczyła się panna sędzianka i który dzwonił jak szklanna kołatka spoza stawu w smudze białej płynąca.

Kazano mu iść „won”, a przecież tam, przez ścianę, jest szafa, w której jest jego porcelana, jego srebro, jego szkło.

Trzydzieści lat myje, ociera, czyści tę całą zastawę... to więc

wszystko mu po prostu w duszę wrosło i on tego z siebie wyrwać nie może! nie może! ...

A piece? Te wielkie piece wszystkie schodzące się w jednej wielkiej izbie, w którą szedł wczesnym zimowym rankiem, za Józikiem niosącym całe naręcze polan grubych jak ludzkie nogi. On, Janek niósł świecę. Stearyna kapiała mu po rękach, a on przez trzydzieści lat nie oprawił nigdy świecy w lichtarz. Miał takich przyzwyczajęń mnóstwo, teraz wszystkie jak mary otoczyły go i za gardło chwyciły.

Nawet ta pani sędzina, która wygnała go tak bezlitośnie, nawet ten pan sędzia, który nieraz uderzył go w kark i „wysobaczył” po swojemu, nawet ta panna sędzianka zatykająca nos, gdy przechodziła przez kredens, wszyscy oni byli mu teraz drodzy w chwili utraty.

Kochał ich przywiązaniem psa, który nie dość, że dobytku pana strzeże, jeszcze pana tego kocha i po rękach liże.

Powiedział pani — „pójdę w konduktory”, ale teraz, w tej chwili, myśleć o tym nie mógł. Dławił się własną żalością.

Nerwy tego chłopca zalkoholizowanego tańczyły piekielną sarabandę bezsilnej rozpacz.

Gdyby mógł się rozplakać, byłoby mu lżej. Lecz nie, łzy go piekły, były w nim całym, rwały mu serce, paliły powieki, płynąć mu jednak nie chciały. „Bydlę”... cierpiało.

* * *

Po chwili przecież Janek ocknął się, zbliżył się do tapczana i szalonym ruchem zdarł ze ściany gobelin. Profitka, fotografie upadły na ziemię. On schylił się, podniósł je, wetknął za pazuchę, potem — podszedł do kantorka, wyjął całą masę gazet i w gobelin zawinał. Czynił to machinalnie, gryząc wargi. Zwrócił się po ubranie, które wisiało na gwoździach wbitych w ścianę, lecz machnął ręką i tylko tłumok z gazetami pod pachą wziął, czapkę na głowę nasadził. Wreszcie z kredensu wyszedł.

Przeszedł pod lipami i wydostał się na trawniki. Słońce znów zachodziło całe krwawe, na wiatr się znacząc. Staw w ciszy i w obramowaniu oczeretu drzemał, a nad jego brzegiem, na pagórku, brzoza, dziwaczna i pokręcona, długie gałęzie w wodzie rozpaczliwie moczyła. Janek

machinalnie do stawu się skierował i czołno odszukawszy, gobelin z książkami na dno czołna cisnął. Po czym sam w łódź wlaź i drąg schwycił. Zdawało mu się, że idzie gdzieś w daleką drogę, a ten drugi brzeg nigdy nie trąci o drzewo czołna. Drżącymi rękami drąg pchnął i na staw wypłynął.

Cisza była dokoła prawie kościelna.

Janek szmer wody tylko słyszał, która się skarżyła cicho na ciężar, jaki jej nieść kazano.

I nagle, z daleka, delikatny, jakby krepą przysłonięty, daje się słyszeć głos kołatek i przeciągły jęk pastuchów.

Serce Janka, które było w tej chwili jedną raną, targnęło się jeszcze silniej, i codzienna melancholia, tłocząca go ku ziemi, wżarła się w boleść rozstania z tym, co już za swoje przywykł uważać, co się z nim zrosło, z czym umrzeć miał...

Przed nim bielił się dwór, nieduży, silny, dobrze rozłożony na tle masy drzew. Z boku widać było ganeczek i wejście do kredensu. Do kredensu!...

I nagle porwał Janka szął.

Schwycił gobelin i cisnął go w wodę.

— Szczeźnij — zasyczał przez zęby.

Gobelin zakołysał się na wodzie i pozostał tak rozciągnięty, prezentując w świetle krwawego słońca wypłowiałą barwę delikatnych Unii.

Janek drągiem gobelin w wodę zanurzać zaczął.

— Szczeźnij!... — syczał.

Był cały teraz czerwony, z sinymi pręgami żył po obu stronach skroni. Z serca krew mu płynęła na mózg zatruty siwuchą. Pijany był w tej chwili, pijany rozpaczą.

Za nim wciąż kołatki grały.

Teraz pochylił się, cały stos „Tygodnika” w wodę wrzucił. Woda prysnęła białą masą, łódka zachybotła, Janek nogą w ścianę czołna kopnął.

— Na pohybel ci! — zaklął.

* * *

Nie dokończył, bo czołno się gwałtownie przechyliło, a on z dziką radością, po raz pierwszy w życiu roześmiany serdecznym, gorącym

śmiechem, w wodę skoczył, waląc się głową naprzód, tak jak zwyczajnie na swój tapczan w kredensie się walił.

Teraz kołatki triumfalnie wypłynęły nad brzeg stawu i dzwoniły ciągle mistyczną litanie w obłoku białym z ziemi się wznoszącym.

Na stawie była cisza zupełna i kołysało się tylko próżne czółno, które powoli wróciło do swej równowagi...

BLANSZETTA

Do zachodu szło słońce całe złotoczerwone, z szafirową obwódką, niezupełnie okrągłe, prawie spłaszczone leciuchno, zmęczone i spokojne.

W głębi ogrodu pod murem białym, pokrytym czerwoną linijką daszku, Blanszetta kopała ziemię, zanurzając głęboko rydel, wyrzucając stosy kamiuszczków, drobnych, ciemnych, przeciętych niekiedy błyszczącym krzemym, kruszyną szkła albo ceglastą masą oderwanej grudki.

Dziewczyna spieszyła się, cała czerwona, z postronkami żył nabiegłymi na rękach. Barchanową, niebieską spódnice, zbitą w ciężkie fałdy, podniosła i zapięła z tyłu szpilką podwójną, wyjętą z włosów i sztucznie skreconą. Spod tej spódnicy wysuwała się druga, czarna, kamlotowa, pocerowana, połatana i obszyta listwą z rudego jedwabiu. Nogi Blanszetty tonęły prawie w ziemi. Widać jednak było niebieskie pończochy, opinające grube łydki, i zaczątek skórkowych, sznurowanych bucików. Resztę ogarnęła ziemia, ciemna, sucha, niezdrowa ziemia okolic paryskich, które są tylko przedłużeniem przedmieść, hen... daleko, aż za fortyfikacje.

Blanszetta co chwila obcierała pot z czoła, który świeżymi, lśniącymi jak srebro kroplami znaczył się na jej

skroniach i brodzie. Ciemne blond włosy, skrecone wysoko, zmoczone się zdawały w tym pocie i jakby skapanie. Twarz cała dziewczyny różowa, młoda, jasna, przecięta linią ciemnych brwi, siwych oczu i purpurowych ust wilgotniała co chwila, jakby cały strumień srebrny i czysty bił w nią

nieprzerwanym prądem. Cienia nie było ani śladu. Karłowate gruszki lasem równym sterczały wśród zagonów kapusty, co czerwonymi i zielonymi bukietami do ziemi przypadła, okolona koronką delikatnych szparagów. Po murze białym czepiały się jabłonki, dziwacznie śmieszne, jakby sparaliżowane. Tu i ówdzie winograd figlarnie zakręcał swoje zielone włosy. Z sąsiedniej willi poza murem sterczały duże orzechy, ostry, wyraźny zapach w przestrzeń rzucając. W oddali lipy bukietem olbrzymim, tajemniczym, znaczyły się, mając u stóp basen, przy którym migotały kadłuby przewróconych polewaczek.

W oddali, już koło domu, przywiązana do budy suka ujadała żałośnie. Blanszetta przestała kopać i oparła się na rękojeści rydla.

— Pani pewnie dziś przeze mnie spać nie mogła? — zapytała mnie z uśmiechem.

— Dlaczego?

— Bo całą noc byłam chora i chodziłam po swoim pokoju. Pani nie słyszała?

— Nie!... a cóż ci było?

— Ot... nic! zwyczajnie, zmartwienie.

Wzruszyła ramionami i splunąwszy w dłonie za rydel chwyciła.

— Zmartwienie! — powtórzyła raz jeszcze.

Usiadłam na składanym krzeselku tuż obok całej masy kamieni.

— Jakież ty masz zmartwienie?

Blanszetta spojrzała na mnie uważnie i nagle łzy jej zamigotały w źrenicach.

— Sercowe! — odpowiedziała z prostotą.

— Kochasz się?

— Naturalnie!...

— W kim?

— O!... to cała historia!

Porzuciła rydel i z trudnością wydostała się z masy gruzów i ziemi.

Gdy tak szła ku mnie w tym dziwnym świetle nastającego wieczora, wydała mi się doskonale piękną w swej wielkiej czerstwości i silnym rozwoju ciała. Miała wielki wdzięk młodej dziewczyny; wyrosłej bez gorsetu na świeżym powietrzu, wśród wschodzących roślin, z piersiami pysznie uformowanymi, z okrągłą szyją zdrowej i krwistej blondynki.

Usiadła na ziemi, tuż obok mnie, wyciągając nogi. Podkute gwoździami podeszwy zamigotały w słońcu.

— Pani wie, że ja nie mam już matki, tylko macochę. Pani ją widziała, ta chuda, żółta kobieta, która mnie do pani markizy przywiozła. Ojciec się ożenił, jak ja miałam dwa lata zaledwie. Macocha mnie nie lubi, ojciec się jej boi, dlatego poszłam w służbę, choć mi wrzosów było żal!... ach, jak żal!...

Oczy jej błędziły wśród zagonów kapusty, jakby szukały tych fal wrzosów różowych, wśród których ona wzrosła, tak różowa, jak te drobne kwiatki, dłońmi widm mglistych ze Szkocji pod Paryż rzucone.

— Obok nas jest drugi ogrodnik, pan Duvast, ojciec mój jest p. Dupont i nasze wrzosy są najpiękniejsze na całą okolicę. Ale i u pana Duvasta zdarzają się piękne doniczki, zwłaszcza w jesieni. Tylko, że do pielęgnowania wrzosów potrzeba koniecznie kobiet. U pana Duvasta są sami mężczyźni. Nie umieją obchodzić się delikatnie z krzewami.

Wstrząsają doniczki, zwłaszcza przy wydostawaniu z ziemi. Jeden tylko p. Maurel potrafi wyjąć doniczkę z ziemi, nie dotykając krzewu. Prawda, że to ja go nauczyłam obchodzić się z wrzosami. Zawsze żartowaliśmy z sobą poprzez ogrodzenie, ale ja byłam pewna, że pan Maurel myśli o mojej przyrodniej siostrze, Filipinie, która także razem ze mną pracowała w ogrodzie. Tak samo

myślała moja macocha, ojciec i sama Filipina. Tymczasem pan Maurel przychodzi raz do nas, do domu, kiedy wszyscy siedzieliśmy przy stole, staje we drzwiach i mówi: „Panie Dupont, chcę z wami pomówić”. Ojciec nic nie odpowiedział, tylko Wstał zaraz od stołu, wziął kij, kapelusz i wyszedł z p. Maurelem do kawiarni. Filipina zbladła cała i udawała, że je deser, ale ręce jej drżały. Ja nie mówiłam nic, stałam koło bufetu i układałam talerze, ale było mi czegoś bardzo smutno i żałośnie. Macocha uszczęśliwiona krzątała się koło ognia i wyjmowała nowe filiżanki do kawy. Nagle wchodzi ojciec sam jeden, zachmurzony i pomieszany. Macocha pyta go, co się stało. Ojciec splunął, wrzucił ramionami i nic jeszcze nie mówi. Macocha się niecierpliwi. — „No cóż? oświadczył się?” — „Naturalnie!” — odpowiada ojciec. — „Oświadczył się, ale chce... Blanszette!” — Na mnie jakby piorun spadł. Upuściłam talerz na ziemię.

Macocho przyskoczyła do mnie i uderzyła mnie w twarz. Ja nawet bólu nie uczułam... tak byłam szczęśliwą!... tak bardzo szczęśliwą!...

— No i cóż się później stało?

— Ano!... później macocha mściła się na mnie za to, że p. Maurel wolał mnie niż Filipinę. Pozwolili mi wziąć pierścioneł, to prawda, ale tyle też było mego narzeczeństwa. Nigdy nie pozwolili mi pomówić z narzeczonym, choćby dwa słowa. Do ogrodu wysyłali za mną albo Filipinę, albo młodsze dzieci. Gdy raz jeden pan Maurel pocałował mnie w rękę, ojciec nagadał mu głupstw, a ja płakałam rzewnymi łzami. Przy stole nigdy nie siedzieliśmy razem. Zawsze pomiędzy mną a nim była Filipina. Gdy po obiedzie grali w karty, mnie wyłączali od gry, a ja musiałam szorować naczynia albo podłogę, gdy moje siostry grały z moim narzeczonym albo spacerowały z nim po ulicy. Macocha mi zabrała jersey i czarną spódnicę umyślnie, ażebym gorzej się prezentowała i wyglądała jak służa. Mój narzeczonny nie mówił nic, ale widziałam, że chętniej bawił się z Filipina, która miała aż dwie suknie ze stanikami, niż ze mną. Ja też się chowałam do kuchni,

bo mi było wstyd moich barchanowych kaftanów. Nareszcie p. Maurel zaczął pytać się o ślub, naznaczać dzień. Ojciec radził się macochy, a ta dnia nie chciała naznaczyć. Ja wiedziałam czemu. Potrzebna im jeszcze byłam na jesień, bo nikt tak nie umiał wrzosów o północy wydobywać z ziemi, jak ja, i ustawiać na wozie. Teraz bardzo często p. Maurel jeździł nocą na targ do Paryża i odwoził wrzosy naszym koniem. Zawsze jeździła z nim... Filipina.

— Filipina?

— Tak, macocha tak kazała. Wie pani, ja jestem bardzo łagodna dziewczyna. Ale jak widziałam, że oni zapalili latarnie, potem wsiedli na wóz oboje, i hue!... dia!... pojechali ciemną nocą, a ja sama zostałam koło parkanu i oni się nawet za mną nie obejrżeli, to już mnie gniew zbierał i łzy mi do oczu płynęły. Później całą noc nie spałam, aż Filipina wróciła rano. Gdy ją zobaczyłam, byłam spokojniejsza. I tak to trwało całą jesień, bo pod Magdaleną potrzeba dużo wtedy wrzosów. Wszyscy je na groby dla swoich umarłych kupują. To już taka moda. Wreszcie przeszła jesień, nastąpiła zima. Pan Maurel prosi znów, żeby ślub przyśpieszyć. Wymówił miejsce u pana Duvasta, wynajął ogród i mieliśmy się na wiosnę już wziąć

na swoim do pracy. Po mojej biednej matce zostało mi dwieście franków, ale kiedy ojciec dom stawiał, to ja mu te pieniądze pożyczyłam. Miałam więc odebrać te dwieście franków i dostać sypialny pokój z firankami i zegarem, który mi się po matce także należał. Ale macocha ciągle zwlekała, pan Maurel kupił sobie narzędzia i, nie mając gdzie schować, przyniósł je do nas. Ojciec zamknął je w komórce. Mnie to niemile tknęło, ale jakże ja mogłam na swojego ojca przed narzeczonym coś powiedzieć. Wreszcie pan Maurel się zaczął niecierpliwić. Mówi: „Dajcie mi już pannę Blanszette, bo sam nie wiem, co mam myśleć”. Oj-

ciec pluł i nic nie mówił, a macocha się wykrzywiła albo mnie biła. Wreszcie powiadają mu: „Nic z tego na teraz nie będzie, ona nam jest potrzebna jeszcze ze dwa lata!” Jak pan Maurel to posłyszał, zbladł cały i mówi: „Ja nie mogę dwa lata czekać. Ja wynajęłam grunt i muszę się ożenić!” Macocha zaczyna się śmiać. — „A to się pan żeń!” — „Z Blanszette?” — „Za dwa lata!...” — Wtenczas ja wypadłam z mego kąta i zaczynam płakać i prosić, aby mnie już raz za niego wydali. Macocha mnie złapała za włosy i bije, i krzyczy. Dzieci w płacz, Filipina się rzuciła mnie bronić. Pan Maurel powstał chwilę i mówi: „Nie trzeba bić panny Blanszetty. Ja sobie idę i nie chcę zamieszania sobą robić!” — I wyszedł. Ja odepchnęłam macochę i wybiegłam za nim. Noc ciemna, on szedł bardzo prędko, aż go dopadłam pod parkanem koło ogrodów. — „Panie Maurel!” — wołam — „ja pójdę z panem!” — Ale on stanął i mówi do mnie: — „Niech się panna Blanszette wróci do domu. Ja widzę, że oni mi dać panny nie chcą, bo nie mają już tych dwustu franków, które się pannie Blanszecie należą. Mebli także matka nie da. To darmo!” — Ja nic nie mówiłam, ale czułam, że on miał rację, bo (przecież mnie bez niczego, ot, tak, jak stałam, w tym biednym barchanowym kaftanie, wziąć nie mógł... Umilkła na chwilę i dodała zaraz, uśmiechając się smutnie:

— A jednak ja, to choćby on był żebrakiem, poszłabym za niego. Miała w swym głosie całą moc miłości, na jaką zdobyć się może dobre, kobiece serce.

Dokoła cisza była tak wielka, że najdokładniej słychać było gwizd przelatującego w oddali pociągu.

Z purpurowej plamy słonecznej pozostało tylko morze złota i szarawego blasku.

— I tak staliśmy przy sobie! — ciągnęła znowu Blanszetta — a mnie łyzy dławily i obcierałam je włosami, bo mi macocha włosy zupełnie rozczochrała i szpilki w głowę powbijała. A pan Maurel mówi jeszcze: „Trzeba, żeby

panna Blanszetta wiedziała, że macocha pożyczyła ode mnie pieniędzy, sto pięćdziesiąt franków, a ojciec panny Blanszetty ma moje narzędzia. Okradliście mnie. po prostu, okradliście!... zabraliście mi ubierane pieniądze i teraz się mnie pozbywacie. Ja was po sądach włóczyć nie będę, bo byłoby mi wstyd, że się w taką brudną rodzinę wmieszać chciałem". — Splunął i odszedł. Ja zostałam sama i o mało nie umarłam z rozpacz. Wyłam, jak pies, tak płakałam. Wróciłam do domu bardzo późno, położyłam się w kuchni na ziemi i tak zasnęłam. Nad ranem obudziła mnie macocha i każe wstawać do roboty. Ale ja porwałam się i mówię: „Nie będę u was nic robić, pójdę do służby, pójdę do ludzi!..." I poszłam... Były jeszcze straszne sceny, ale ja postawiłam na swoim. Znalazłam przez znajomych miejsce, zabrałam tę trochę łachów i poszłam się wysługiwać obcym. W dzień to pół biedy. Pracuję, latam z kuchni do ogrodu, to i nie mam czasu myśleć... W nocy najgorzej!...

— Chorujesz?

— Niby. Bo serce mnie okropnie boli i na miejscu uleżeć nie mogę. Żal mi domu, ojca, Filipiny, wrzosów... — A pana Maurela? Z oczu Blanszetty popłynęły dwie strugi łez.

— Pewnie, że mi go żal najwięcej. Przy tym to okropne to, co on mi powiedział, tam w nocy, pod płotem. — „Okradliście mnie!" — To znaczy, że i ja!... Żadna Dupont nie była złodziejką! Moja biedna matka, gdyby to słyszała, umarłaby drugi raz. Przecież to macocha pożyczyła od niego pieniądze. Dlaczego on to do mnie powiedział?

Z daleka zza krzaków, zza lasu kukurydzy suka wyc żałośnie zaczęła. Blanszetta porwała się z ziemi.

— Biche wyje głodna, pójdę jej dać zupy! Obciągnęła fałdy spódnicy, która grubym ciężarem zwiślała ku ziemi.

— Gorąco! — wyszeptała.

— Masz przecież już dwumiesięczną pensją, pięćdziesiąt franków. Czemu sobie lżejszej spódnicy nie kupisz?

Blanszetta stanęła przede mną i oparła mi rękę na ramieniu.

— Kupić? wydawać te pieniądze? — zawołała — ależ ja poszłam w służbę tylko dlatego, żeby sobie uskładać trochę pieniędzy! rozumie pani? Spojrzałam na nią smutnie zdziwiona.

Więc i ta się łudzi? i ta jeszcze ma nadzieję!

— Myślisz, że pan Maurel do ciebie, powróci, gdy uzbierasz te dwieście franków, które ci rodzice zabrali?

Blanszetta uśmiechnęła się smutnie.

— Nie! ja o tym nie myślę. Jeżeli zbieram pieniądze, to po to, aby...

— Dokończ!

— Aby oddać panu Maurelowi to, co macocha od niego pożyczyła.

Powiedział przecież: okradliście! Odeślę mu pocztą. To mój obowiązek.

I odwróciwszy się, poszła ścieżką wzdłuż lip i kukurydzy, które z szelestem zamykały się za nią, czepiając się fałdów jej ciężkiej, zimowej spódnicy.

ÓSMA KLASA

Paszkwil

Mały, ruchliwy sekretarz wielkiego nieruchawego dziennika — czuł się dziś bardzo en forme.

Miał nowy garniturek, który leżał wcale dobrze, z wyjątkiem kamizelki trochę za ciasnej.

Ale „sekretarzyk“ nabierał z każdym dniem tuszy — wyokraglił się i trudno było odziać go jak ulał.

Więc ubranko koloru rozmoczonego błota, pokratkowane nieokreślenie, ładne, było do twarzy — tylko trochę już przyciasnawe.

Nie zapłacone, a już za ciasne.

Mikuś (tak zwano sekretarza) winszował sobie w duchu tego mankamentu. Będzie miał pretekst zwrócenia garnituru, gdyby krawiec był nadto niedyskretnym. Tymczasem jednak — laseczka nowa,

kapelusik, kołnierzyki lśniące i ta buzia co dzień szersza jak dłuższa, prawie kwadratowa.

A na niej dziwny dar bezustannego błógiego ugrzecznienia.

Mówi ktoś — Mikuś szast nóżką, „całuję rączki“. — Skwierczy telefon, Mikuś kłania się, „całuję rączki“. Nie mówi nikt — Mikuś jeszcze grzeczniejszy — ot... ma kredyt.

Lubiany, prawie kochany —siedzi przy biurczku, na którym stale jakiś kwiatek tragicznie agonizuje. Obok

ohydny klecha w sutannie z porcelany — kilka wyrobów estetycznej kultury wiedeńskiej — nieco dalej jakieś wykopalisko — i karnecik balowy. Nożyce redakcyjne — dużo papierów, listów czekających na odpowiedź...

Leży tom encyklopedii — otwarty na literze rozpoczynającej miano jednego z władców Europy, który nadwreżył sobie kark, spadając z automobilu. — Mikusiowi polecono, aby miał nekrolog w pogotowiu. Władca prawdopodobnie się wygrzebie, ale nekrolog być musi. Gdyby... ot — na wszelki wypadek.

Nikt tego tak nie robi, jak właśnie Mikuś. Doda tam nutkę osobistą, coś jakby jakieś wspomnienie. Napisze nawet: „Tak się złożyło, że przejeżdżając, widziałem dostojnego zmarłego... jak piękny, silny, wesół"...

Przeważnie się tak składa, że Mikuś widuje, jak kapusta na Zamarstynowie rośnie, ale Mikuś jest przedziwnie sprytny. Potrafi cudownie z każdej sytuacji się wywinąć. Umie znaleźć się zawsze w kropce. Najdrażliwsze sytuacje bywają mu powierzane. Stąd jest sekretarzem. Umie na czas zmrużyć swe siwe oczęta i przycząić się. Potrafi także nastawić się i uczynić się „ważnym". Dziennik, który reprezentuje, w miarę potrzeby jest albo lekkim o europejskim polocie organem, lub strażnicą wielkiego znaczenia jakichś ogromnych walk społecznych. Mikuś w ostatnich czasach nabrał dużego waloru, bo wyjaśniło się, iż potrafi doskonale złatać artykuł, gdzie „tęsknoty bytowania“, „posłannictwo utrwalenia“, „zrębowanie przesądów“, „byty czucia“ — jeżyły się a propos de bottes — i oblepiały odpowiednio jednego z trzech wieszczów — jak pisać sążniste odezwy do dam w sprawach mody, igrając z piórami, wstęgami, frędzlami, jak patentowana

dama od fabrykowania przepisów stroju, prywatnego rachunku i savoir-vivre'u .

Mikuś tedy — w ten wiosenny, kwietniowy dzień uśmiechnięty i pewien siebie, zajął miejsce przy swoim biurku. W szklankę wody wetknął bukietek białych pierwiosnków, a na brzegu biurka ostrożnie położył pakietek związany sznureczkiem. Ten pakietek ogarnął miłosnym wzrokiem zanim umaczał pióro w kałamarzu.

Bo ten pakietek przedstawiał dla Mikusia maleńki świątek.

Było w nim sześć ciasteczek. Skromniuchnych kruchych gwiazdeczek z podrzędnej cukierenki. Gwiazdeczki te zaś lubiły młode dziewczęta. Takie niewybredne, grzeczne szwaczuchny, co to o zmroku wysypują się na miasto jak fiołki z koszyczka.

Mikuś miał kochankę, taką szwaczuchną — nazywał ją (nie wiadomo dlaczego) Organtyną. Nie było to ładne.

Ona nawet za to się gniewała.

Ale on wytłumaczył jej, że to pachnie trzydziestym rokiem, Mussetem, Ninon Nie rozumiała — ale się poddała.

I — oddała.

Została — Organtyną, kochanką Mikusia, który obdarzał ją biletami do Colosseum i częstował ją kruchymi ciastkami, ile razy odwiedziła go o zmierzchu.

Wszystko to naturalnie w niewielkiej ilości. — Ona za to całowała go po rękach i przysyłała mu szkaradne kartki korespondencyjne, na których pomalowane lalki miały prawdziwe włosy.

On — kartki te chował pospiesznie, bo się ich wstydził.

I zmierzchu czekał.

Dziś właśnie mieli się zejść. Stąd pakietek z kruchymi gwiazdeczkami figurował na stole.

Nad głową Mikusia bielą na ścianie wielka karta.

A na niej — napis:

„Czas to pieniądz“.

Mikuś już wyekspediował sporą ilość interesantów. — Był to specjalny dzień grafomanów i grafomanek. Zjawili się w zwartym szeregu. Lecz Mikuś stawił im mężne czoło. Z dziwną wrażliwością odczuwał, jaki ton

przybrać z kim należy. Jednych głaskał obietnicami, drugich miażdżył odmową. Po grafomanach zjawiała się deputacja malarzy pokojowych, którzy czuli się dotknięci silnie artykułem dziennika, odmawiającym tymże malarzom poczucia piękna. Przynieśli pochłapane farbą patrony, przedstawiające kilometry pokręconych makaronów na dowód, jak wysoko mają rozwinięty kult i odczucie linii i barwy. Zaledwie Mikuś załatwił się z obrażoną dumą tych panów, hycel przez telefon upominał się o honor swych parobków, którzy delikatnie, a nie brutalnie, łowią psy po chodnikach miasta. — Już przed biurkiem zajął miejsce jakiś tęgi przechodzień z domaganiem się krawężników na oddalonej ulicy przedmiaścia, a dama, trudniąca się profesją pani Warren — nieśmiało skrzyknawszy drzwiami, wyjaśniła, iż „nie miejsce człowieka, ale człowiek miejsce zdoła”. Przeto dełożowanie jej „pensjonatu“ z ulicy Słonecznej jest bezprawiem i ona błaga pana redaktora, aby zechciał ująć się za jej krzywdą. — Mikuś przyrzekł wszystko — nawet i wystąpienie w obronie „pani Warren“. — Oburzył się razem z kilku oburzonymi, zasmucił się z kilku tragicznymi — słowem zadowolili wszystkich. Nikomu nie odmówił, każdego przywiązał do dziennika, obietnicami sy-

pał na prawo i lewo. Wdzięcznie podejmowali te obietnice interesanci i nadziani nimi odchodzili jacyś lżejsi z rozjaśnioną sytuacją. Mikuś czuł się panem tych sytuacji. Na chwilę był ich władcą — trzymał ster ludzkiego zadowolenia w ręku. Czuł się mocnym i ponad innymi. Niemal podziwiał się, że potrafi z taką werwą i doskonałością odnaleźć w sobie odpowiedniki dla każdej sytuacji. — Winszował sobie tej przytomności umysłu, tego sięgania do głębi, aby z niej wydostawać zharmonizowane akcenta. Miał się nieledwie za geniusz w tym kierunku. Ze zręcznością prestidigitatora żonglował prośbami, żądaniem ludzi nerwowych, kobiet niezadowolonych, charakterów zbyt wymagających. A żonglował tak, że najdziksze pretensje nabierały form usprawiedliwionych w jego oświeceniu i to, co zdawało się na pozór nieziszczalne, stawało się najzupełniej z logiką stawania się — zgodne. W zuchwalstwie udających mu się coraz doskonalszych zwycięstw żądał prawie od losu, aby mu rzucił coś nie do spełnienia, coś wyzywającego w jego rzemiośle, jakieś żądanie czynu wielkością przewyższającego wszystko, co dotąd żądano od niego.

Chciał, aby nagle przed nim stanął ktoś ciskający rękawicę całemu społeczeństwu i zażądał od niego, aby on, Mikuś, był heroldem wzywającym na śmiertelne zapasy.

Tak sobie oto poczynął w myśli zuchwały sekretarzyk w nowym ubranku koloru rozduszonego błota, siedząc naprzeciw wiązanki pierwiosnków i trąby telefonu, gotującej się do tajemniczego a skrzekliwego ryku.

Od drzwi, za którymi znikł ostatni niepoprawny grafoman, zaskrzypiało coś, zaszemrało, zaszumiało.

Mikuś przeczuł nową serię „interessantów“ i pogrążył się w studiowaniu korespondencji z prowincji. Po raz trze-

ci odczytał sprawozdanie o urządzeniu wieczorku na cześć jednego z wieszczów w sali Sokoła, z współudziałem wszystkich liter alfabetu — i czekał, aby ci, którzy już wedle jego wyliczeń stali koło biurka, raczyli dać jakiś znak życia.

Systemem bowiem Mikusia było czekać, aby interesant objawił się pierwszy. Lecz cicho było zupełnie. Tylko tupot kilku par obuwia dawał do poznania, że to weszło kilka osób do sekretariatu redakcji. Weszło — i stanęło w milczeniu.

Mikusia to trochę niecierpliwiło.

Byłaż to nowa deputacja malarzy pokojowych lub byliż to stróże kamieniczni, domagający się zuchwale, aby im wilgoć na głowy w mieszkaniach nie ciekła? — Czy może odnoszono kule, którymi jęty szalem ludowiec popierał swoje do ludu argumenta? Czy miał wybuchnąć zbiorowy strajk szkół freblowskich i oto delegacja przychodzi wyłuszczyć, jakie należy prasie przybrać stanowisko?

Cisza jednak panuje ciągle — tylko coś, jakieś ciepło, jakaś woń jakby od świeżo skoszonej trawy, jakaś nutka osobista — wypełnia przestrzeń...

Mikusiowi chrapki zagrały. Mimo woli coś w nim zadrgało.

Podniósł głowę.

I oto...

Na strudze kwietniowego słońca, co ściele się przez żółkły trochę muślin firanek, stoją nieruchome cztery postacie dziewczęce.

Mają głowy na długich, wdzięcznych szyjkach, a na głowach duże kapelusze. Jedna już w letnim, ze złocistej słomy, jak archanioł w aureoli, o puklach czarnych, wonnych włosów.

Ta Pychą znaczona zdaje się wieść rej. Ma wzrok ciężki, powolnie się zmieniający. Obok niej coś rudego, wdzięcznego, w rodzaju lalek Wyczółkowskiego, z nie domykającą się wyższą wargą. Następna, cała skupiona w jakimś zaczajonym sprycie, w przygaszonej gwałtem konieczności ironizowania. Ta ma szkocką kokardę u kapelusza o tysiącnych kratkach i barwach. Czuć w tej dziewczynce przewartościowanie siebie samej, a obniżanie rozkoszne — otoczenie. Negacją karmi się i obecnie, chłonie ją w siebie, wysysa jak pszczoła słodycz z kwiatów, magazynuje w najtajniejszej głębi na zimę życia, aby móc z rozkoszą bryznąć potem na całą ludzkość i jej dzieła. Ta ma twarzyczkę o zwodniczej, wystającej szczęce dolnej — o ściśniętych' oczodołach... jakby zwierzęcym, w pragnieniu i odczuciu rozkoszy użycia. Lecz równocześnie ironiczne obwiśnięcie wargi świeżej i gładkiej i spod krzaczastych brwi jakieś fortele wystosowane przeciw postanowionym warunkom egzystencji, które łamią to, co antagonizmem się zaznacza. Zakończa szereg drobne, małe, skrócone stworzenie. Skrót jest herbem i anonsem jej egzystencji. Odczuć można, iż w skrócie przejdzie jej życie i wszystkie jego objawy i wrażenia przedstawiać się tej dziewczynie będą uorganizowane za ledwie. Szczególniejszy fatalizm zaciężył nad nią, została zniwelowana zanim weszła na teren egzystencji. Odczuła, że czasem może być potrzebna jako pionek i o tyle stolerowana, o ile milczeć będzie.

Więc milczy.

Są one cztery — w jasności trochę żółtej dnia i razem wzięte z trudnością przekraczają pół wieku.

Lecz jest w nich już kobiecośćna poły uświadomiona. Częściowo pragnie ta kobiecość upiększać się i dla-

że częściowo, więc jest jeszcze groźna. — Pozwalała bowiem przypuszczać wielkich nieudanych pasji, namiętności, despotycznych pragnień, dążności do egoistycznych poświęcań się i tej łagodności wdzięcznej, która zaciężyć może kamieniem grobowym nad całą sferą życiową.

Były — tajemnicą, przyszłością, czymś wyjątkowym, fenomenem ponad przepaścią powszedniości.

Mikuś wrażliwie to wyczuł i zmieszany przyjął to wrażenie bez protestu. Przeciwnie — uśmiech mu wykwitł na usta. Młodością swą wybiegł naprzeciw młodości tych dziewcząt. — Zanim przemówiły, był im powolny i posłuszny. Do ich stópek, obutych w trochę powykrzywiane buciki lub długie lakierki, strojne w błyszczące klamerki, przypadł i pozostał u nich, wierny rab, przepełniony korną nienawiścią, zmagających się ze sobą w wieczystej walce — płci.

— Czym mogę paniom służyć?

Nastał popłoch.

Zesunęły się trwożne, białe zęby zaczęły przygryzać wargi młodziuchne, nóżki poruszać się na posadzce.

Zuzik, Ada, Minia, Ceśka zaniepokoiły się. Uczuły słuszność pytania, lecz decyzja odpowiedzi przyjść nie chciała. Pensjonarki zdławiły kobietki i pograżyły je. Nawet negacja Mini bladła pod szkocką kokardą jej kapelusika. — I na chwilę zdawało się, że pyszna aureola, otaczająca czarne pukle Zuzika, jakby była mniej złotą i mniej bizantyjską.

Płochliwość ogarnęła ten drobiazg i zacierała słabe zaczątki aroganckiej wielkoduszności.

— Mów... mów ty, Zuzik...

Widocznie archanioł Zuzik był generalnym mówcą całej partii. — Ku niemu zwróciły się rozpaczliwe spojrzenia. Ku niej, tej dumnej, zwróciło się ponowne pytanie Mikusia:

— Czym mogę pani służyć?

Bawił się ich zakłopotaniem, czuł się wyższy, silniejszy

nad tym stadkiem kobiet, rozumiał całe masy chytrłości, kłamstwa, zdrady, okrucieństwa, które mają w zapasie na drogę życia. Wiedział, że gdy dane będzie im wyrzucić ze siebie te cnoty na teren płciowej walki — one staną się silniejsze i wykażą siłę nadprzyrodzoną, nie znającą lęk u. Dziś — one się trwożyły przed nim i dławiły słowami.

Wyprostował się, zmrużył oczy — czekał.

Niedługo.

Bo oto — od wzroku jego musiała iść ironia przewagi męskiej i to podziałało na dziewczynki uspokajająco. — W jednej chwili opanowały się. Poszedł ten prąd od Mini, która z szaloną szybkością już wznieciła w

sobie jakby przygasła zdolność ironizowania i z nadętej postaci Mikusia tworzyć zaczęła karykaturę. — Spojrzała po koleżankach zimnym, stalowym wzrokiem. Jednocześnie warga jej wydeła się w sposób fatalny. Cały jad i pogarda skoncentrowały się w kącikach tych ust. Podała je innym dziewczętom jako antidotum przeciw obawie mężczyzny. Było to Bractwo, tak zgrane ze sobą, tak pojmujące się doskonale, że w jednej chwili Zuzik podniosła dumnie swą wspaniałą głowę, a na różowej twarzyczce Ady zabłysła cała krasa zmysłowej, wdzięcznej lalki. Tylko Ceśka pozostała neutralna i szara.

Lecz — to nie miało znaczenia.

Przełknąwszy kilkakrotnie ślinę, odezwała się wreszcie Zuzik:

— My tutaj w delegacji...

Mikuś zatarł ręce.

— Pięknie. Ale w czyim imieniu?

— Naszej klasy.

— Której i gdzie? — Ósmej.

Jak tryumfalna fanfara zabrzmiała ta ósma klasa w ścianach redakcji.

— Ale... gdzie?...

— W pensjonacie pani Węsierskiej... na Ochronek.

— A... tak... na Ochronek. — Pięknie... Ale czym mogę służyć?...

Zapadło znów milczenie. — Widocznie zachodziły jakieś trudności. Nóżki zaczęły znów dreptać w miejscu, po posadzce. Ada miała na twarzy wypieki i przypominała słynną blondynkę Chaplina, którą Mikuś podziwiał erotycznie na ścianach Luksemburskiego Muzeum w Paryżu. Uderzyło go to i usposabiało coraz milej do tego szeregu dziewczątek, wykwitłych nagle przed nim w stęchliźnie rozpolitykowanego dziennika jak grządka wiosennych tulipanów.

— Niechże się panie uspokoją...

Zaproponował im krzesła. Teraz zwracał się do Ady. Inne go niepokoiły, Minia mieszała, w Zuziku czuł nadto pychy. Cesia dlań nie istniała.

Telefon zadzwonił.

Mikuś podskoczył.

— Panie pozwolą?

Jakaś reklamacja na podstawie paragrafu 19. — Mikuś pochylony przed telefonem, robił łamańce. „Całuję rączki“ — odchodzi z powodzeniem. —

Mikuś słyszy za plecami szepty dziewczątek. Jakiś przyciszony chichot. I nagle przychodzi mu na myśl, że jest śmieszny, niezgrabny, że jest zbyt tusty, że garnitur, z którego był tak dumny, źle zapewne leży. — Drętwieje przy owym telefonie. Kłania się w jego paszczę machinalnie i z ciężkością odwraca się.

Nie omylił się.

Oto dziewczęta rozbawione, okrutne, rozśmieszzone.

Oczy się im świecą, wargi drżą ze śmiechu, one są teraz górą, zapuszczając na niego złośliwe haczyki swych wędek. Mikuś czuje, że nie będzie miał odwagi przejść przez pokój i ukryć się poza swój stół. Tam byłby bez-

pieczny. Tak — wystawiony całą swą osobą na krytycznej świdrującej spojrzenia tych małych kobietek, traci zupełnie pewność siebie.

Nie — nigdy nie zdoła uczynić tych kilku kroków. — Sparaliżowany po prostu, opiera się o stolik, na którym rozkłada się brudny i poszarpany adreśnik telefoniczny. Nawet sformułować pytania do dziewcząt nie potrafi.

Z każdą sekundą, bezbronny, marny, zdaje się na ich łaskę. Cztery pary oczu wświdrowuje się w niego, wbija jak gwoździe, rozpinając go na jakimś fikcyjnym rusztowaniu śmieszności.

Cztery pary oczu!

I oto — rozlega się niski, dźwięczny, harmonijny głos Zuzika, archanioła. — Proszę pana redaktora, my tu z prośbą...

Usta wydeła groźnie, jak u Madonn Cimabuego, raczej mówiąc „groźbą, żądaniem“... Właśnie, cała kobieta jest w tym...

Mówi — „proszę“ — a dzwoni: „chcę, żądam, każe“.

— O co? o co?... — pyta rozpaczliwie Mikuś i nigdy nie czuje tak złego fasonu swej kamizelki, jak to w tej właśnie chwili.

Gdyby mógł choć pochwytać dziennik jaki prześcieradłowy, jaki „Times”, „Gaulois” — zakryć się nim.

Lecz stół z dziennikami daleko — należałoby zdobyć się na wysiłek, na gest, a to niepodobna.

— My przychodzimy prosić, aby pan redaktor napisał paszkwil na naszego profesora niemieckiego.

— Paszkwil???

Oczy Mikusia ze szparkowatych stały się nagle okrągłe...

— Panie proszą... o paszkwil? — Tak! — na profesora.

— Jest to najgorszy w świecie człowiek. Cała klasa jest na niego oburzona. Strajkujemy od trzech dni...

— Co panie mają mu do zarzucenia? — Sypie same dwoje — nic tylko dwoje... Głos zgrzytliwy, cienki jak uderzenie szpicruty, Mini dorzuca:

— A potem, trzyma się teorii, że jasność dowodzi prawdy...

Szkocka kokarda chwieje się ironicznie.

— Pan jest także tego zdania? — To wolna wola. Ale u niego to konieczność. Unika zawikłań, bo ich nie zna. Stąd zbyt wielka jasność jego wykładów... nie chcemy tego.

— A przy tym jest skandalicznie brzydki! — sentymentalnym, cichym szeptem odzywa się płomieniejąca cała Chaplinowska Ada.

Chichot — konający na zmartwiałych ustach Ceśki.

Jedynie Zuzik ogarnia szybko sytuację. Dostrzegła echo uśmiechu na twarzy Mikusia. — Sytuacja serio zaczyna przemieniać się, jakby w jakiś pół dziecinny, pół salonowy nastrój.

Pręży się i biust swój, jeszcze płaski pod lekką tkaniną swej czarnej sukienki, czyni jakby ważnym i pełniejszym.

— Więc my o ten paszkwil... — ponawia już mniej pewnym głosem.

Mikuś patrzy znów na dziewczęta szeroko rozwartymi źrenicami.

— Jak to? więc panie na serio?

Archanioł Zuzik uczuł się jakby dotknięty.

— Naturalnie, że na serio. Myśmy prosiły przełożonej,

żeby go usunęła do małych, a nam dała kogoś innego, ale ona słyszeć o tym nie chce. Więc uradziłyśmy (cała ósma Masa), że koniecznie musi pojawić się paszkwil w jakimś dzienniku i wtedy z pewnością ten pan z lekcji wyleci...

— Proszę pań... proszę pań... — bełkocze przerażony Mikuś.

— I pan musi to zrobić, panie redaktorze — twierdzi despotycznie archanioł.

— Pan musi... — szepce różowa, ziejąca ze siebie wiosenne ciepło dziewczęcego piękna Ada.

— Pan m u si... — drga w kącikach ust złośliwej Mini.

Ceśka nie nie mówi. Tylko tępo powtarza fałę rozkazu swym cofającym się wzrokiem.

Lecz oto dzieje się rzecz nieobliczona.

Mikuś jest młody. I przeto nie reaguje do tego stopnia na siłę młodości, aby zapomniał się i zatracił zupełnie.

Mógł ulec pierwszemu wrażeniu, spragniony piękna w tej nudnej, szarej egzystencji redakcyjnej. Lecz na to, aby zatracił indywidualność własną, stał się zabawką, narzędziem — na to trzeba było czegoś więcej, jak dalekie oddziaływanie wiosennych prądów ciał młodych i czaru nieświadomych arkanów życia duszyczek.

Gdyby Mikuś miał twarz pooraną zmarszczkami, zgarbione plecy i drżące ręce, wszedłby z deputacją ósmej klasy w jakieś przedwstępne parlamentacje. Lecz Mikuś był zdrow, młody — upajał sam młodością świeżą i jasną.

Nie potrzebował ich młodości.

Była ona dla niego za silną i za słabą. Wzrok jego padł na pakiecik ciasteczek, którymi miała się nad wieczorem karmić jego kochanka.

I ta wydała mu się kobietą...

A to — ta grządka tulipanów — to były cztery małe pajacyki.

Ona nie drwiła z niego. Był dla niej piękny, zgrabny, cudny...

Nigdy nie złapał jej wzroku na szyderstwie. Ona z pewnością zachwycić się będzie jego kamizelką.

I oto Mikuś oderwał się od telefonu. Przeszedł szybko pokój wielkimi krokami, nie chowając brzuszka. Przeciwnie, nadymając go. Nic go nie obchodziły te śmieszne pensjonarki, stojące przed nim z czelnym żądaniem pisania... paszkwilu.

Gdy ulokował się poza stołem — pewność jego jeszcze bardziej wzrosła. Oparł się o rozłożoną encyklopedię. Z przymrużonych oczów posłał wzrok we drzwi.

Nie miał bowiem odwagi spotkać się prosto z czterema parami źrenic, które przed chwilą jeszcze wprawiały go w zmieszanie.

— Czy panie w ogóle wiedzą, co znaczy słowo paszkwil?... — zapytał z całą ironią, na jaką zdobyć się był w stanie.

W głosie jego jednak musiało być już to opancerzenie mężczyzny względem kobiety, która spełniła jakiś beztakt, jakiś fałszywy krok, zdolny odebrać jej całą nad nim władzę.

Dziewczyny odczuły to natychmiast.

Wyprostowały się... cofnęły, jakby pod komendą baletmistrza.

Były zgubione. Nie miały terenu pod stopami.

— Paszkwil — podjął Mikuś — to ohyda, to krzywda, uczyniona człowiekowi niewinnemu — to rzecz, w której ani prawy mężczyzna jak ja, ani uczciwy dziennik ręki przyłożyć nie może...

Podnosił głos do miary swych słów. Widział, jakie wrażenie robiły na dziewczętach. Widział zmniejszanie się pychy archaniola, blednięcie rumieńców Chaplina, wahanie się niepewne szkockiej ironii Mini.

W miarę jak dziewczyny traciły swe wybitne cechy i dominanty ich uroku osobistego, nikł najzupełniej ja-

kikolwiek łącznik mogący Mikusia oddać pod ich władzę.

— I dziwić mi się tylko należy... — ciągnął dalej, teraz już surowy, prawie ojcowski — jak panie mogą przypuszczać, że w dziennikarstwie znajdzie się ktoś, mogący wysłuchać ich żądania. Najlepiej... radziłbym wrócić na pensję i tam zająć się nauką. — Prasa jest zbyt poważną instytucją, aby miała służyć do zadowalniania osobistych rachunków pomiędzy profesorami i uczennicami!

Gdy wymawiał te ostatnie słowa, uczuł się dość silnym (zwłaszcza że stał poza stołem), aby spojrzeć dziewczętom w oczy. — Wbił więc kolejno obojętne źrenice w ich twarzyczki i z radością złośliwą skonstatował, że są pokryte zmieszaniem i zawstydzeniem w dostatecznej dozie.

— A teraz, żegnani panie!... — wyrzekł, czyniąc szeroki gest ekscelencji nauczycieli, których odświeżone surduty z dala pachną wilgocią i benzyną. Zaszemrało, zatupotało — dziewczynki ukłoniły się i wyszły z pokoju. Mikuś usiadł na swoim miejscu i zaczął pisać nekrolog władcy, który połamał sobie w samochodzie żebra.

Ale mimo woli przyznać musiał, że coś zgasło, coś przesunęło się, coś, co było światłem, wizją, kompromisem musu życia i jego koniecznością.

BUCIKI MARYNI

Ściemniło się zupełnie, gdy Zawiejski odłożył wreszcie pióro i zmęczone oczy od papieru oderwał.

Z kącika pokoju ozwał się nagle cieniutki szepleniący głosik:

— Tatusiu! Marynia, chce hajti!... Zawiejski odwrócił głowę.

— Pójdiesz, dzidzi, pójdiesz, tylko tatuś buciki, kupi!

— Tupty?...

— Tak.

I wysoki, blady mężczyzna, podniósłszy się od stolika, ku ciemnemu kątowi zmierzać począł.

W kąciku- tym czerniła się jakaś niewielka masa, ot — trzyletnie dziewczątko, siedzące z podkurczonymi nóżkami na małym stołeczku.

— Tupty kupis? — szczebiotało dziecko — z guzikami?...

Mężczyzna przykląkł przed maleńką i drżącą ze zmęczenia ręką ciemne włosy dziecka gładzić zaczął.

— Kupię — odpowiedział — kupię ładne buciki, takie wysokie, z kokardkami i z koreczkami.

Dziewczynka zachichotała z uciechy.

— Jakie wysokie? — spytała wyciągając tłustą nóżkę w podartym pantofelku.

— Do pasa, o tu! — zaśmiał się mężczyzna, lecz śmiech jego brzmiał smutnie w tym chłodnym, pustym

pokoju, w którym nieliczne sprzęty ginęły wśród zalegających przestrzeń cieni.

— Zapal świeczkę! — prosiło dziecko.

Zawiejski podniósł się z ziemi i szukał po ciemku zapalek.

Dziecko tymczasem wylazło z kącika i stało na środku pokoju, czekając na światło.

Wreszcie błysnęła zapalka i za chwilę mała lampka, pokryta zieloną umbrelką, zajaśniała na stole zarzuconym drobnymi ćwiartkami zapisanego papieru.

Dziecko zmrużyło oczki i przysunęło się do stołu; wyciągnęło rączki w stronę papieru...

— Daj! — prosiło.

Mężczyzna zebrał leżące ćwiartki z pośpiechem.

— Nie można, Maryniu, nie można... za te papierki tatuś kupi Maryni buciki...

— Tupty?

— Tak!

Dziewczynka odsunęła się trochę od stołu, patrząc z pewnym odcieniem szacunku na ćwiartki papieru.

Mały jej umysł pracował... wiedziała, że wszystko kupuje się za pieniądze, a pieniądze redukowały się w jej małej główce do wyrazu: „trzy”...

Zasmolony paluszek wyciągnął się znów w stronę manuskryptu.

— Trzy?... — zapytała przechylając główkę.

— Nie — odparł ojciec z uśmiechem — jeszcze nie trzy, ale za to będą pieniążki i buciki dla Maryni.

Malutka spojrzała na swe nóżki, na których ledwie trzymały się resztki pantofli.

— Tupty? — zapytała raz jeszcze.

— Tak — siadając odpowiedział Zawiejski. — Ale niech Marynia idzie do swego kącika i tatusiowi pisać pozwoli. Inaczej bucików nie będzie i Marynia nie pójdzie na spacer.

— Hajti! — poprawiła z powagą dziewczynka, sunąc

się jak kula do kąta, gdzie zajęła się na razie bardzo gorliwie stawianiem babek z wilgotnego piasku.

Zawiejski podniósł knot u lampy i ujawszy pióro, pisać szybko zaczął.

Pragnął odzyskać czas stracony na rozmowie z dzieckiem, a jeszcze kilkanaście stroniec pozostawało mu do przetłumaczenia. Postanowił skończyć nowelę jeszcze dziś wieczorem, gdyż po prawdzie, był to jeden dzień w tygodniu, w którym rozporządzał swym czasem.

Jutro iść musi do biura, wieczorem śpieszyć na lekcje, gdy późno w nocy wróci do domu, jest tak znużony, że trudno mu pisać cokolwiek.

Zresztą, tłumaczenie to nie idzie mu zbyt łatwo. W rzeczach tych potrzeba mieć pewną wprawę, tak zwaną rutynę. Zawiejski zanadto chciał być poprawnym, sumiennym. Treść noweli porywała go, talent autora olśniewał, błyskotliwa werwa Francuza imponowała temu nieszczęsnemu

molowi biurowemu pogrążonemu w otchłani nędzy i długów lichwiarskich.

Pisząc, mimo woli odrywał myśli od tych małych trosk, które mu kości toczyły, cały pogrążony w fikcyjnym świecie czarów i łatwych miłości, miał chwile złudzenia...

Zapominał o biurze, pobranej zaliczce, należnych za lekcje pieniądzech, nie myślał o zuchwałej słudze, o upominającym się o komorne gospodarzu, o braku ciepłego palta i zbliżającej się zimie, o grobie żony wyczekującym od lat trzech kamiennego krzyżyka lub piaskowej choćby płyty...

Lecz o jednym zapomnieć nie mógł, pisząc nawet o przygodach barona Pressy-Bussac i hrabiny Vyelgarde. Marynia i jej podarte pantofelki kręcały mu się ciągle przed oczami. Trzeba małutką koniecznie wyprowadzać na świeże powietrze... Ona sama domaga się tego ciągle, tak jak-

by małe jej płuca potrzebowały zaczerpnąć mniej zacieśnionej atmosfery, niż ta, jaka panuje w jej kąciku.

Zresztą on sam wie, że dziecku potrzeba się odżywiać powietrzem, inaczej nie będzie po prostu znieść w stanie walki życiowej. Jej matka, wychowana w wilgotnym i zapadłym kącie starej antykwarni, była wątłą i miała wpadnięte piersi. Marynia pomimo nadludzkich wysiłków, jakie czyni ojciec, aby odżywiać ją starannie — ma już teraz podniesione i podane ku przodowi ramionka, a siadając pochyla się naprzód, jak to zwykła czynić jej matka, zwłaszcza w dni chmurne i dżdżyste...

Lecz Marynia nie ma ciepłych bucików, tylko podarte letnie pantofelki. Trudno maleńką narażać na przeziębienie. Potrzeba więc koniecznie kupić dziecku wysokie buciki, wyłożone flanelką, takie same, jakie codziennie Zawiejski ogląda na wystawach sklepowych. Kosztują parę rubli, a tu do pierwszego daleko.

Niemilosierny Prechner zabiera mu znaczną część pensji.

Dług ten ciągnie się od choroby żony, u której w ostatnich chwilach życia zbudziło się pragnienie wykwintu, zbytku i chęć posiadania rzeczy, jakich całe życie odmawiać sobie musiała.

Zawiejski na koldrę umierającej składał ananasy, saszety woniejące werweną, pudełka welutyny, paczki mandarynek, kryształowe flakoniki, flaszki corylopsisu — opłacając te odrzucane za chwilę w kąć cacka całymi dniami terażniejszej nędzy, wśród których on i dziecko brakiem

cieplej odzieży okupywali ananas dotknięty sztywniejącymi palcami umarłej kobiety.

Zawiejski przed pracą się nie cofał. Razem ze śmier-

cią żony przygasły w nim wszystkie pragnienia użycia. Być może, iż to było tylko chwilowe, w każdym razie mężczyzna ten pracował od świtu do zmroku, powracając do domu, aby dziecko do snu utulić i usiadłszy przy stoliku czytać — lub usiłować... czytać.

Był wtedy tak zmęczony tą pracą biurową, bezmyślnym kreśleniem suchych cyfr, że mimo woli wzrok jego błędził po kartkach książki, a znużona głowa do snu się chyliła.

I siedział tak długą chwilę pogrążony w półśnie, z którego zrywał się raptownie, sądząc, iż słyszy kaszel żony lub jej cichy, bolesny jęk...

Lecz nie — to tylko przywidzenie.

To Marynia śpiąc kaszlnęła lub jęknęła cichutko, jak umieją jęczeć tylko dzieci, od których matka w dal ciemną odeszła.

I biedny ojciec stał znów nieporuszony na środku tego pustego pokoju, po którego kątach igrały cienie, nie odważając się zbliżyć do kilku krzesłek, połączonych szpagatem i stanowiących łóżko Maryni; zdawało mu się, że dziecko skarży się we śnie na swoją dolę i niezaradność ojca...

Lecz co miał począć?

Syn względnie zamożnych rodziców, którzy cały majątek stracili, już w gimnazjum znalazł się na rozdrożu.

Nie mając zbyt wybitnych zdolności ani energii, opuścił ręce i zaczął iść przez świat po omacku, szukając kariery. Dostał wreszcie miejsce w biurze i zaprzął się do codziennej pracy, z zaparciem się jaśniejszych pragnień i dążeń. Czerpiąc z małego posażku żony z całą nieogłędnością człowieka słabego, nie czuł początkowo wielkiego braku. Posażek się wyczerpał, żona zmarła, porodziwszy dziecie i oto Zawiejski znalazł się w rozpaczliwym położeniu człowieka szarpanego przez dłużników i codzienne życia potrzeby.

Powoli zaczął oglądać się na swych kolegów biurowych. Dowiedział się, że ten i ów „nocami dorabia, sobie”,

przepisując akta adwokackie, pisząc role teatralne, kopiując manuskrypty. Jeden z nich posiadając język niemiecki, przetłumaczył dziesięciolokciową powieść, biorąc po groszu za trzy wiersze druku. Chwalił się tym, zadzierając do góry głowę. Zdawało mu się, że jest powieściopisarzem i mówiąc o literatach dodawał zwykle „my”, obserwując spod oka uczynione wrażenie... W zapleśniałej atmosferze biurowej słowa jego brzmiały dźwięcznie i jakiś jasny promień samodzielnej na pozór pracy przewijał się wśród kurzu starych papierów i woni zniszczonych kartek. Ten i ów zazdrościł szczęśliwcowi.

— Tak! zapewne... — mówił tłumacz, zwijając papierosa — rzecz ,to zyskowna, ale na to trzeba mieć wykształcenie, talent i posiadać języki... Słyszając te ostatnie słowa, Zawiejski, który nigdy nie przyjmował udziału w gwarnych pogawędkach biurowych, podniósł głowę.

Posiadać, języki?

Wszakże on zna doskonale język francuski. Gdy był dzieckiem, pierwiej modlił się po francusku niż w rodzinnym języku. Dlaczegoż nie mógłby spożytkować tej umiejętności?

Mógłby zarobić dość łatwo parę rubli, które teraz spadłyby nań po prostu jak z nieba. Te buciki Maryni sen mu po prostu odbierały. Gdy spojrzy na świat Boży i zobaczy słońko, śmiejące się w jesiennym złocie, serce mu się ściska na myśl o tym maleństwie, siedzącym w ciemnym kącie pustego pokoju.

Och!... gdyby...

Wróciwszy z biura do domu otworzył małą paczkę stojącą pod łóżkiem. Były tam książki żony, które ona udawała, że czyta w chwilach polepszenia. I tak, jak nabrała nagle wraz ze zbliżającą się śmiercią ochoty do wciągania woni drażniących i pokrywania zapadłych policzków obłokiem welutiny — tak samo zapragnęła czytać te książki francuskie, których ilustrowane okładki napępiały ją za życia niezdrową ciekawością.

Zawiejski powoli książki wyjmować począł i odkładał je w miarę czytania tytułów.

Żółta pogryzmołona okładka Victora [!] Monroya, atlasowa, delikatna stronica Satina, wreszcie. złoto-niebiesika Gaydy. Nad tą ostatnią zastanowił się chwilę. Może by wybrać coś z tych drobnostek pełnych werwy i humoru. Lecz tuż pod portrecikiem Fifony przeczytał zakaz tłumaczenia bez zezwolenia autora. Napisać, prosić o pozwolenie, byłoby

rzeczą zupełnie legalną, lecz... ileż to czasu by upłynęło może na próżno!
a tymczasem buciki Maryni były rzeczą nie cierpiącą zwłoki.

Powrócił więc znów do Monroya i usiadłszy obok paki na ziemi, zaczął
czytać wykwintne szkice wicehrabiego; tuż przy jego nogach przysiadła
Marynia, podciągając szelecзки swego fartuszka.

Oczy dziecka mimo woli wpatrywały się z utęsknieniem w okno, poza
którym żółtawe plamy słoneczne widniały na sąsiednim murze...

Zawiejski czytał, przewracał kartki gorączkowo, nie mógł się zdecydować
na wybór.

Godzina minęła.

Marynia siedziała cichutko, przyzwyczajona do smutnej ciszy, zalegającej
mieszkanie.

Nagle podniosła główkę.

— Tatusiu! hajti!... — wyszeptała, wyciągając rączkę w stronę drzwi.
Głosik ten obudził Zawiejskiego i utwierdził w wyborze. Trzeba się
zdecydować wreszcie na Tendres adieux. Tak! to będzie
najodpowiedniejsze.

Zamknął skrzynkę, powstał z ziemi, zbliżył się do stolika, usiadł i
schyliwszy głowę pisać zaczął.

Lecz szło mu niesporo.

Nowelka, jakkolwiek pisana przez wicehrabiego, miała masę żargonu
zapożyczonego z bulwarów; skądże Zawiejski mógł wiedzieć znaczenie
tych słów, które, znalezione w szóstej figurze kadryla, obiegają później
cały Paryż, mając w sobie ostry dźwięk blach orkiestrowych.

Nieraz potknąwszy się o takie słowo, opuszczał rękę zniechęcony;
wiedział, że w żadnym słowniku nie odnajdzie wyrazów podobnych i silił
się ciężko na odgadywanie właściwego ich znaczenia...

Dwie niedziele przesiedział w ten sposób, pisząc, przekreślając, czytając
półgłosem jak uczeń swe wypracowanie.

Wreszcie praca została skończona.

Szło tylko o przepisanie i zanieśenie do którejkolwiek redakcji.

Przepisanie trwało dość krótko, a gdy Marynia, postawiwszy setną babkę z
piasku, przetarła oczki i przysłała oprzeć senną główkę na kolanach ojca,
Zawiejski składał właśnie ćwiartki manuskryptu, numerując je u góry i
poprawiając punktację.

Uśmiech, gość dawno nie widziany, przewijał się po zwiędłej przedwcześnie twarzy mężczyzny.

Był rad z dokonanego dzieła.

Spoglądał z pieszczotliwą wdzięcznością na ten niewielki zwitek papieru, w którym tyle nadziei pokładał...

Wreszcie pochylił się nad dzieckiem i posadziwszy je na swych kolanach, delikatnie rozbierać począł.

Gdy z kolei z małych nóżek zdjął podarte pantofelki, uśmiechnął się tajemniczo.

— Będą buciki! — wyrzekł, tuląc dziecko do piersi. — Tupty? — powtórzyła Marynia. — Tupty, kiedy tak chcesz koniecznie — odpowiedział, śmiejąc się prawie wesoło.

Nazajutrz pod pozorem nagłego zasłabnięcia wymknął się z biura i z bijącym sercem pośpieszył do jednej z najbardziej znanych redakcji.

Długo stał na wschodach nie mogąc stłumić wrażenia; mgła jakaś oczy mu zasłaniała, gdy schwycił za klamkę.

Wreszcie otworzył drzwi i potknął się o chłopca pędzącego z korektą.

— Czy można widzieć pana redaktora?

— Je śniadanie.

— To może...

— Pan sekretarz też je śniadanie i wszystkie panowie też...

Zawiejski cofnął się do sieni.

— Przyszedłem nie w porę — pomyślał — poczekam chwilę.

Redakcja jedząca śniadanie o dwunastej zaimponowała biedakowi niezmiernie.

Po półgodzinnym oczekiwaniu Zawiejski uznał za stosowne wsunąć się znów do przedpokoju.

Tym razem los posłużył mu, spotkał się oko w oko z naczelnym redaktorem, który przed chwilą przestał telefonować, lecz nie odszedł jeszcze od aparatu.

— Czy nie mogę się widzieć z panem redaktorem? — zapytał pokornie Zawiejski.

Zapytany odwrócił się szybko i od stóp do głowy zmierzył wzrokiem natręta.

— Ja nim jestem — odparł, wyjmując piórko do zębów z bocznej kieszeni kamizelki — czym mogę służyć?

— Przyniosłem przetłumaczoną nowelkę... Redaktor przymrużył oczy.
— Ach!... zapewne z francuskiego.

— Tak.

— My tłumaczeń nie drukujemy.

Z tymi wyrazami redaktor zwrócił się szybko do telefonu i po dzwonieniu, przykładaniu ucha, powtórnym dzwonieniu rozpoczęło się sakramentalne:

— Nie słyszę!...

Zawiejski uczył, że odejść powinien.

Wysunął się cicho, potrącony na progu przez tegoż samego chłopca wy dostał się na wschody.

W sercu czuł po prostu ból dotkliwy.

Dlaczego?

Jeśli nie drukują w tym piśmie, wydrukują w innym.

Trzeba spróbować...

Niedaleko jest druga redakcja, nie codziennego, lecz tygodniowego pisma.

Są tam dość duże dodatki, potrzeba materiału zapewne... Kto wie?...

Od progu uderzył Zawiejskiego krzyk i hałas niebywały.

Rozczochrany jegomość, stojąc wpośród obłoków dymu, mył ręce w blaszanej miednicy.

— Co tu gadać! nam trzeba kogoś z pieniędzmi, żeby fen patrycjat pieniężny zgnieść na miazgę!...

Blady, wystraszony młokos próbował oponować.

— Siły moralnej, nie materialnej nam trzeba...

— Pieniądzy!... Pieniądzy!... — wrzeszczał myjący się człowiek i w zapale bryztał na wszystkich wodą, mocząc nagromadzone po kątach stosy papieru. Zawiejski cofnął się przerażony niehumanicznym wyglądem i dzikim głosem człowieka, który pożył tak bardzo pieniędzy.

Czuł, że zjawia się nie w porę, w chwili jakiegoś przesilenia redakcyjnego, zrozumiał, że byłby źle przyjęty, wołał nie narażać się więcej.

Godzina powrotu do biura zbliżała się...

Zawiejski westchnąwszy, schował manuskrypt w kieszeń i podążył w stronę swojego więzienia.

Dzień był pogodny, słoneczny. Całe gromadki dzieci snuły się po chodnikach, tupiąc nóżkami ubranymi w cie-

płe buciki. Zawiejski szedł, spoglądając ciągle na te małe nóżki, migające na szarym tle chodnika i żal mu wzbierał w sercu na myśl o Maryni. Nagle mignęła mu przed oczyma złocista tablica i napis „Redakcja” zaświecił w powietrzu.

Zajdzie i tu, zajdzie wszędzie... może wreszcie ludzie zrozumieją o co mu idzie i uczynią choć jakąkolwiek nadzieję.

W ciasnej przestrzeni parterowego pokoju rozsiadło się dwóch ludzi, palących papierosy. Jeden z nich, w długich butach i miękkim filcowym kapeluszu, stukał laską o ziemię i chrząkał ustawicznie. Drugi wpatrywał się w piec, powtarzając machinalnie dwa tylko słowa:

— Wszystko jedno!

Gdy Zawiejski otworzywszy drzwi znalazł się pomiędzy nimi, obaj spojrzeli na przybysza pytającym wzrokiem.

— Przynoszę... nowelkę — wyjąknął Zawiejski.

Jegomość w butach stuknął kijem.

— Obstalowana?...

— Nie!... to ja sam, pragnę spróbować!....

Mężczyzna pod piecem wyciągnął rękę.

— Daj pan!...

Drżącymi ze wzruszenia rękami podał nieszczęsny biuralista zwitek papieru.

— Proszę pana redaktora!

— To nie redaktor! — mruknął właściciel kija. Drugi wzruszył ramionami.

— Wszystko jedno! — bąknąłziewając, i ująwszy podawany zwitek, cisnął go na stół redakcyjny; lecz Zawiejski stał jakby oczekując czegoś.

— Kiedy się zgłosić mogę? — zapytał widząc, że obaj panowie milcząco zagłębiają się w dumaniu. Kij stuknął dość znacząco. Jegomość spod pieca poruszył ramionami. — Może jutro? — zapytał ojciec Maryni.

— Wszystko jedno! — brzmiała odpowiedź.

Zawiejski wyszedł i gdy znalazł się na ulicy otarł pot z czoła.

W pokoju redakcyjnym pozostali mężczyźni spojrzeli przygasłym wzrokiem na zamykające się powoli drzwi.

— Proletariat literacki — mruknął właściciel kija.

— Wszystko jedno!... — odparł jegomość spod pieca.

Na drugi dzień po źle przespanej nocy, jeszcze wczesnym rankiem pobiegł Zawiejski w stronę redakcji, w której zostawił swój rękopism.

Zastał samego redaktora, wysokiego, tęgiego mężczyznę, zajętego wiecznie tym, co do niego nie należało i troszczącego się więcej o swoje sukcesy balowe, niż o sprawy redakcji.

Zawiejski wszedł cały zgorączkowany, podrażniony słowami Maryni, która dziś rano domagała się prawie ze łzami wyprowadzenia na spacer. Pan redaktor przeglądał się właśnie w ręcznym lusterku i poprawiał kołnierzyk.

— A! a!... nowelka? tłumaczona? — zapytał.

— Tak, przyniosłem wczoraj — odparł nieśmiało Zawiejski.

— A! a!... jest... tu... prawdopodobnie to?

— Tak jest, panie redaktorze.

— Hm... widzisz pan... Jakże tu panu rzecz tę wytłumaczyć? My mamy stałą tłumaczkę, siostrę jednego z naszych współpracowników...

Zawiejski uczył, że błędnie.

— Jednak można by raz zrobić wyjątek...

— Nie, panie, niepodobna! Zasady przede wszystkim. Chyba... może... na rok przyszły...

— To... proszę o manuskrypt.

— Służę... poczekaj pan, owinę panu papierem.

I owinąwszy ćwiartki arkusikiem czystego papieru, podał je Zawiejskiemu.

Machinalnie wyciągnął po nie rękę ojciec Maryni i powoli wyszedł z redakcji.

I zaczęła się istna pielgrzymka dla nieszczęsnego

człowieka, pielgrzymka upokarzająca, w której miłość własna, nieśmiałość, wstyd ubóstwa, przeświadczenie o własnej słabości — wszystko na widownię wyjść musi...

Pod ileż zimnych, obojętnych spojrzeń, siekących jak uderzenie różgi, musiał nadstawiać swą twarz wybladłą i zniszczone odzienie ten człowiek,

którego całą winą było, że chciał pracą dziecku swojemu zdrowie zapewnić!...

Wszędzie był, wszędzie dzwonił, wszędzie się wsuwał pokorny i smutny, z ceglastymi wypiekami na zapadłych policzkach... Stali współpracownicy patrzyli na niego jak na intruza. On czuł ten wzrok, ale zaciskał usta, zabijał w sobie dumę i chodził, chodził ciągle, jak żebrak natrętny, niosąc zamiast piosenki, swawolną powiastkę wicehrabiego O'Monroy.

Minęło dwa tygodnie, a jeszcze Zawiejski nowelki tej ulokować nigdzie nie mógł; najczęściej zbywano go obfitością nagromadzonego materiału, to znów istnieniem „własnych” tłumaczek.

W jednej z redakcji zaproponowano mu wydrukowanie nowelki, ale równocześnie ostrzeżono go, że redakcja za „to”... nie płaci, gdyż już... jest taki przyjęty zwyczaj niedawania honorarium za podobnego rodzaju drobiazgi

W innej znów redakcji trzymano cały tydzień rękopism i po przeczuciu zawyrokowano, że temat zanadto lekki nie kwalifikuje się dla pisma, które jest prenumerowane przez... rodziny.

Co wieczór więc powracał Zawiejski ze swoim manuskryptem w kieszeni i co wieczór słyszał cichy, drżący głosik Maryni, odzywającej się z kącika:

— Tatusiu! Marynia chce hajti!

Na co on coraz ciszej i z mniejszą pewnością siebie odpowiadał:

— Pójdiesz, dzidzi, pójdiesz...

— A tupty?...

— Będą, dzidzi, będą...

Wreszcie po długich wędrówkach odnalazł redakcję, która przyjęła z całą radością manuskrypt. Była to redak-

cja tygodnika, który jak piłka z rąk do rąk rozmaitych wydawców przelatywał. Kto tylko miał pięć guldenów w kieszeni, mógł śmiało pretendować o tytuł naczelnego redaktora i właściciela pisma. Co parę miesięcy pojawiał się jakiś numer okazowy z litanią podpisaną nazwiskiem i imieniem nowego redaktora, po czym wszystko milkło i przechodziło w stan odrętwienia.

Lecz obszarpany i brudny pokoik, stanowiący gniazdo redakcji, wrzał zawsze życiem... Od czasu do czasu pomiędzy gromadę dekadentów

wpadał ktoś obdarzony firmą i nazwiskiem, a złudzony obietnicami nowego redaktora.

Zawiejski, znużony i zniechęcony do najwyższego stopnia, przywłókł się w godzinach popołudniowych pod drzwi redakcji, nie żywiąc wszakże wcale dobrej nadziei.

Ta bezustanna włóczęga wyczerpała jego siły i złamała jego duszę; szedł, bo czuł, że iść powinien, lecz stanąwszy wobec redaktora, nie mógł zdobyć się na powtórzenie swej zwykłej formułki:

— Przyniosłem rękopism...

Lecz redaktor, młody człowiek o kwadratowej twarzy i purpurową obwódką okrążonych oczach, z grzecznym pośpiechem zbliżył się do przybyłego.

— Artykuł? co? — pytał, wyciągając ręce poplamione atramentem. — Zda się do numeru okazowego. W jakiej sprawie? co?

— Nie, panie, to nie artykuł, to nowela, Twarz redaktora rozjaśniła się radośnie.

— Przepysznie! Oryginalna? z zacięciem?... Bo to my, panie, stworzymy nowy realizm.

— Nie, panie, to tłumaczenie...

— Z francuskiego? Temat trochę drażniący a gazą przykryty?...

Wspaniale! daj pan manuskrypt. Wydrukujemy!

Ojciec Maryni zaledwie mógł uwierzyć własnym uszom. — A jak prędko?

— zapytał, podając zwitek papieru.

— Ależ za dni parę. Numer okazowy ukaże się niedługo. Właśnie mamy okienko...

W serce Zawiejskiego wstąpiła otucha. Była to niespodziewana radość i to wtedy spada na niego, gdy już całą nadzieję utracił. I cały ten pokój, brudny, ciemny, z obszarpanymi tapetami, wydaje mu się rajem, a kwadratowa twarz redaktora uosobieniem piękności.

Powodzenie go uzuchwala, namyśla się, czy nie mógłby wziąć zaliczki, wracając kupiłby buciki i Marynia jutro rano mogłaby wyjść na spacer.

— Chciałbym jednak... — zaczyna nieśmiało.

— Honorarium? Chodzi panu o honorarium? hm... tak... zapewne, płacimy dobrze, o! lepiej niż gdziekolwiek!... Cent za wiersz... a w dodatku jaki wiersz będzie krótki, zobaczysz pan!

Nagle drzwi się otwierają z impetem i wchodzi wysoki, tęgi mężczyzna.

Zawiejski poznaje w nim siedzącego pod piecem jegomościa, który kilka dni temu z rąk jego odebrał tłumaczenie nowelki i rzucił na stół redakcyjny.

Przybyły wchodząc, anonsuje się od razu energicznym plunięciem i wygłoszeniem dwóch słów.

— Wszystko jedno!

Po czym skinąwszy głową redaktorowi, rozsiada się na krześle.

— Przyniosłem artykuł o szlachcie, ale nie dam go pierwej, aż pieniądze zobaczę — mówi, uśmiechając się złośliwie..

— Ależ... będą! będą pieniądze, łaskawco! — uspokaja redaktor, a zwracając się do Zawiejskiego dodaje:

— Pana dłużej nie zatrzymuję... proszę o adres, ażebym mógł numer okazowy nadesłać!

Zawiejski podaje swój adres i odprowadzony do drzwi przez grzecznego redaktora wychodzi na schody pełen najlepszej otuchy.

Mój Boże!... nareszcie, nareszcie za dni parę da dziecku tyle upragnione bućki.

Tymczasem w redakcji ciągnęła się dalej pomiędzy redaktorem a autorem artykułu o szlachcie dyskusja. Literat był nieubłagany... Żądał koniecznie pieniędzy i gotował się do odejścia.

— Albo pieniądze, albo nic — mruzczał oglądając swój zniszczony cylinder i wkładając go na głowę.

Cylinder zsunął mu się na oczy.

— Nikczemna bestia rozlazła się na deszczu!... Zdjął kapelusz i zaczął oglądać się za kawałkiem papieru.

— Siadaj pan... — prosił redaktor — siadaj pan. Pomówimy spokojnie. Ja daję słowo, że zapłacę...

— Co tam słowo! — No zawsze...

— E! wszystko jedno!...

I wielka, włosem obrośnięta ręka literata, sięgnęła po zwitek papieru leżący na biurku.

— Wydrukujemy panu na naczelnym miejscu, większymi niż inni literami

— zapewniał redaktor.

— Wszystko jedno!

— Zaraz po słówku od redakcji. — Wszystko jedno!...

Teraz literat z całą powagą składał ćwiartki manuskryptu Zawiejskiego i robił sobie z nich rodzaj wałka, który zamierzał włożyć za podszewkę kapelusza.

— Więc zgoda! zostawiasz pan manuskrypt?...

Literat uporał się z cylindrem i włożył go na głowę, resztę kartek zrzucił na ziemię pomiędzy śmiecie i stosy gazet zalegających brudną podłogę.

— Siedzi bestia przynajmniej — mruknął tryumfująco.

Wstał i ku drzwiom zmierzał. Redaktor zrozpaczony oparł się o biurko. — Odchodzisz pan? — zapytał. Literat wzruszył ramionami.

— Ależ... pan, zdaje się, jakiś manuskrypt mi podarłeś!

— Wszystko jedno! — brzmiała odpowiedź.

Numer okazowy nie wyszedł dotąd jeszcze, a Marynia siedzi wciąż w swoim ciemnym kąciку i wystawiając nóżki w podartych pantofelkach pyta:

— Tatusiu! a tupty?

DO ODDANIA — NA WŁASNOŚĆ

...nareszcie po długiej walce zdecydowała się podać do „Kuriera”. Zredagowała tych kilka wierszy w nocy, dolawszy poprzednio do wyschniętego kałamarza trochę herbaty. Zapomniała, że herbata była ocukrzona, więc litery rozmazywały się i czyniły pismo, już i tak koszlawe, do reszty nieczytelnym. Malicka jednak nie zastanawiała się w tej chwili nad szpetotą tych kartek, bielących się na grzbiecie stołu w niepewnym, żółtym świetle lampki. To, co pisała, zasłaniało jej wszystko, całą resztę ubóstwa, barłogi, na których spały dzieci, łóżko z pościelą rozrzuconą, wśród której czerniła się zarośnięta głowa męża. W cieniu i ciasnocie tej izby, w której okienko, z jednej szybki złożone, niknęło wśród cienia, pochylona nad stołem kobieta, przekrzywiając

głowę, ściskając wąskie i wybladłe wargi, zgrabiałymi od chłodu palcami kaligrafowała:

— Do oddania — na własność. Dziewczynka lat ośmiu, łagodnego i miłego charakteru, jasnobłond włosów, ciemnych oczu...

Zatrzymała się nagle, szukając w umyśle, co by dodać mogła jeszcze i po chwili opuściwszy głowę, pisała:

— Dobrego urodzenia, wiary rzymskokatolickiej — do oddania • — na własność.

Teraz wzrok jej pobiegł w kąt pokoju, w którym zółcił się snop jasnych włosów, rozwichrzonych na kłębku

ciemnej odzieży w kształt poduszki zwiniętej. Spod tej masy jasnozłotej, rozplywającej się w przestrzeni srebrnawymi tony, jaśniał kraj twarzyczki ku ścianie zwróconej.

Dziewczynka spała niespokojnie, drgając co chwila, jak istota silnie zdenerwowana. Jedna ręka w długi barchanowy rękaw spowinięta chwyciła się kurczowo krańca barłogu. Druga niknęła pod strzępami watomanej kołdry.

Malicka patrzyła chwilę w ten kąt, lecz oczy jej były suche i szkliste. Z determinacją pochyliła się znów nad stołem.

— Tamże, chłopczyk lat pięciu, ładny, silny, wiary rzymskokatolickiej, dobrego urodzenia — do oddania — na własność. Tamże, dziewczynka lat dwóch, brunetka — do oddania — na własność.

Skończyła.

Nie przejrzała wszakże tych kartek, lecz złożyła je pośpiesznie i spiąwszy je szpilką, przyczepiła do podszewki od swojej spódnicy.

Po czym wsunawszy ręce w postrzępione rękawy kaftana, stała tak około stołu nieruchoma, w kąt, w którym spały dzieci, wpatrzona.

Deszcz siekł szybką tkwiącą w kącie w szyi długiej, zagłębionej w murze, po dachu płynęły szemrzące strugi i ściekały w rynnę z łoskotem kaskady. Jesienna noc, brudna, smutna miastowa noc wydzierała ludziom duszę z piersi, szamocącą się jak skrzydła nietoperzy tęsknotą...

W noc taką suchotnicy kaszłą, a samobójcom żyć się nagle zachciewa... .

Stojąca koło stołu kobieta miała na swej wynędzniałej twarzy powagę dopełnionego a łamiącego ją postanowienia. Rysy jej wydłużyły się, jak w chwili agonii, oczy zapadły jeszcze głębiej, całe oszklone szybą rozpaczliwej determinacji. Wyprostowała się, cała sucha, strawiona nędzą,

drobnokoścista, młoda jeszcze, a już stara w swojej pocerowanej i smutnej sukni, cudem ramion się jej czepiającej. Musiała być kiedyś bardzo piękną i oczy ciągnącą. Dziś stała jak szkielet obłany żółtym, zgniłym światłem. Miała

w sobie nieruchomość żelaznej sztaby, rdzą przecież zgryzionej. Zdawało się, że słucha deszczu.

Ona jednak słuchała w tej chwili jęku swojego serca. Dławiła się nim, zacinając w jakimś gniewnym uporze.

— Musi tak być!... ty płakać nie śmiesz!... słyszysz!... ty płakać nie śmiesz!...

Drgnęła cała, zdawało się jej, że to ktoś za nią te słowa powiedział...

Nie, to ona sama miała je w myśli i tyranizowała nimi brutalnie swoją duszę, którą los od lat dziesięciu i tak targał w strzępy, wiewając tryumfalnie tym łachmanem, w łzach spazmatycznych skapanym. Dziś kobieta łez już nie miała i stała tak w pomroku tej jesiennej nocy jak słup przydrożny, z którego ulewy barwy zmyły, smutny szkielet o smugach splukanych tęczowych pasm nad mogiłą przejęczanego życia. W chwili bezbrzeżnej rozpaczycy postanowiła rozdać „po ludziach”- dzieci, rodzone wśród bólu, krew swojej krwi, cząstki oderwane swojego ciała. Stała u brzegu nędzy, w 'kraju głodu, bez sił do dalszego zarobku, który węszyła

i chwyciła zębami... każdy kawałek chleba do domu znosząc. Mąż ten, który się tam czernił, wtłoczony głową w cienkie ciało poduszki, stracił miejsce rządcy od lat dwóch. I od lat dwóch szuka miejsca, zasmakowawszy w próżniacze, włóczeniu się po szynkach i biednych restauracjach, gdzie wątróbki w ciężkich fajansowych talerzach roznoszą dziewczyny z papierowymi różami za trykotem stanika i dym siną smugą ponad kulawymi stołami się snuje, a z bręczącą harfą w powietrzu się żeni. Z tej atmosfery szynkownianej wracał do domu podrażniony, wściekły, z oczyma zaciekłymi krwią, z rękami szukającymi nerwowo ciepłych pleców lub dziecięcej głowy, która by dobrze uderzona o mur się z jękiem odbiła. Cała brutalna, chłopska natura odżywała w nim spotęgowana zdenerwowaniem miastowym. Pan rządzca, który tam na wsi trzymał się ostro w swojej szarej kurtce i wykradł pannę z obywatelskiego, sąsiedniego

domu, dziewczynę ujrzaną na łanie pszenicy w florenckiej pasterce i długich rękawiczkach, ten sam pan rządzca tu, w mieście, stawał się ordynarnym chłopem, ekonomicznym synem, a wnukiem gospodarskim, beczynnym, zrozpaczonym, pijącym to, co pod rękę podpadło, z zadatkami na nałogowego pijaka. I nigdzie nie mógł zagrzać miejsca ten Malicki butny, hardy, ledwo ogładzony, imponujący ludziom ostrą, rosochatą czupryną i niekarnym temperamentem. Panom w oczy butnie patrzył, nie ustępując, rezonując, wystawiając na pokój nogę obutą w gruby, niekarny but z podkutą podeszwą. Właściciele wsi usuwali go szybko, zwykle po gwałtownej scenie i tak powoli został się bez miejsca z ową wykradzioną w chwili fantazji żoną i trojgiem dzieci. Malicka pracować zaczęła, szarpiąc się w kole ciasnego swojego wykształcenia, kalecząc ręce nad szydełkowymi robotami, które z krwią nabiegłą do skroni kończyła, wtulona w szyję muru pod szybką okienka. Oprócz tego pracowała w sekrecie u żony gospodarza, przygnieciona wstydem i pełna jeszcze obywatelskości swojej. Nie mogła zgodzić się na zostanie sklepową, czułaby się za ladą zanadto poniżoną. Dzieci drżały z zimna i nudów w ciasnej i ciemnej izbie, ledwie odziane, dodzierając jeszcze reszty łachmanów przywiezionych ze wsi. Wreszcie długi w sklepikach wzrosły, gospodyni wyjechała do Wiednia, zapotrzebowano mniej chustek harasowych i Malicka stanęła u kresu swojej nędzy. Cały tydzień walczyła, żebrała nieledwie w sklepiku o trochę kartofli, kaszy, nafty, aż wreszcie z oczyma suchymi, z ustami zaciętymi zasiadła do napisania owej kartki.

— Do oddania — na własność...

Jaką Kalwarię przebyć musiała tej nocy jesiennej ta kobieta, prawie od bólu zmartwiała, wiedziała ona jedna tylko, stojąc tak ze skulonymi rękami, z oczyma powleczo-

nymi mgłą szklistą! Nagle myśl jedna przeszła jej przez umysł i dręczyć zaczęła uparcie. Nie ma ani grosza... za co umieści ogłoszenie. Jednak przypomniała sobie, że mąż rozbierając się zadzwonił miedziakami w kieszeni surduta. Nie może być tego wiele, zawsze jednak cokolwiek...

resztę ci panowie z „Kuriera” darują albo może zborgują. Będzie prosiła!... już i tak prasując na dnie razem ze sługami, wszystkiego wstydu się wyzbyła! Cicho więc, ruchem widma posuwa się do łóżka i sięga do odzieży męża, zrzuconej niedbale na sosnową poręcz. Lecz Malicki przeczuwa jej ruchy. Kopie silnie deski łóżka i ochryłym głosem woła: — Nie ruszaj!... to moje!...

Kobieta jednak nie puszcza pochwyconej odzieży. Po raz pierwszy stawia opór. Szuka febrycznie rozsypanych za podszewką miedziaków.

Wynalazła je, ostrożnie rękę wysuwa i znów do stołu wraca. Odwrócona do lampy, liczy, marszczy brwi, wreszcie pieniądze do swojej kieszeni wsuwa. Wygrał pewnie w bilard w tej knajpie na rogu, do której się schodzi po kilku schodach i w której całą noc na harfie grają. W tej chwili mało ją to obchodzi. Gdyby nawet te pieniądze były skradzione, to ona je i tak weźmie i za ogłoszenie nimi zapłaci. Nie ma wyboru, tak być musi! tak być powinno!... Najmłodsze dziecko przez sen żałośnie jęczy.

Skomli jak małe szczeniátko, zagrzebane wśród łachmanów. To ta dwuletnia brunetka, o której już nic w ogłoszeniu nie dodała, bo czuła, że jeszcze kilka sekund, a ryknie takim płaczem, że wszystkich ze snu pobudzi. Mazia, najmniejsza, najmłodsza, najpiękniejsza ze wszystkich, o czarnych włosach i oczach Cyganki, ze spieczoną, regularną twarzą!... Karmiła ją sama i niedawno odłączyła, choć dziewczyna była już duża i blisko dwa lata miała. Teraz Mazia kaszle i jęczy w kącie zaciemnionym pod ścianą, w nogach starszej siostry.

Malicka odwróciła się, chcąc podejść do dzieci i otu-

lić je łachami, które pozrzucały z siebie. Lecz w pół drogi zatrzymała się. Nie śmiała dotknąć się tych drobnych istot, które niebawem miały nie być już jej własnością. Z wyciągniętą ręką, z zaciśniętymi konwulsyjnie ustami pozostała tak na środku izby, nieruchoma, blada, jak złoczyńca w przededniu zbrodni.

Poza nią przez małą szybkę okna jaśniejszy kwadrat światła przeświecać zaczynał.

Dzień wstawał leniwy, brudny, jesienny, wypłukany nocną ulewą z barw i blasku.

W kącie lampa powoli gasła.

Ogłoszenie pojawiło się dwukrotnie i Malicka żyła od tej chwili w strasznej gorączce. Czesłała, myła dzieci, usadzała je rzędem, przypatrywała im się długą chwilę, to znów wybiegała do sieni i tam, oparłszy głowę o ścianę, stała tak długo, oddychając ciężko. Mąż zniknął co dzień z rana i zjawiał się dopiero późno w nocy — bez przeszkody więc mogła dać adres swego własnego mieszkania i oczekiwać na przyście czyjekolwiek. Chwilami z dziką rozkoszą myślała o chwili, w której rzuci znienawidzonemu przez siebie człowiekowi: — „Nie masz dzieci!... oddałam je wszystkie!... bić nie masz już kogo!...” To znów drżała; słysząc kroki na schodach. Chciała zamykać się i powiedzieć: „To nie tu!... nie tu oddają dzieci na własność...” Nie robiła jednak tego. Kręciła się po izbie jak hiena, nie mówiąc słowa do dzieci, które, zdziwione postępowaniem matki, śledziły ją niepewnym wzrokiem. Mazia tylko czepiała się jej spódnic jak dawniej i szczebiotała coś niewyraźnie. Natomiast sześćioletnia Genia, kobiecym już przecuciem zdjęta, kryła w cieniu swą bladą, anemiczną twarzyczkę, poznaczoną sińcami. Ona to bowiem najczęściej, zasłaniając rodzeństwo, odbierała razy ojcowskie, bez jęku, z zaciętym uporem przeznaczonej na ból istoty. Cała siła żywotna tego wynędzniałego ciała zdawa-

ła się przechodzić w olbrzymi snop włosów, spadający na plecy długą strugą warkoczy. Chude, wąskie ręce dziecka przesuwwały się ciągle po pasmach tych jedwabi, głaszcząc je cichą, spokojną pieśczętą. Oczy szare, smutne utkwiała w matkę i siedziała tak cicho w kątku, jakby w przewidywaniu czegoś zupełnie niezwykłego. Obok niej Kazik, chłopak sześćoletni, rosły, barczysty, o grubych kościach, chłopski dzieciak w ciemni rosnący, o lnianych włosach, chamskiej strzesze na oczy spadającej, wykrzywił swą twarzyczkę dość zdrową i pyzată, niepojętym sposobem wobec złego odżywiania rumianą i czerstwą. Czym się żywiło to dziecko, pozostawione cały dzień własnemu przemysłowi — nie wiadomo, dość że wieczorem, gdy matka rozdelała biedną strawę, on wydymał usta, gładził się po wypukłym brzuchu i mówił z grymasem kłowna:

— Dziękuję!... nie głodnym!...

Matka nie nalegała, widząc pełne policzki chłopaka. Przeciwnie, ze wstydem poniekąd, usuwała swój skromny posiłek, przeczuwając, że

Kazik musi żywić się doskonale z resztek jakiegoś pańskiego stołu. Był to charakter egoistyczny, natura ojcowska, brutalna, lecz zabarwiona pewną domieszką hipokryzji. W kłownowskich minach tego dziecka żył już cały świat pełzania przed możniejszymi, a w danej chwili wybuchania nienawiścią i syczenia jadem. Tyranizował on obie swe siostry, ciągnąc warkocze Geni, przewracając co chwila Mazię. Wobec ojca tylko milkł, lękając się brutalnej siły. Nienawidził go wszakże i często śledził spode łba, zagryzając wargi. Do matki garnał się chętniej, wszelako unikał jej pieszczot. Był to charakter na pozór silny, a w głębi chwiejny i niepewny. Wpływ ojca, przykład, jaki miał przed sobą, zgubnie działał na niego. Łatwo podlegał sugestii i chwytala go mania naśladownictwa. Gdy matka wyszła z domu, Kazik na Geni i Mazi próbował brutalstw ojca. Śmiał się później do rozpuku, gdy dziewczynki przed jego szeroką, silną ręką chroniły się po kątach, nadstawiając plecy.

Czasem na tę scenę wchodziła Malicka i wtedy zdejmował ją lęk o moralną nędzę Kazia, która zdawała się zapowiadać stokroć większa, niż nędza jego ojca. Nie wiedziała, jak poczynać sobie z tym chłopakiem, który w podartej bluzce stał silnie osadzony na prostych kształtnych nogach, przyczepiwszy się do muru palcami. Czowała potęgę i brutalną przemoc we wzroku dziecka i unikała tego spojrzenia. Miała w sobie lęk, który opanowuje subtelniejszą i delikatniejszą naturę wobec rozpanoszonej nagle zwierzęcej potęgi. Ten mały „chłop” tyranizował i przygniatał jej „obywatelskość”, która się płoszyła w nagłym zetknięciu ze wzrokiem butnym, spod chyry strzelającym...

Nagle zastukano do drzwi nieśmiało, lekko, jakby metal jakiś delikatnie o drzwi uderzał.

Malicka drgnęła cała i stała milcząca, przygnieciona, jakby w oczekiwaniu uderzenia gromu.

Drzwi otwarły się powoli i na progu, w nagłej jasności, płynącej w tę więzienną ciemnicę, stanęła elegancka postać kobieca.

— Czy tu są dzieci do oddania na własność? Głos był miły, sympatyczny. Malicka wciąż stała na środku izby i nerwowe drżenie ogarnęło ją całą. Więc już to przyjść musiało!... przychodzi mimo wszystko, co się w jej sercu dzieje.

Nowo przybyła wsunęła się do izby i drzwi cicho zamknęła.

— Chciałabym zobaczyć dziewczynkę.

Malickiej serce zabiło gwałtownie. Dziewczynkę!... ale którą: Mazię? Genię? I za jedną, i za drugą szarpała się w niej dusza, wołając: nie! nie!... nie dawaj!...

Dama oczy przymrużała, spod rzęs w kąty patrząc.

— Ciemno trochę.

Malicka nareszcie poruszyła się i gwałtownie do stołu się rzuciła.

— Ja lampkę zapalę...

Gdy drżącymi rękami szukała zapalek, dama z szelestem jedwabnych podszewek usiadła na krześle i Malicka doznała odurzającego wrażenia z całych kłębów werweny, ciągnących się w powietrzu. Razem z tym zapachem porwało ją wspomnienie młodości, dzieciństwa, pokoju matki, w którym z fałdów portier i jedwabnej kołdry płynęła wiecznie woń werweny, jej własnych sukienek oblanych tą esencją, tualetki z kryształowymi flakonikami ustawionymi w trzciniowym koszyczku. W podartym swym kaftanie wyprostowała się nagle, jakby wraz z tym subtelnym zapachem wróciły jej dawno zapomniane dobre ułożenie i manieri. Spojrzała w twarz damy, twarz o silnych, ostrych rysach, obramowanych doskonale ufryzowanymi włosami — i uczuła się nagle w swym otoczeniu, w jakimś kole, z którego wybiegła na chwilę i do którego byle co — ot — werweny kropla na powrót wprowadzić ją może.

Lampka zapalona świeciła blado, dając bobrowemu kołnierzowi damy srebrne leciuchne połyski.

— Proszę md pokazać dziewczynkę ośmioletnią... chcę ją wziąć nie za swoją, bo mam sama córkę, jedynaczkę. Moja mała się jednak nudzi sama i rada by mieć towarzyszkę. Mieszkamy na wsi. Chłopskie jednak dzieci mają wiele złych instynktów. W ogłoszeniu jest: „dobrze urodzona”.

Zapewne: szlachcianka?

Malicka wyprostowała się jak struna. — Szlachcianka z matki — odparła.

Dama rozpięła aksamitny paltocik. — Pani wdowa? — Prawie... to jest nie...

— Może pani z mężem nie żyje?... W głosie damy brzmiała surowość.

Malicka się przełękła.

— O nie!... owszem!... żyjemy jak najlepiej. Mąż mój był... to jest... trzymał dzierzawę... spaliliśmy się... rozmaite nieszczęścia.

Kłamała, strojąc rządcostwo męża w dzierzawę, zdjęta nagle fałszywym wstydem przed tą pachnącą damą, która jej całe utraczone przez mezalians szczęście przypominała.

— Genie — dodała wreszcie — venez ici ! Pragnęła trochę francuszczyzny pokryć łachmany, ubóstwo i całą swą smutną sytuację!

Genia, jak zwykle łagodna i posłuszna, wyszła z kąta i stanęła koło matki. Była blada, bledsza niż zwykle i szeroko rozwartymi oczami patrzyła na matkę. - -

Dama obserwowała ją chwilę.

— Elle parait très faible...

Malicka przeraziła się dalszej rozmowy we francuskim języku, zapomniała bowiem najprostszych zdań i wyrazów.

— O!... o jej zdrowie nie ma obawy!... Zawsze była tak bladą... to jej cera!...

. — Na świeżym powietrzu będzie lepiej wyglądała. Ma śliczne włosy, skoro się ją ubierze, uczesze, będzie presentable. Czy umie cośkolwiek?

— Czyta, pisze, rachuje...

— Tiens! tiens!... taka uczona. Więcej umie niż moja córka. Enfin będą się razem uczyły i bawiły. W domu jest guwernantka. Pokaż małą rękę... czy palce masz długie i dobre do fortepianu.

Malicka ujęła czerwoną i posiekaną rękę Geni.

— Ręka jest bardzo foremna — odparła, ożywiając się powoli — palce giętkie...

Wyłamywała palce dziewczynki — cała przejęta gorącą chęcią umieszczenia córki u tej damy, która reprezen-

towała w tej chwili dobrobyt, spokój, harmonię barw, tonów, woni i zbytku.

Jeśli ona szaleństwem swoim ze sfery tej wygnana zastała, niechże jej córka przynajmniej choć furtką ciasną do sfery tej wróci.

— Krzywdy mieć u nas nie będzie — ciągnęła dalej dama z uśmiechem

— córka moja jest trochę żywa, ale ma najlepsze serce, park prześliczny,

położenie cudowne... Nie zabronię panie Genie widywać się z rodzicami... O! nie jestem taka nieludzka. Skoro podrośnie — qui sait — może się i mąż odpowiedni trafi...

Uśmiechała się uprzejmie, a spoza otwartych purpurowych warg błyskała ślicznie utrzymana emalia zębów.

— Enfin... dobrze się składa. Córka moja brunetka, ta panienka blondynka. Będzie to kontrast bardzo ładny... Wszak prawda?...

Zwróciła się ku Malickiej, która mimo woli uśmiech jej przejmowała i skłaniała głowę z wytwornym wdziękiem...

— Szkoda tylko, że moja córka nie ma tak pięknych warkoczy. Co pani robiłaś, aby włosy Geni doprowadzić do takiej długości?

— Myłam jej głowę w wodzie portugalskiej — kłamała Malicka.

Genia podniosła oczy na matkę, lecz ta nie czuła zdziwionego wzroku dziecka, gorączka ją ogarniała, usiadła na brzegu łóżka, jakby zabierając się do salonowej pogawędki.

— Tak... zapewne — cedziła dama — woda ateńska jest jednak o wiele lepsza.

— Być może!... lecz ta piana, którą tworzy na głowie...

— Zmywa się ją lekko wodą letnią z kilkoma kroplami werweny... Ale... wracając do Geni, rada bym zabrać ją z sobą dziś jeszcze. Wyjeżdżamy jutro wieczorem, chciałabym, aby oswoiła się ze mną przed wyjazdem. Czy nie

ma pani nic przeciwko temu, aby Genia pojechała ze mną do hotelu?

— O! nie!... owszem... proszę!...

Teraz jednak Genia zrozumiała całą grozę swego położenia.

— Matusiu!... — wyszeptała, konwulsyjnie rękę matki chwytając.

Lecz Malicka, cała zgorączkowana, wzruszyła ramionami.

— No co? no co?... — zapytała niemal gniewnie — zabieraj się. Pani czeka!...

— Matusiu!... — powtórzyło dziecko, a usta mu drżały i oczy we łzach błyszczyć zaczęły.

— Przecież pójdziesz tylko z panią niedaleko... a ja tam jutro wpadnę!... Dama powstała, krzywiąc się nieznacznie.

— Bo, jeżeli panienka nie ma ochoty... to ja nie nalegam. Nie lubię smutnych i niezadowolonych ludzi koło siebie...

Lecz Malicka zaprzeczać zaczęła.

— Ależ nie! to tylko nieporozumienie chwilowe, Genia rozumie i czuje, co jej robić wypada.

Pochyliła się nad córką.

— Uśmiechnij się!... ciesz się, Geniu!...

Dziewczynka jednak blada głowę pomiędzy ramiona kurczyła.

— Idź!... idź!... — nalegała matka.

Genia chwilę postąpiła jeszcze, wreszcie nie mówiąc już słowa, iść ku drzwiom zaczęła.

Za nią zdawało się, że płynie struga srebrnej jasności, tak błyszczała silnie kaskada jej blond włosów.

— Ja sukienki jej i bieliznę sama przyniosę... — bełkotała Malicka, czując się nagle tym milczącym wyjściem dziecka silnie dotkniętą.

Dama zatrzymała się u progu.

— Nie!... wszystko co będzie trzeba kupię... proszę nic

nie przynosić... Czekam więc jutro. Hotel Brühlowski, numer trzydziesty pierwszy.

— Do widzenia!

Zamieniły ukłon, jak dwie damy kończące ceremonialną wizytę. W sieni Genia, znekana i na wpół przytomna, czekała na swoją nową opiekunkę, do ściany się tuląc.

W godzinę później zastukano znów do drzwi. Wszedł posłaniec z listem zapieczętowanym w ręku.

— Czy tu dzieci na własność? — zapytał brutalnie.

Malicka porwała się z łóżka, na które rzuciła się po odejściu Geni, wyczerpana, silnie nerwowo podniecona.

— A co to?

— To list do matki.

— Od kogo?

— To od jednej pani z Chmielnej. Proszę przeczytać! Nie zdejmował czapki z głowy i dla rozgrzania butami o podłogę stukał.

Malicka febrycznie rozdarła kopertę. Jakaś pani, wdowa, pragnęła wziąć „za swoją” dziewczynkę dwuletnią. Sama będąc chora, nie opuszczała od lat trzech swego mieszkania. Prosi zatem, aby dziecko jeśli można, „dla obejrzenia” zaraz przyniesiono.

— Proszę powiedzieć, że dobrze, zaraz tam przyjdę. Posłaniec wyszedł, trzaskając drzwiami.

Malicka zaczęła febrycznie wydobywać rozespaną Mazie z masy gałganów. Chciała jak najprędzej to wszystko skończyć, gdyż lękała się przedłużać niebezpieczną chwilę, jaka ją po wyjściu Geni ogarnęła. Czuła, że razem z tą dziewczyną oderwało się w jej piersi coś żyjącego i poszło w dal, a ona ma w sobie fatalną próżnię, która jej dotkliwy ból sprawia. Umyła i uczesała krzywiące się dziecko. Obcięła na dole strzępy sukienki i zeszyła naprędce dwie wielkie dziury na plecach stanika. Chwilami chciała porwać dziecko,

całować, pieścić i tulić... Zacinała jednak zęby, mówiąc sobie w duszy:

— Nie śmiesz płakać!... słyszysz!... nie śmiesz!... Kazik po kątach chodził, usta wydymał i czapki szukał.

Malicka obejrzała się nagle.

— Kazik! nie wychodź! zostań w domu! Jak kto przyjdzie, powiesz, żeby wrócił za godzinę, rozumiesz!...

Miała nadzieję, że i syna zdoła przed wieczorem umieścić, choćby na spróbowanie, niechby go wzięli. Tak, skończy się od razu wszystko.

— Ja póndę! — pisał Kazik.

— Nie, zostań!

— Jeść chcę!...

Malicka umilkła. W domu, oprócz chleba i szmalcu, nic nie było.

Wiedziała, że Kazik chleba jeść nie będzie.

Zawiązała Mazi na głowie harasową chustkę i wzięła ją na rękę. Wołała wynieść sama dziecko, niż żeby je wynoszono. Przyszędłby jej na myśl pogrzeb i karawaniarz z trumienką pod pachą. Postąpiła ku drzwiom, te otwały się nagle na rozcież i stanęło w nich dwoje ludzi.

— To tu! — wyrzekł mężczyzna. — E... gdzie zaś — odparła kobieta. —

Moja pani! czy tu dzieci rozdają? Malicka już oswoiła się z tym pytaniem.

— Tak, panie, tu...

Mężczyzna zwrócił się ku kobiecie ciągle stojącej u progu:

— A widzisz!...

Weszli oboje, on duży, silny, otyły, w kaloszach olbrzymich i szaliku włóczkowym na szyi, ona w tumakowym kołnierzu, spadającym aż do pasa, palcie syberyńskim, na którym świeciły się wielkie lawowe guziki. Oboje byli

niemłodzi, pomimo tuszy życiem sterani, co zwłaszcza w oczach kobiety silnie czytać się dawało. Tylko mężczyzna miał w sobie humor dzielnego pracownika, któremu nie przespana noc „furda” się wydaje. Obejrzeni się dokoła, jakby szukając czegoś.

— A co tu tak ciemno?

Malicka czuła się od razu wobec tych przybyszów inaczej usposobioną, jak wobec damy, która uprowadziła Genię. Jakaś hardość ogarniała ją. Czuła się wyższą od tych „łyków”, co nieśli z sobą woń tłuszczy, długo gotowanych warzyw i kamfory.

Nie odpowiedziała więc nic na zapytanie mężczyzny, który przeczekawszy chwilkę, ciągnął dalej:

— My tu po dziewczynkę...

Malicka nerwowo Mazię przytuliła do piersi.

— Stało w „Kurierze”, że blondynka i ma lat osiem... — dorzuciła kobieta.

— Nie ma już, wzięta! — odrzekła Malicka.

— A widzisz!... mówiłam ci, spóźnimy się.

— Ha!... to szkoda!... widzi pani, żonie mojej koniecznie się uwidziało wziąć dziewczynkę, więc jużem przystał...

Nie dokończył, urwał, nagle w środek pokoju wpatrzony.

— A to ci chłopak, jak rzepa!... — zawołał na widok Kazika, który szeroko nogi rozstawiwszy, przypatrywał się nowo przybyłym.

— Chodź no tu, kawalerze!... Dzieciak usta wydał.

— Nie ma głupich!... — odparł, dając susa w kąt. Mężczyzna porwał się z miejsca i chciał go dopaść, ale

Kazik zwinął się jak piskorz i prawie mu spod ręki się wysunął. Był już koło stołu, rozbawiony, przyczajony, z oczyma świecącymi. Mężczyzna pogonił za nim, śmiejąc się hałaśliwie, chłopak wymykał się zręcznie, piszczał jak

małe kocię, rechotał się uszczęśliwiony. We dwóch hałasem i wrzawą napelniali ciemną przestrzeń małej izdebki. Malicka patrzyła zdumiona. Kobieta w tumakowym kołnierzu wzruszyła ramionami.

— Aj, Ignacy! Ignacy! co wyrabiasz, zgrzejesz się niepotrzebnie! zostaw w spokoju tego chłopaka!...

Lecz mężczyzna upierał się, sapiąc i dudniąc kaloszami. Wreszcie w kącie izby malca, jak źrebię na lasso, tak na szalik złowił i na ręce porwał.

— A widzisz, smyku!... mam cię i teraz rzetelnie skórę wytrzępię!...

— No!... puszczaj!... — szamotał się Kazik — puszczaj, bo cię trzasnę!...

— Ha! ha! — śmiał się mężczyzna — a to zuch malec, jak się to stawia!...

Podniósł chłopaka wysoko i trząśł nim w powietrzu, a małe szare oczki, utopione w masie czerwonych policzków, śmiały mu się wesoło i sympatycznie.

Nagle ku kobiecie się zwrócił.

— Matka!... a żeby my tak wzięli chłopaka, zamiast, diabli wiedzą gdzie, szukać dziewczyny? Co chłopiec, to chłopiec, ha?

Kobieta skrzywiła się nieznacznie.

— Hałas będzie!... jeszcze żebyś ty miał więcej rozumu, ale tak... dom cały rozniesiecie...

— O! dom zaraz rozniesiemy!... Słyszysz, smyku, ty i ja mamy kamienicę roznieść... słyszane to rzeczy!... — śmiał się na całe gardło.

Wtórował mu Kazik, pragnąc małpiarskim swym zwyczajem, zastosować swój cienki dyszkant do grubego basu mężczyzny.

— No! matko! decyduj się!... Co tam!... Zafundujemy sobie chłopca na starość! Dziewczyna to niemrawa! Później za mąż trza wydać i kończy się parada!

— Chłopiec między; ludzi pójdzie!...

— E!. zawsze się bliżej domu trzyma.

— Ten się wydaje bardzo rozpustny.

— Co!... dlatego, że zdrów, że się śmieje. A cóż chciałaś, żeby za karawanem latarki nosił?... No!... nie ma gadania! Chłopak mi się nadaje i chciałbym go mieć już u siebie!...

Przypomniał sobie o obecności Malickiej.

— Jesteśmy Święteccy, szewc z Zamarstynowa, porządny mamy magazyn, łatwo się przekonać. Dzieci nie mamy. Aż dotąd czekaliśmy, sądząc, że Bóg cud robi. Ano... nie ma nic, więc rada w radę szukamy oto coś porządnego wziąć za własne, ale to za prawdziwe własne, tak, żeby mi się już nikt do dziecka nie wtrącał. Chcieliby coś wziąć od Dzieciątka, ale

to tam niewiele musi być warte w gruncie, więc wolelimy z „Kuriera”.
Dzieciakowi będzie u nas jak w raju, fachu go się nauczy, chleb w rękę da.
Malicka brwi ściągnęła.

Jej dziecko szewcem!...

Chciała oponować, ale już Świątecki Kazika na ziemi postawił i przykucnąwszy pytał:

— Chcesz być szewcem?

— Takim z pocięciem?

— Tak!...

— I z kopytem?

— Aha!...

— Chcę!... chcę!...

Chłopak ręce wyciągał pełen radości, że osiągnie cel swych marzeń. Na dole bowiem, w suterenie, był warsztat szewski i Kazik w zachwyceniu spędzał nieraz całe godziny, stojąc koło czeladników i chłopców w skórzanych fartuchach.

— Widzi pani, ot dzieciak sam zawyrokował! Czy pani wdowa?

— Nie, zameżna! — Gdzie mąż?

— W knajpie! — zaskrzeczał Kazik. Malicka usta przygryzła.

— Mąż wyszedł za interesami!

— No... tak!... choć to w knajpie, to mi się nie podoba. Musi mieć bardzo złe narowy... żeby dziecko ich nie miało!

Malicka głowę podniosła hardo.

— Jeżeli się pan boi, to proszę dziecka nie brać — wyrzekła ostrym głosem.

Lecz Świąteckiemu chłopak zanadto do serca przypadł.

— Ależ nie!... czego się pani dobrodziejka obrusza... ot, tak powiedziałem sobie, na wiatr.

— To ważne jednak — wtrąciła Świątecka.

— Ot nie wtrącaj się! pilnuj swego... Ale czy pani dobrodziejka może się tak rozporządzać bez męża?

— Myśmy się wspólnie ułożyli i naradzili.

— Ha! jeżeli tak, to co innego.

Trzymał febrycznie rękę Kazika, cały uszczęśliwiony tym fikcyjnym ojcostwem, które mu w jednej chwili zadrgało serdeczną, wesołą struną.

— Ja bo już chłopaka nie puszczam i biorę z sobą...

— Pozwól, Ignac! — przerwała żona — jeszcze nic nie wiemy, 'kto są państwo.

Malicka spojrzała się na rzemieślniczkę z pogardą. Dziwna impertynencja ze strony takiej istoty... Ani nędza, ani straszne jej sytuacje nie zdołały zetrzeć na proch tej kastowej dumy, jaka w niej drgała.

Lecz Świętecki zdejmował z szyi szalik i owiażywał nim chłopca.

— Co nam do tego — wołał rozweselony — państwo są... bieda! Inaczej by przecież takiego chłopaka z domu nie oddawali. Jutro pani do nas przyjdzie. Zamarstynów 32 — łatwo znaleźć — papiery nam odda, aby my wiedzieli, jak go meldować i wyrobić mu osobne legitymacje. Jutro pani

przyjdzie, ale to ostatni i pierwszy raz... rozumie pani... już nigdy potem się nie będziemy widzieli! No! chłopak, bierz czapkę!... Ale! ale!... coś tam było, że dobrze urodzony! Że się dobrze urodził, to widzę, bo chłopak jak utoczony, ale może to jaki arystokrant, familiant... to za nic cała parada! Ja tam państwa w domu i w warsztacie nie chcę. Szlachcic? co?...

— Nie — odparła po chwili Malicka.

— No to chwała Bogu! chodź, synu! da Bóg, jakoś to będzie!... dawaj łapę!

Kazik śmiejąc się porwał rzemieślnika za rękę.

Te dwie natury hałaśliwe, niesforne, brutalne, zrozumiały się doskonale, poznały i odczuły.

Chłopak przylgnął do awanturniczego mężczyzny i już w oczy mu patrzył, instynktownie się doń łaszac.

Malicka stała spokojna, nie czując tego nerwowego bólu, jaki nią szarpał przy wyjściu Geni. Zdawało się jej, że Kazik nie odrywa się od niej, nie unosi z sobą cząstki jej duszy. Było jej tak, jakby coś z jej męża miało zniknąć na zawsze.

— Żegnamy panią — przemówiła Świętecka, kłaniając się układnie.

Malicka pomimo łachmanów i nędzy imponowała rzemieślnicze, która instynktownie czuła jej wyższość intelektualną.

— No, Kazik!... pożegnajże się z matką! — upominał Świętecki. Chłopak dopadł do matki — stuknął ją czołem w kolano i zanim się opatrzyć

mogła, już był za drzwiami, chichocząc się i następując na kalosze Świąteckiego.

Drzwi się za nimi zamknęły i Malicka pozostała sama z Mazią, która cichutko siedziała na jej ręku, obejmując matkę za szyję.

— No!... teraz twoja kolej — wyrzekła wreszcie Malicka i powoli, sztywnym krokiem automatu wyszła do sieni, zamykając drzwi za sobą. Gdy schodziła ze schodów,

maluchne dziecko zdawało się jej ważyć setki funtów. Szła jednak prosto, patrząc wciąż przed siebie.

Na ulicach, w leniwym świetle zapadającego dnia, błyskały powoli płomyki gazu, tworząc we mgle wilgotnej i szarej blade plamy o żółtym ospałym ośrodku.

Późnym już wieczorem wróciła Malicka do domu.

Była sama. Mazia pozostała u wdowy, która od razu przylgnęła do tej ślicznej, ciemnowłosej dzieciny. Malicka była. świadkiem, jak wykąpano, wytarto, uczesano maleństwo. Jak potem owinięto w flanelę, karmiono mlekiem i biszkoptami, i jak uśmiechnięte, śliczne, zaróżowione ułożono do snu na czystej i wygodnej pościeli. Wtedy Malicka wyszła, unosząc z sobą wspomnienie ostatniego pocałunku, położonego na czole córki. Widziała i czuła, że wdowa pragnie najgoręcej pozostać sama z dzieckiem i zacząć używać praw macierzyńskich, które w swym smutnym wdowieństwie na zawsze straciła. Mazia spała spokojnie, nasycona i znużona ciepłą kąpielą. Malicka chciała otulić ją kołdrą, jak to zwykła czynić co wieczór, okrywając ją w domu łachmanami.

— Już ja ją sama otulę — wyrzekła wdowa z uśmiechem.

Ręka matki opadła.

Kobieta ku drzwiom się cofnęła.

— Ja tu jutro jeszcze zajrzę.

— O! nic pilnego! — wyrzekła wdowa — lepiej trochę później, niech się dziecko odtęskni, przyzwyczai!

— Dobrze, to przyjdę później.

I wyszła.

Idąc przez ulicę nie płakała wcale.

Dziwiła się tej zaciętości swej. Zamiast serca miała jakąś bryłę, jakiś kamień. Nie czuła bólu, nerwy w niej zastygły. Nie zdawała sobie sprawy

z tego, co się stało. Interesowała ją nawet liczba latarni zawieszonych daleko — we mgle ulicznej.

Doszła tak powoli do domu.

Weszła na schody, do sieni — i otworzyła drzwi izdebki.

Cofnęła się na progu. Przed nią stał mąż.

— Gdzie byłeś? — zapytał patrząc spod brwi zmarszczonych.

Oddech jego wionął na nią. Poczowała całą masę alkoholu i piwa.

Nie ulękła się przecież i zaczawszy usta, weszła do izby i powoli doszła do stołu. Oparła się o kant i nie poruszając głową, ogarnęła całą przestrzeń wzrokiem. I wobec tych pustek po kątach schwycił ją spazm serdeczny — w gardle zdławiło ją — lecz łez w oczach nie miała.

— Gdzie bębny? — zapytał Malicki.

Kobieta milczała.

— Odpowiadaj, gdzie się powlokły? czy mam je pójść i za włosy pościagać?

Malicka rozśmiała się chrapliwie.

— O... idź!... szukaj! — odezwała się nareszcie przez zaciśnięte zęby — idź!... ale dzieci już nie znajdziesz!... nie znajdziesz!...

Malicki oczy zmrużył i ku żonie podstąpił.

— Ty ze mnie nie kpij — ryknął — bo jak Boga kocham, zbiję cię na kwaśne jabłko. Idź mi zaraz i sprowadź dzieci... słyszysz...

Kobieta założyła ręce na! piersiach.

— Nie pójdę! — odparła — a ty dowiedz się nareszcie, że dzieci już nie masz. Rozdałam je ludziom... rozumiesz? ludziom, co dadzą im jeść i pastwić się nad nimi nie będą.

Malicki w żółtym świetle lampy stał się trupio blady.

— Co?... ty dzieci rozdałeś po ludziach?... ty szelmo!... tobie za ciężko było o dzieciach myśleć?... ty... damo!... pałacowa!...

Szeroką dłonią zamierzył się, lecz ona uchyliła głowę i uniknęła razu.

— Tak... ciężko mi było! Wolałam ludziom je oddać, niż głód im kazać cierpieć!...

Malicki porwał ją za ramiona.

— Ty nikczemna!... ty próżniaczko!... Tobie się pracować na własne dzieci nie chciało. Tobie szelmstwa w głowie, bale, tryndy, obywatelstwo, państwo... Poszła po dzieci, sprowadź je natychmiast... Szarpnął ją gwałtownie i rzucił w kierunku drzwi, lecz ona oparła się o ścianę.

— Słuchaj — rzekła przyciszonym i bezdźwięcznym głosem — ty dziś ze mną nie igraj! Ja miałam dosyć dnia całego... może się stać co złego... ostrzegam cię!...

Silny raz przerwał jej mowę. Poczowała w ustach krew.

— Ruszaj po dzieci!

— Nie pójdę!...

Patrzyli się na siebie jak dwa rozzarte wilki. Cała nienawiść ras kipiała w nich, rozsadzała im skronie. Śledzili swoje gesty, dysząc ciężko.

Nagle przed oczyma Malickiego przesunął się tuman. Ocieężał i poczuł się prawie bezsilnym i sennym.

— Nie chcesz iść?... to daj adres! gdzie dzieci? — Nie powiem.

— Adres!

— Nie powiem!

Uderzył ją raz jeszcze, ale już słabiej — ogłupiałym wzrokiem spojrzął na tę czarną postać, tulącą się do ściany — i powoli do łóżka cofać się począł.

— No!... zobaczysz!... ja cię nauczę!... adres!... słyszysz, próżniaczko... adres!... ty... szlachcianka... co dzieci rozdaje...

Na łóżko się zwałił i głowę w poduszce utopił.

— Ciężko... pracować jej się nie chce... ty... damo... — Zamilkł.

Malicka stała jeszcze długą chwilę koło ściany z usta-

mi pełnymi krwi, z nędznym warkoczem rozplecionym i żółtymi pasmami spływającym na ciemnym tle kaftana.

Wreszcie cicho, jak widmo, do kąta, w którym sypiały dzieci, podeszła, i przysiadłszy, w łachmany się wsunęła.

Plecami oparła się o ścianę i zmęczone oczy powoli przymknęła.

Jak wizja senna przesunęła się przed nią w tej chwili Genia niknąca w głębi sieni, rozpaczliwie cicha i smutna, Kazik depcący kalosze Święteckiego, Mazia śpiąca pod atlasową czerwoną kołdrą...

I spod przymkniętych rzęs zaczęły płynąć na wychudłe policzki kobiety łzy, olbrzymie, gorące i z krwią się mieszając, na zapadłą pierś spadały, jak gwiazdy rubinów zbrodniczo pięknych i świetlanych...

Paryż, d. 15 września 1892 r.

FIOLETOWE POŃCZOCHY

Pan Stefan powrócił z zagranicy.

Przewróciło mu się w głowie.

Właściwie nie bardzo mu się przewróciło, ale było coś tam nie w porządku.

Był w Wiedniu i sfiksował na punkcie dwóch słów.

Modern i... secesja.

Po wystawie secesyjnej chodził jak gap i o mało nie otworzył z podziwu ust, gdy zobaczył secesyjną pannę sprzedającą katalogi w zielonej sukni, siedzącą na zielonym foteliku, z zielonkawą cerą twarzy i dwoma rudymi pejsami po obu stronach zapadłych policzków.

Obrazy zawieszane na ścianach zajmowały go mniej, ale wzrok jego przykuły zielone dywany w chorobliwe

kwiaty, zielone draperie w pokręcone desenie, jakieś szafki zielone jak grynszpan poustawiane w kątach sal i całe teorie pradziejowic o rozpuszczonych rudych drucianych włosach, pomalowane na obiciach przeznaczonych do salonów ludzi, w których łonach płoną, żarzą się, kłębią wiry, huragany, morza wyć, jęków i wrzasków dzikich hien, słowem — nadludzi, metaludzi!

— To — modern, to secesjonalistyczne — szeptano dokoła niego.

Pan Stefan był adwokatem w Krakowie i mieszkał przy Floriańskiej ulicy, na której pędzi tramwaj, ogłaszając z hukiem i brzękiem dzwonka, że Kraków oprócz tak europejskich instytucji jak handel Hawełki, promenad jak Linia A—B, posiada jeszcze i tramwaje. Pan Stefan miał w domu meble kupione jeszcze w fazie przedślubnej, meble czarne, z gruszkowego drzewa, pokryte szafirowym aksamitem, meble uczciwego dentysty, i te

stały zawsze w salonie klasycznie poustawiane dokoła stołu na brzegu dywana w piękny perski deseń. Żona pana Stefana była spokojna brunetka o dużych sarnich oczach — tak na pozór spokojna jak meble salonu, odziana zawsze dostatnio i przyzwoicie. W kancelarii skrobało papier dwóch dependentów, obiad podawano o drugiej. — Pan Stefan drzemał po obiedzie, tymczasem schodzili się klienci, tramwaj huczał pod oknami — w oddali hejnał jęczał — żona w salonie brzęczała na fortepianie i wszystko było cicho, spokojnie — przyzwoicie. I teraz ta secesja... ten styl...

To wszystko nawet zrazu wydało się panu Stefanowi śmieszne i brzydkie. Zieleń, fiolet, żółte barwy impertynencko połączone — rzucające się w oczy. Potem te postacie wychudłe z głowami wydętymi... A przecież coś go ciągnęło — kupił sobie na wystawie katalog.

Na okładce tyła zielona kobieta z rudymi włosami...

Wieczorem w kawiarni pokazał ten katalog jednemu z polskich dziennikarzy, który pisał swe korespondencje na rogu stołu, otoczony kłębami dymu.

— Och to... modern! — wyrzekł dziennikarz, a potem z pewną ironią obrzucił pana Stefana litosnym wejrzeniem.

— To się panu nie może podobać... to zanadto secesjonistyczne...

Lecz Stefan obruszył się na tę obelgę.

— Co? — zawołał — pan myśli, że my w Krakowie to już się na niczym nie znamy. Jeżeli kupiłem katalog, to dlatego, że mi się podobał. — Ja może jestem więcej modern niż pan — proszę mi. wierzyć!

Dziennikarz zadziwił się i pokręcił głową.

— Proszę!... proszę!... ja sądziłem, że to trzeba mieć specjalną estetyczną edukację, aby ten kierunek odczuć i zrozumieć.

— Ja też mam tę... edukację...

— W Krakowie?

— Tak, panie — w Krakowie. U nas też ludzie, panie, są modern i takie rude panny w zielonych sukniach już dawno malowali na afiszach z naftą! Stefan wyszedł zaperzony z kawiarni. Na drugi dzień powrócił na wystawę. Długo się wpatrywał w zielone dywany, draperie, chorobliwe kwiaty, pannę z pejsami i powrócił do Krakowa z oczyma pełnymi dziwnych wizji, owianych zielono-fioletowymi płomieniami, które go

wyrywały z codziennego życia i ciskały w jakieś fantastyczne, nadzwyczajne światy.

Od dwóch miesięcy Stefan żuje swe wędzidło dobrego męża, obywatela i zdolnego prawnika.

Siada do stołu o drugiej — je zupeł na porcelanowym gładkim talerzu i patrzy na szafkowy zegar, zawieszony na przeciwległej ścianie. Patrzy na zegar — ponad głową żony, głową uczesaną porządnie, ładniutko, gładziuchno — przyzwoicie. Wahadło porusza się ciągle — i minuty mijają, Stefan milczy i żona milczy.

W ogóle mówią teraz do siebie coraz mniej, coraz więcej się oddalają od siebie. Ona chwilami wlepia w niego jakiś dziwny, zagadkowy wzrok, jaki mają kobiety, gdy przestają kochać — on czasem, ale bardzo rzadko, ślizga się po niej stalowym spojrzeniem. I prędko oboje patrzą znów na ścianę — on na zegar, ona na jakiś banalny sztych i jedzą, jedzą, jakby stworzono ich jedynie w celu spożywania pewnej ilości potraw.

Za szybami szemrze, pluszcze — jesienna szaruga. Nie zimno jeszcze — ale deszcz pada i znów ustaje. — ' Stefan idzie do swego pokoju i kładzie się na kanapie. — Zaczyna czytać Piekielne dusze — książkę o fioletowej okładce i purpurze zdań, nawleczonych na nić utkaną z rozpasanych nerwów. Nie ma ochoty zajrzeć do kancelarii, do swych dependentów. Rozwiał się w mgłę — „rozszałał zgrzytem demonicznych saraband wyjącego morza, skłębionych ciał, sterczących rąk i kometowych warkoczy kurczowo zaciśniętych dokoła spieczonego i drgającego ducha". Czuje, iż jest chory, że mu coraz duszniej, ciaśniej.

Gdyby miał choć jedną grynszpanową szafkę albo zielony dywan przed oczami, lub fiolet jakiegoś mistycznego kwiatu na płomiennozłotym tle...

Drzwi uchyla żona.

— Czy wyjdiesz dziś z domu? Ocknął się i usiadł na sofie.

— Nie wiem...

— Ja wychodzę, wrócę na kawę!

Wychodzi i Stefan słyszy jak zamyka drzwi z trzaskiem za sobą. Stefan ironicznie się uśmiecha. Niech wychodzi czy zostaje... jest zawsze od niego daleka!

Jakże on jej — mógłby się zwierzyć z ową manią modernizmu, jaka opanowała jego umysł? Czy ona go zrozumie — pojmie — odczuje!... Siedzi tak długo i patrzy w ziemię. — Jest w nim dużo rozkapryszonej kobiety. Leczone go na nerwy i z pewnością teraz lekarz, do którego udałby się po lekarstwo, przeciw niewyraźnej nudzie, jaka go opanowała, znalazłby jego nerwy w opłakanym stanie.

Wstał powoli z sofy, machinalnie odział się w palto i wyszedł na ulicę. Nie miał ochoty zajmować się klientami, dependentom rzucił przechodząc: „idę w ważnej sprawie”.

Na ulicy szedł zamyślony, zaciskając silnie rączkę parasola. Deszcz zaczął padać i błoto oślizgłe, prawdziwie krakowskie błotko płynęło po ulicach. Stefan machinalnie skierował się w stronę kawiarni. Tam siadywali tzw. „dekadenci”, krasnoludki nieduże wzrostem, lecz imponujące w mowie i projektach podboju świata.

Panowie ci przeważnie nie zrobili jeszcze nic ani dla literatury, ani dla sztuki, z wyjątkiem kilku ludzi rzeczywiście talentu i pracy.

Ale natomiast pili masę kawy, wydymali wzgardliwie usta i nauczywszy się kilku nazwisk w mroku ciemności pogrążonych wielkości zagranicznych, spędzali dni całe w kawiarni, maltretując ludzi pracy, którzy mieli nieszczęście zabłąkać się w ich ustronie.

Dekadenci cieszyli się „straszną opinią” w Krakowie. Tu i owdzie bąkano coś o satanizmie, a częste „he! he!...” tych panów powiększały grozę, która nimbem dokoła nich rosła.

Stefan nie mógł jako solidny człowiek i adwokat trzeźwy, a mający piękne stanowisko, łączyć się z tą błędnogwieździstą gromadą. Niemniej jednak ciągnęło go coś do nich jak pijaka do wódki. Szedł mimo kawiarni, zwolnił kroku i myślał zaprenumerować „Jugend” i „Revue Blanche”, o której dużo słyszał, choć po francusku nie umiał.

— Stanowczo mam duszę artystyczną — myślał — mogłem zostać artystą... szkoda!

Przypomniał sobie, że w dzieciństwie wcale pięknie rysował — kto wie, do czego byłbym doszedł.

W każdym filistrze uśpiony artysta szamotał się teraz w nim i gniewał na praktycznego człowieka, który mu milczeć i spać kazał. Wydostał się na ulicę Mikołajską. W szarzejącym zmroku duży afisz uderzył jego oczy. Jakaś kobieta podniosła wysoko rękę, trzymając w niej kieliszek. Tło afisza było szarawożółte, a ramię kobiety owinięte szczelnie w fioletową tkaninę. I linia ta brutalnie a tryumfalnie jak wąż barwny przecinała afisz na dwie części.

Stefan wpatrywał się w tę barwę, która przypominała mu secesję, Wiedeń i pannę o rudych lokach.

Aż biła energia, potęga i siła od tego afisza i ciągnęła, jakby nagle jakiś wspaniały olbrzymi kwiat wykwitł na szarzyźnie splukanego deszczem muru zwyczajnej krakowskiej kamienicy. Stefan stał chwilę wpatrzony w tę linię i z żalem oderwał od niej oczy. Zdawało mu się, że czuje jakąś nerwową ulgę, patrząc tak na ten przepyszny i szczery fiolet. Gdy oczy przeniósł na trotuar, na którym deszcz roztaczał bezbarwne krążki, zdało mu się, że znikło chwilowe słońce z jego oczów.

Lecz — nagle doznał olśnienia.

Przed sobą dojrzał nie jedną, ale dwie takie fioletowe smugi — o liniach doskonalszych, delikatnych — o barwie jakby mieniającej się jeszcze błyskami srebra.

Jakaś kobieta uniósłszy suknię szła szybko, a raczej biegła, zakrywszy się szczelnie parasolem. I to jej nogi, odziane w fioletowe jedwabne pończochy i angielskie wycięte trzewiki mignęły przed oczyma Stefana. Kolor pończoch był ten sam jak na afiszu — secesyjny, wspaniały, estetyczny, modern. Szarozółty ton trotuaru nadawał się doskonale na tło i uwidoczniał linie, które ginęły w masie falbanek czarnej atlasowej spódniczki.

Stefan aż przeraził się wrażenia, jakie na nim wywarło to zjawisko. Ta kobieta odpowiadała najzupełniej stanowi jego duszy. Skoro ona lubiła i stroiła się w te modernistyczne barwy, zarzucając karawaniarski strój przyjęty ogólnie przez damy — musiała być równie „artystyczną” naturą, wyższą, estetycznie wykształconą — różną od spotykanych kobiet. Należało pobiec za nią — dowiedzieć się kim jest, pokochać ją, zwierzyć się nareszcie ze swych smutków... zdenerwowania...

Lecz tramwaj, dwie dorożki, pies, znarowiony koń, policjant, trochę bab — rozdzielili Stefana z ową fioletową duszą. Gdy w ślad za nią przedostał się na drugą stronę ulicy — znikło cudowne zjawisko. Nawet twarzy, nawet figury nie zdołał dostrzec Stefan.

Wszystko krył parasol, który nieznajoma zwróciła przed siebie, aby ochronić się od skośnie padającego deszczu.

Stefan, smutny, jakby własną duszę zgubił, powraca do domu.

Och! och! mgnienie secesji, fioletowe pończochy, gdzież wy jesteście mistyczne kwiaty — wspaniałe irysy, smukłe i kształtne... gdzież wy jesteście...

Wieczór

Państwo „mecenasowstwo” powrócili do domu i mają zamiar zasiąść do poobiedniej kawy. Bo wszystko w tym domu odbywa się nie po pańsku — ale... ot... przyzwoicie, po mieszczańsku. Do kawy stół nakryty — rogaliki, sucharki, masło. Stoi śmietanka, są nawet kozuszki...

Lampa nad stołem już zapalona, taka duża, solidna lampa „na wyrost”, która posłuży jeszcze dzieciom i dzieciom dzieci.

W sypialni pani mecenasowa przebiera się w szlafrok — a pan Stefan siedzi już przy stole i udaje, iż czyta gazetę. Udaje, bo mu wciąż przed oczyma migają jak niedoścignione mary fioletowe pończochy.

Tymczasem w sypialni pani mecenasowa w złym humorze każe służącej podać sobie z szafy parę świeżych, czarnych pończoch.

— Przemoczyłam nogi i patrz, co się stało! — mówi do służącej, wysuwając bardzo ładną, kształtną nogę.

— O rety!... do cna puściły!...

— A zaręczali, że nie puszcza! — mówi mecenasowa i szybko ściąga z nóg — długie, fioletowe pończochy.

— Weź je... wyrzucić, włożyłam je raz — zrób sobie z nimi, co ci się podoba!... — mówi do sługi — niech mi się więcej nie płaczą.

Hanusia bierze ostrożnie mistyczne kwiaty, secesyjne smugi — prabarwne zjawisko, małe pończochy i wynosząc je do kuchni mruczy:

— A to psiakość dopiero oszusty!...

Gdy mecenasowa wchodzi do jadalni cichutko w swych pantofelkach filcowych, Stefan mimo woli spogląda na jej nogi.

Są obciążone czarnymi, banalnymi pończoszkami i nie zdają się nic mieć wspólnego z fioletowymi irysami, które wyryły sobie w jego mózgu ognistą drogę.

Uśmiech ironii przesuwają się po ustach Stefana i wzrok jego obrzuca nim całą postać żony, bardzo na pozór chłodną, mieszczańską i spokojną.

— Ta już pewnie nigdy nie włożyłaby fioletowych pończoch! — myśli sobie w duszy...

OJCIEC RICHARD

Już zmrok zapadł zupełny, gdy ojciec Richard z trzaskiem drzwi od mieszkania otworzył.

Siedząca u piecyka pani Richard drgnęła, upuszczając na ziemię drewnianą miseczkę, pełną brukselskiej kapusty.

Ojciec Richard przeszedł obok żony, nie witając jej nawet. Jak kłoda upadł na czysto zasłane łóżko, plamiąc wapnem i cegłą koronkową, kremową kapę.

— Miłosierdzie Boże! — krzyknęła wstając szybko matka Richard — co robisz? to kapa Józefiny!

Lecz ojciec Richard z jakąś dziwną wściekłością zgarnął cienką gipiurę, wycierał nią swoją twarz brudną i włosy białe od gipsu.

— La! la! — bełkotał — oto kapa twojej Józefiny! wytrzymaj ją jeszcze i swoje garnki.

Pani Richard załamała rękę.

- Mój Boże, taka śliczna kapa!... kosztuje cztery franki i pięć su, trzeba być prawdziwym niedźwiedziem bez serca, ażeby niszczyć rzecz taką. Przy tym Józefina z ciężko zarobionych pieniędzy kupiła kapę, aby przykryć nią w dzień świąteczny swe łóżko. Co teraz powie biedna dziewczyna, gdy powróci z pracowni?

Pani Richard spod ściągniętych brwi spojrzała na męża.

Leżał ciągle na łóżku, trzymając w zagiętych palcach

cienką tkaninę koronki. Oczy błędne, zagasłe, zasnutę jakby białą gazą, trzymał uparcie w sufit wlepione. Ciemne, delikatne cienie słaniały się po tym suficie żółkłym i popękanym.

Mała lampa naftowa i migocący ogień w żelaznym piecyku nie były w stanie dostatecznie rozświetlić olbrzymiej izby, budowanej na warsztat i zamienionej obecnie na mieszkanie. Cała jedna ściana szklana mieniła się teraz od przemijających blasków, które ślizgały się po szkle, ożywiając się i gasząc na przemiany.

Wielka rura czarna, połatana, wysuwała się z piecyka, zaginała pod sufitem i biegła wzdłuż izby, jak wąż ciemny, niknący w kłapie wentylatora uchylonego za pomocą długiego, pełnego węzłów sznura.

Olbrzymie łóżka tonęły w cieniu, wypełniającym kąty izby, a tylko okrągły stół, przykryty do połowy bielizną i talerzami, występował w żółtym świetle lampy, pokrytej Zielonym abażurem.

Na jednym z talerzy schły resztki grochu i bieleły się ości ryby; na ziemi walał się wielki arkusz

zadrukowanej bibuły, podartej i splamionej. Był to poranny numer „Intransigent”, znaleziony na dziedzińcu i zabrany przez panią Richard dla podpalenia w piecu. Woń wilgoci i rozpalonego żelaza unosiła się w powietrzu.

Koło piecyka stojąc, nie można było wytrzymać od buchającego gorąca, za to w kątach izby panowała lodowa atmosfera. Chwilami smuga świeżego, zimnego powietrza przeciągała wzdłuż ścian i ginęła w cieniu. Od czasu do czasu młynek umieszczony w wentylatorze obracał się ciężko i ze zgrzytem.

Ojciec Richard wtedy krzywił się nerwowo. Lecz lampa, w której brakowało petrolu, gasła powoli. Pani Richard odwróciła się od łóżka i zbliżyła do stołu. Ujęła małą

blaszankę i nie gasząc płomienia, odkręcać lampę poczęła. Ręce jej drżały i kilka kropel nafty upadło na stół.

Pochyliła się, aby je zetrzeć podniesionym z ziemi papierem.

W oczach jej migotały łzy.

Ścierała naftę powoli, systematycznie i podniósłszy knot, przed piecykiem usiadła. Pęk wiórów i wypalonego koksu leżał na ziemi.

Wzięła garść całą i z wierzchu w piecyk włożyła.

Po czym, przykrywszy fajerką, zabrała się do opłukiwania brukselskiej-kapusty.

Cisza panowała zupełna, przerywana tylko zgrzytem młynka, kręcącego się w górze.

Ojciec Richard leżał wciąż na wznak, trzymając teraz ręce w kieszeniach aksamitnych spodni. Za każdym jego ruchem drobne srebrne pieniądze brzęczały hałaśliwie.

Była to sobota, dzień wypłaty tygodniowej.

Upłynęła długa godzina.

Kobieta ustawivszy garnki, siedziała teraz przed ogniem, wpatrując się machinalnie w parę, unoszącą się spod blaszanych pokrywek rondli. Łzy oschły z jej oczów, a tylko na delikatnych policzkach lśniły się srebrnawe bruzdy. Siady niezwyklej piękności widniały jeszcze na twarzy matki Richard, piękności, która jej w całym Arbois nie mało sławy przysporzyła. I kobieta ta miała, w swej delikatnej urodzie coś z tych wyniosłych, górskich jodeł, które o zachodzie szumią tajemniczo, a wielkie jej, smutne oczy zdawały się tęsknić za szczytami gór Jury, kąpiących się o schyłku dnia w krwawych promieniach zachodzącego słońca.

Wreszcie Richard przerwał milczenie.

Spośród fałd gipiury podniósł się z trudem i posuwając nogami po podłodze zbliżył się do żony.

Ona drgnęła, jakby zbudzona ze snu, i machinalnie pokrywki nad rondlami uchylać poczęła.

Gdy Richard stanął obok żony, w purpurowych odblaskach ognia ujawniła się najlepiej cała różnica tych dwojga ludzi.

On — niezgrabny, trywialny, o ciężkich, grubych rysach i masce podobnej do wołu.

Ona — z natury zbudowana dość silnie, a mimo to zupełnie harmonijnie, nosiła z wielkim wdziękiem kształtną głowę jeszcze pięknej kobiety, która wrodzonym darem umiała z atmosfery wielkiego miasta wciągnąć w siebie szlachetniejsze miazmy.

Richard sięgnął do kieszeni i dobywszy garść srebra, położył je na stół.

— Masz! policz!... — wyrzekł ze złością. Lecz ona nie odwróciła nawet głowy.

— Po obiedzie — odparła ze spokojem — gdy dzieci powrócą.

Twarz Richarda wykrzywiła się od gniewu.

— Nie chcę zdawać przed nimi egzaminu — wyrzekł ochryłym głosem

— zabierz zaraz

pieniądze... nom de Dieu!

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Nie mam teraz czasu! - wyrzekła podnosząc się z krzesła - idę po Henrysia...

Zbliżyła się do kołków, na których wisiały rzeczy, i zdjawszy ciemną, wełnianą chustkę, ku drzwiom iść poczęła.

Lecz Richard zaszedł jej drogę.

Plecami oparł się o drzwi i schowawszy ręce w spodnie, stał tak, gryząc aż do krwi swe grube wargi.

- Zostań! - wykrztusił wreszcie, wlepiając- w żonę bielmem zasnutę oczy.

- Idę po dziecko - odparła kobieta.

- Nie przejadą ci twego gagatka, a wreszcie ja nie

chcę, aby on tu powracał! ja nie chcę, aby oni tu wszyscy wracali!... Mam ich dosyć — rozumiesz mnie! dosyć!

W kącikach ust zabieliła mu się piana, matka Richard powoli wyciągnęła rękę, jakby chciała odsunąć męża ode drzwi, które ciągle zasłaniał. Lecz dotknąwszy się powalanej gipsem i tłuszczem bluzy, cofnęła się ocierając rękę.

Mężczyzna dostrzegł ten ruch i nowa wściekłość go ogarnęła.

— Ha! brzydzisz się mnie? brzydzisz się ty i twoje . dzieci!... Zanadto jestem brudny, mało elegancki, nie ufryzowany dla pani? Na starość dzienniki mój zaabonować trzeba?... Może olejem gębę wysmarować mi każecie i brodę zapuścić jak prezydent? co?

Zachwiał się na nogach cały pobladły od wewnętrznego wzruszenia podsyconego absyntem, który mu wnętrzości palił.

— Po diabła masz po dzieci chodzić? — zaczął znów stłumionym głosem — dla ciebie dzieci wszystko! a ja! ja nic nie znaczę! Dla kogo robisz zupę? nie dla mnie! Dla kogo ściesz łóżko? nie

dla mnie! Nie chcę widzieć tej całej bandy tu, w moim mieszkaniu! nie chcę! rozumiesz?

Pani Richard wzruszyła ramionami.

- W twoim mieszkaniu? - powtórzyła ironicznie - w twoim mieszkaniu? czy płacisz właścicielowi cały czynsz roczny? Kto, jeżeli nie ja i dzieci płacimy właściwie komorne? Policz, ile zarabiasz teraz i wyrzuc stąd dzieci, stary wariacie! Zginiesz z głodu i zimna, bo ja - przysięgam . ci - ani groszem ci nie dopomogę.

Mówiła spokojnie, nie unosząc się prawie, tylko na policzki jej wystąpiły dwie sine plamy.

- Gdy mi wyrzucisz stąd dzieci, wiedz o tym, że ani chwili dłużej z tobą nie zostanę, pójdę z nimi, rozumiesz!

Richard zdawał się zgnębiony. Lecz z uporem pijaka od drzwi odstąpić nie chciał, powtarzając ciągle:

- Nie chcę tej bandy! nie chcę!...

Mały budzik, stojący na komodzie siódmą bić począł.

— Miłosierdzie Boże! — zawołała pani Richard — już siódma... Henryś ze sklepu wyjść musiał...

I szybkim, energicznym ruchem porwała męża za ramię i silnie popchnęła go w kierunku ściany.

Po czym wychodząc, już w progu obróciła się i rzuciła mu jakby na pożegnanie:

— Wstrętny jesteś!

Obróciła klucz w zamku i zamknawszy w ten sposób izbę, szybko dziedziniec przechodzić poczęła.

W wielkiej, półciemnej izbie — pozostał sam Richard i oparłszy się plecami o ścianę, płuć na ziemię zaczął.

Stał tak długą chwilę, klnąc, mrużąc, obrywając guziki swej zaplamionej kurtki, która wysuwała się spod rozpiętej bluzy.

— Tak! tak! — teraz on, Richard, głowa domu, ojciec, mąż, słowem mężczyzna — nic tu nie

znaczy! To gniazdo, które on stworzył, założył - dał mu podstawę, rację bytu - teraz jest dla niego pustynią, miejscem obcym, w którym on obnosi swe zgrubiałe od pracy członki z nieśmiałością intruza.

Ta „banda” - jak on ją nazywa, te dzieci z krwi jego zrodzone, w żyłach swych mają jakąś ciecz delikatną, coś, co im nadaje ton arystokratyczny, cień pańskości, który razi i dziko odbija od pospolitej trywialności ojca!

- Tak - tak. On - Richard, pomiędzy kolegami pe`re rigolo przewany, imponujący w zadymionych ścianach estaminetów i wycierający z zuchwalstwem błyszczące blaty buwetek rękawami swej płóciennej bluzy - tu, wśród ścian własnego mieszkania, jest skrepowany,

nieśmiały — i. tylko od czasu do czasu wybucha falą przekleństw, czując jednak, jak fałszywie brzmi jego głos ochrypły wobec tej „bandy” — do niego samego należącej, a przecież zupełnie dla niego obcej i krępującej go w niewypowiedziany sposób.

Te dzieci — ci nowi ouvierzy noszący jeszcze bluzy, lecz kryjący pod płótnem cienkie, ciemne surduty — zdają się być po prostu zwierchnikami tego na wpół oślepego, w sobotę podpitego wyrobnika, który lubi wtrącać się do polityki, krzycząc: bas a` le gouvernement!, żuć tytoń zaczepiać dorożkarzy i ucierać nos w rękawy bluzy, spod której wygląda połatana kurtka.!

Nie! — stanowczo, ojciec Richard czuje, że „banda” cała wyparowała go z miejsca, zabrała mu serce i opiekę żony, zrobiła go jakimś obcym przybłądą, potrząsającym swe łachmany wobec cienkiego

sukna okrywającego plecy jego synów!

A przy tym ich przekonania tak daleko odskakują od jego własnych zasad! Zapewne - oni są za Republiką, tak jak i on sam, lecz... ta ich Republika jest tak, jak oni sami - umyta nawet w dzień powszedni, uczesana gładko, mówiąca cichym, stłumionym głosem. Jego zaś Republika nosi na rozczochranej głowie czerwoną szmatę, ma rozdartą koszulę odsłaniającą szerniałe piersi, ochrypły głos od śpiewania Marsylianki i pokrwawione ręce od wznoszenia barykad .

A na ustach jedno, jedyne słowo: Revanche!

Ojciec Richard stał wciąż w półcieniu ze wzrokiem wyteżonym w przestrzeń. Mało widział, nic prawie.

Ślepił z dniem każdym, jak stary pies, a największą jego troską w tym kalectwie 'była myśl, że gdy wróci do swych stron rodzinnych, nie zobaczy wierzchołku Soulo otoczonego girlandą mgieł lub wysuwającego się sinawą masą na tle przeczystego nieba. Marzył ciągle o powrocie ten krepły góral, wyrwany przez żonę spośród swych win nic, które uprawiał z miłością, rękami odwracając ziemię lub żelazną gracą rwąc umarłe korzenie, które jak węże plątały się w tysiączne kłęby.

I nieraz, gdy zatknąwszy trójzębny bigot w skłębioną ziemię, spojrzął dokoła — czuł nagle w swej piersi jakby błogość niezwykłą, jakieś łagodne ciepło, które mu wzdłuż żył płynęło. Dokoła góry Jura, jedna od drugiej wyższa,, piętrzyły się groźne, nieruchome.

Lecz z ich wnętrza rozprutego ręką ludzką wybiegał długi szereg wagonów, wleczony przez lśniąca lokomotywę, która jak koń spieniony wyrzucała ze siebie kłęby pary, galopując wzdłuż brzegu.

Z szumem i łoskotem wpadał pociąg w drugą czarną przepaść po to, aby za chwilę znów wypłynąć w promieniach słonecznych, obrzucić snopem iskier i szczękiem łańcuchów kępy jodeł, czerniących się na stoku gór i zniknąć w nowej szczelinie ciemniejszej jak rana w boku góry.

Ojciec Richard zwykle wtedy przerywał pracę i oparłszy pokryte ziemią a obnażone do ramion ręce o drzewiec gracy, śledził zakręty pociągu. Znał on doskonale ten „taniec węża”, jak w chwilach dobrego humoru drogę pociągów nazywał, lecz mimo to mrużył oczy i uparcie oczekiwał chwili, gdy lśniące sztaby lokomotywy zabłyśły w promieniach słonecznych. .

Zdawało mu się zawsze, że pociąg pochłonięty przez górę, nie ukaże się więcej w słońcu, lecz zmiażdżony, zgnie-

ciony pozostanie na zawsze, na wzór śmiałka jarmarcznego, który głowę lufo rękę w paszczę lwa wtyka. — Te czerniące się w bokach ukochanych mu gór rany bolały go niewypowiedzianie. W pierwszej chwili, gdy dowiedział się

o projekcie przebicia gór, pobleł cały ze wzruszenia.

Zdawało mu się to ojcobójstwem.

Góry go żywiły, były mu rodziną i stanowiły dlań istoty żywe, przepotężne, milczeniem swym wymowne. Góry te były dlań jedynym pięknem, podstawą jego istnienia.

Gdy postyszał pierwsze uderzenia oskardów, chwycił się za piersi, jakby w jego obrosłe włosiem łono zadano ranę, od której zachwiał się cały. I padł na ziemię, łamiąc olbrzymie łodygi kukurydzy, której las cały szumiał dokoła domu.

Leżał tak długo, jakby chcąc przebłagać te góry za świętokradcze uderzenia żelaza, które łona ich

szarpały. Tymczasem one spokojne, niewzruszone, poddawały swe olbrzymie ciała na usługę ludzkości, tak jak lew pozwala drobnej muszce chronić się w sploty złotej grzywy.

I całe kłęby odurzonej woni ziół pektoralnych owiewały głowy robotników, szarpiących kilofami szarawe płaty skamieniałych ścian. Góry oddychały dalej wonią fiołków, żółtej konwalii, zaścielającej złotymi, płatami stoki, lub odurzającym zapachem pazdanów, jak szmaty śniegu bielących się w gorącym, południowym oświetleniu.

Powoli i ojciec Richard uspokoił się i przyzwyczał do tych mrówek, kręcących się wśród gór i przyzywających żywioł destrukcyjny do pomocy. Skoro góry dozwalały spokojnie ranić się i nie zadusiły swym

cielskiem śmiałków, szarpiących ich wnętrza, lecz dalej kwitły całymi krzakami żółtego coucou i płaszczyznami gencjany, a szumiały ga-

łęziami dębów, buków i jodeł, dlaczegóż by on miał nadal psuć sobie krew, tę krew tak dobrze czyszczoną samym zapachem ziół unoszącym się dokoła?

I zabrał się znów do pracy ze zdwojoną siłą, a gdy obrobił swe winnice, szedł na drugie płasko wzgórze pomagać przy eksploatacji ciemnych, prostych, smukłych jodeł, które obalał podcinając siekierą, wybierając same masztów ki, aby później związane w pęki, spływały Saoną, Rodanem do Marsylii.

Rok cały okrążył — pracował tak ojciec Richard bezustannie w słońcu, w powietrzu, wśród gór, lasów i łąnów ziół lub kukurydzy. Widziano go poganiającego woły zaprzężone w pługu lub zgiętego wpół nad polem pokrytym liśćmi buraków. Czasem w fałdach swej bluzy przynosił ostry zapach gruyera lub odurzającą woń destylowanej gencjany. Umiał wyciągnąć korzyść niemal z każdej żyły góry i czuł się szczęśliwym, gdy po winobraniu, położywszy się na wznak pod cieniem lipy oddychał

całą pierś, klnąc ze zbytku szczęścia:

- Nom de nom!... ah!... nom de Dieu!..,

I z uśmiechem politowania śledził wtedy przebiegające pociągi.

Dokąd pędzą ci ludzie? po co? dlaczego? Cóż za chęć zmiany lepszego na gorsze wypędza ich ze stron rodzinnych? On - Richard nie ruszyłby się za nic w świecie spośród gór ukochanych, nie pędziłby tak, gnany diabelską siłą w przestrzeń po nieznane losy!

Ach!... nom de Dieu! nigdy! za nic na świecie.

I oglądał się wtedy dokoła, jakby biorąc w wieczne posiadanie cały ogrom gór mieniających się wszelkimi kolorami tęczy. Potem - wolnym, ciężkim wzrokiem ogarniał dom własny, bielący się jak dziecinna zabawka wśród ciemnych gałęzi drzew.

Lipa szumiała jednostajnie, kołysząc do snu spracowanego robotnika.

Ojciec Richard uśmiechał się, oddychał głęboko — wreszcie zasypiał, mrużąc jeszcze przez sen.

— Nom de nora!... ah!... nom de Dieu!...

Lecz już powoli we wnętrzu tego białego, dwupiętrowego domu wzrastała „banda”, która według woli i przekonań matki nie do gór i uprawy winnic stworzoną została. Piękna Leontyna, tak delikatna i wiotka w swym wioskowym otoczeniu, z twarzą Madonny pod białą coiffą, zakosztowała szmeru miasta w Marsylii, gdzie służyła. I gdy później, w rozkwicie swej kobiecości zgodziła się zostać żoną Richarda, którego silna, prawdziwie męska postać działała na jej zmysły rozbudzone ciepłem majowym, pomimo że sama została urodzona w Arbois, wśród serca gór, nie mogła, nigdy przyzwycząć się do życia, jakie jej stanowisko żony Richarda przeznaczyło.

Dzieci jej zachowały także tę nostalgię za miejskim zaduchem i podsycane przez matkę, duszą całą wyrywały się w stronę Paryża, o którym marzyły dniami i nocami całymi. Najstarszy z synów, dzieckiem jeszcze zabrany po wojnie 1871 roku do Paryża przez bezdzietnego stryja, właściciela małego szynku na Batignollach, duszą i ciałem ugrzązł w błocie miasta-olbrzyma, nie tęskniąc nigdy za wonią ziół, szumem lip i czystym powietrzem gór.

Uczył się, chodził w butach sznurowanych, nosił rękawiczki i co niedziela bywał w cafe conoertach, pijąc americany lub picony. Pisywał często do matki, malując w tęczy barw/ach rozkosze Paryża, wzniecając w ten

sposób bezustanną niezgodę pomiędzy rodzicami. Teraz już Leontyna otwarcie wypowiedziała swe zdanie. Chce wraz z dziećmi przenieść się do Paryża. Dzieci jej nie stworzone do rwania paznokciami ziemi pod uprawę wina! Dzieci jej, tak jak najstarszy Michał, znajdą swą drogę na bruku paryskim.

I uniesiona dumą matki, odkrywała nadzwyczajne przymioty w Auguście, upartym, egoistycznym chłopcu, lub bezmierną inteligencję w Józefinie,

nic nie znaczącym dziewczęciu, które mając jeden policzek oparzony ukropem, było kopciuszkiem całego domu.

Za to mały jeszcze Henryś, jasny blondyn, o cerze przezroczystej i błękitnych oczach, wiecznie załzawionych, zdawał się rzeczywiście przeznaczony do kontuaru magazynu nowości, aby liliową swą cerą dopełniać delikatnych tonów koronek lub srebrnawych odblasków jedwabiu.

I niezgoda teraz dochodziła do potęgi, szarpiąc duszę starego Richarda, który czuł się bezsilny wobec tej „bandy”, okazującej mu wiecznie chmurne, niezadowolnione lica.

Uciekał "w góry i przypadłszy twarzą do ziemi, tarzał się wśród mas ehendants, mieszając łyżę swe z rosą, pokrywającą drobne kwiaty. Klął wtedy jak szalony, rwąc na sobie odzież, raniąc piersi w bezsilnej wściekłości.

Cała ta „banda” chmurna, pełna gniewu, wyrzutów, prześladowała go i tutaj nawet, mieszając z szumem drzew swe skrzeczące lub zgrubiałe głosy:

- „Do Paryża! do Paryża!”

A ojciec Richard wyciągnął ręce i zagłębiając je w pęki pazdanów lub żółtej konwalii, charczał zdławionym głosem:

- Nom de Dieu! ah! nom de Dieu!

Aż wreszcie dnia jednego pociąg, przelatujący jak ptak

przez Arbois, zabrał całą rodzinę Richairdów z krainy ziół, słońca i zapachów.

Gdy ojciec Richard osunął się na ławkę wagonu, był tak blady, jak wtedy, gdy po raz pierwszy w Arbois ujrzał mundur Prusaka. Milczał, zaciskając pięści. Poprzez otwarte okno mignął skąpany w złocie słonecznym fort Saint-André, a tuż poza nim trochę niżej, zielonością pokryty fort Belin. Pomiedzy nimi zabielały domy Salinsu, jak wąż wijącego się wzdłuż obu gór uwieńczonych fortami.

Ojciec Richard przymknął zaczerwienione powieki. Zdawało mu się, że ktoś wypalonym żelazem ugodził go nagle w piersi. Przypomniał sobie

chwile, gdy krwią własną przyplącał obronę Saint-André, broniąc wąwozu przeciw Prusakom.

Na cóż mu się przydała ta wściekłość, z jaką stał pokrwawiony, poczerniały cały na wyłomie muru,

klnąc, że pierwiej w proch się rozpadnie, zanim tym ciężkim butom najeźdźców zdeptać ziemię, uprawianą własnymi dłońmi, pozwoli! Dziś ziemię tę opuścić musi, sprzedać! oddać w obce ręce, a sam pędzić siłą pary w znienawidzone mury, gdzie promienie słoneczne nie mają gdzie rozpostrzeć swej złotej fali, gdzie ziółka sprzedają w aptekach! a gór nie ma wcale! wcale!...

Tymczasem w drugim kącie wagonu zbita w gromadkę „banda” tryumfowała radośnie, zasklepiona w swych dążeniach wybicia się pośród tłumu wielkiego miasta.

Już August zawiązał krawat na sposób miejski i troszczył się, czy przybywszy wieczorem do Paryża zastanie

jeszcze sklepy otwarte, aby natychmiast kupić sobie kapelusz taki sam, jak ma Michał na przysłanej fotografii.

Józefina, dziwnie podniecona, ożywiona, prostowała swą wątłą postać źle rozwiniętej dziewczyny i poprawiała co chwila świeżo obciętą grzywę nad wąskim czołem, odziedziczonym po ojcu.

Tylko mały Henryś siedział spokojnie, przytuliwszy się do ramienia matki. Na ustach tego delikatnego blondynka błąkał się już słodki, banalny uśmiech, z jakim subiekci podają towary klientkom, znoszą grymasy kobiet, potrzebujących kredytu i ciężką atmosferę sklepów przepelnionych towarami.

Wszystko to przetrawia w myśli ojciec Richard, stojąc tak oparty o ścianę i zapatrzony w słaniające się w przestrzeni cienie. Razem ze zrzuceniem swej płóciennej westy i kaszkietu, a z wciągnięciem

welwetowych spodni miejskiego robotnika skończyła się dlań rozkoszna przeszłość górala. Dziś cała „banda” podrosła, z krzykiem i śmiechem zalega co wieczór atelier, a spychając ojca. w najciemniejszy kąt, liczy

zarobek białymi, o czystych paznokciach, rękami. On wtedy kryje jak zwierz dziki swe szerniałe, węzłowate palce i mrużąc oczy zbolale powtarza:

- Nom de Dieu! ah!... nom de Dieu!... la sale bande!...

W godzinę później cała rodzina Richardów, zgromadzona dokoła stołu, kończyła obiad wśród porozstawianych brudnych talerzy i szklanek do połowy napełnionych winem.

Pani Richard uśmiechnięta, rozjaśniona widokiem swych dzieci, pilnowała maszynki z kawą, śpiewającej łagodnie na rozpalonej płycie piecyka.

Henryś rozpałił większą lampę, która płonęła jasno, rozpraszając cienie. Chłopak spoza abażuru uśmiechał się do matki, cały biały, różowy, pełen zdrowia, świeżości dziewiczej lat piętnastu. Jego cienkie, wysmukłe palce poprawiały fałdy abażuru, czerwieniąc się lekko po brzegach, tak jak tylko czerwienić się może delikatna skóra blondyna. Siedział przy piecyku i dla gorąca zdjął kurtkę i przewiesił ją na poręcz krzesła. Białe, czyste rękawy koszuli odcinały się od ciemnej kamizelki i nadawały mu pozór w kostium przebranej panienci z dobrego domu. Srebrna, delikatnie wyrobiona i oksydowana dewizka zwieszała się z kamizelki; drobna szpileczka z fałszywym szafirem tkwiła w jasnej, podłużnej krawatce. W całym obejściu swoim, w sposobie podniesienia małego palca u prawej ręki, w pochyleniu postaci całej naprzód, widniała w tym chłopskim dziecku tresura sklepowca, naśladowującego starszych commis, którzy w dzień wielkiej wenty zlewali surduty perfumami dla podbicia klientek i smarowali na noc ręce gliceryną dla

udelikatnienia naskórka.

Obok niego August, śniady brunet o wydatnych rysach i przymrużonych oczach, dojadł kawałek sera, krając przy tym chleb w drobne kawałki. Był to już kupiec poważny, pracujący w głębi wielkiego magazynu, gdy Henryś mógł tylko łowić klientów przed fasadą sklepu, pomiędzy masą rozłożonych na trotuarach towarów. August w swej twarzy miał powagę szefa rejonu - stanowisko, do którego dążył popychany przez ambitną matkę. Gdy krótkim, urywanym głosem prosił siostrę o podanie mu karafki z wodą, w głosie swym miał nuty właściwe tylko tym panom w

białych krawatach, którzy wśród alei sklepowych obnoszą wybladłe twarze znudzonych birbantów i silnie wykrochmalone gorsy koszul. Tak Henryś, jak August pięli się coraz wyżej, gnani chęcią dojścia jak najszybszego

w ciągłym popychaniu i roztrącaniu tłumu. August niedawno, zrzucił bluzę białą, długą, którą nosił przy bric-a`-brac'ach i awansując powoli, stanął już za kontuarem sklepowym w rejonie rękawiczek.

Składał odsetki od zarobku, a umiejętnie przymierzając kobietom rękawiczki, zyskiwał sobie coraz więcej klientek, które oczekiwały nieraz na jego kolej, opierając się o sąsiednie kontuary lub przerzucając kupony materii, porozkładane na stołach.

Tak on, jak i Henryś poznali do gruntu tajniki handlu i niskie nieraz sposoby zyskiwania klienteli. Nie cofali się przed niczym; August nawet opanowywał niektóre klientki swym wzrokiem. Ciągłe zetknięcie z delikatnymi palcami kobiet dało mu pewną wprawę i doświadczenie. Gdy oparte łokciem o welwetowe poduszeczki, podawały, mu swe ręce obnażone do łokcia, spoglądał w oczy kobiet przeciągle, zanim zabrał się do wyszukania żądanego towaru.

Kobiety mieszały się tym wzrokiem i brały większą ilość towaru.

August tryumfował, a koledzy, kiwając głowami, mówili:

- Celui fera son chemin!

Jedna tylko Józefina wybijała się z trudnością, zachowując ciągle chudość swoją i nic nie znaczącą twarz wędzącego już dziewczęcia. Zarabiała dosyć, jednak w atelier małego znaczenia, nie pokazując się na widownię, ukryta w zacieśnionym kącie pracowni. W piersi jej wrzała bezustannie chęć wydostania się na widownię wielkich magazynów konfekcji, w których przez olbrzymie szyby dostrzec można cały batalion kobiet przystrojonych w czarne, jedwabne żerseje. Marzyła o zostaniu panną do przymierzania, jeżdżącą wraz z dyrektysą w powozie do

dam, oczekujących na skrajaną suknię. W tej bezustannej chęci wślizgnięcia się choć w ten sposób w świat strojów i koronek trawiła się w cichej złości, schylona nad wszywaniem rękawów, w czym. celowała. Obrzucała staniki z szybkością nadzwyczajną, uspokajając w ten sposób rozdrażnienie nerwowe, które ją ogarniało.

Tymczasem matka Richard tryumfującym wzrokiem ogarniała swe dzieci. Tak! zapewne, dobrze zrobiła wyrwawszy je z pośrodku gór, w których byłyby pozostały trywialnymi chłopami. Widząc je tak czyste, dostatnio ubrane, mówiące żargonem paryskim, radość napełniała serce Leontyny. I w nadmiarze szczęścia chwytła maszynkę z kawą, aby kolejno nalać ją w stojące rzędem szklanki. Lejąc, słucha uważnie słów Augusta, który opowiada o świetnych sprzedażach soldów rękawiczek, jakie rejon jego zrobił.

— Ależ tak! nic łatwiejszego, jak podobna wysprzedaż zużytego towaru. Przybija się nad koszem

olbrzymią cyfrę ceny i kobiety łapią się na taniść, nie zważając na gatunek kamlotu.

Henryś próbuje protestować.

- Nie zawsze; kobiety oglądają towar dobrze na wszystkie strony, zanim się zdecydują na kupienie. Nieraz z trudnością najwyższą przychodzi zsunąć takie soldy towaru.

August uśmiecha się ironicznie.

- Parbleu! - woła triumfująco - soldów nie umieszcza się nigdy przed fasadą sklepu, w pełnym świetle słońca. Na to są przeznaczone ciemne zakamarki lokalu... Wszystko wtedy przychodzi z najwyższą łatwością... Kobiety biorą wszystko, co się w nie wmawia, a zresztą...

Lecz od końca stołu dało się nagle słyszeć ciężkie przekleństwo.

— Cré nom de norii!... sale bande!... oh!... la sale bande!... W swej uczciwej prostocie ten stary, na wpół oślepy chłop nie rozumie podobnego oszustwa. On uprawiał swą winnicę całą w świetle słonecznym. Nie miał zakamarków ciemnych dla oszukiwania ludzi. Gdy ścinał sosny, nie miał wpośród nich „soldów” przeznaczonych

dla klientów. Wszystkie one równe, smukłe płynęły do Marsylii! Ohe!... ohe!...

Lecz ani August, ani Henryś nie przerywali swej rozmowy. Tylko Józefina wmieszała się, mówiąc suchym urywanym głosem.

W jej pracowni — takim ciemnym zakamarkiem był wieczór sobotni. Nieraz zrobione już suknie przetrzymywano w szafach, czekając soboty. Gdy odsyłano je wtedy, klientki przyjmowały wszystko w gorączce przedniedzielnej.

Raz włożona suknia rzadko wracała do atelier; klientka pruća i przerabiała sama, wykończyła i poprawiała zeszyca. Jeśli wymawiano złe i niedbałe wykończenie, składano wszystko na pośpiech sobotni.

W ten sposób klientki połykały prawdziwe sody roboty i w dodatku zachowywały wdzięczność 'dla pracowni.

I wszyscy troje śmieją się teraz, podbudzeni nagle w swej wesołości nudzonych przez klientów kupców.

- Och! te klientki!...

- Och! te kobiety! - dodaje August, wzruszając pogardliwie ramionami. Józefina próbuje protestować, lecz obaj bracia zagłuszają ją śmiechem. August podejmuje się jej samej sprzedać poplamione rękawiczki, skoro przyjdzie kiedy do jego rejonu.

- Och! - woła dziewczyna - na pewno nie zobaczycie mnie w swojej budzie!

Matka Richard ponalewała już kawę i teraz stoi z pustą maszynką w ręku, zasłuchana cała w rozmowę dzieci.

Lecz - z tej niemej kontemplacji wyrywa ją nagle grzmiący głos męża:

— Cafe! tonnerre de Dieu! femme!... cafe... Z pogardliwym wzruszeniem ramion, powoli kobieta zaczyna rozdawać kawę — zaczynając od Henrysia i kończąc na mężu.

On — w drżące dłonie ujmuje podstawę szklanki i powraca na swoje miejsce tuż przy końcu stołu. Przed nim na obrusie leży rozłożony arkusz gazety, na którym stary składa kości, łupiny krewetów, ości od ryby. Nigdy się już nie nauczy jeść przyzwoicie ten chłop, potrzebujący wpakować całą twarz w talerz zupy lub ująć w obie ręce szklankę z winem. Żona odsuwała go na ciemny koniec stołu, aby nie sprawiał obrzydzenia dzieciom, które jedzą cicho, nie opierając łokci na stole. ,Wie o tym i nie wychyla się ze swego kąta, mrużąc tylko od czasu do czasu przekleństwa, na które nikt nie zwraca uwagi.

On słucha uważnie słów „bandy” - trawiąc się w bezsilnej złości przeciw nowemu prądowi, z jakim jego rodzina płynie.

I w tej chwili wre cały przeciw tej wesołości, wybuchającej nagle z powodu oszukania ludzi, którzy płacą. Gdyby mógł, powiedziałby całą prawdę tej wypomadowanej bandzie, która teraz z minami książąt smocze kawę, dokładając sobie cukru. Oh! sacrés salauds... Ojciec Richard dławi się cały od tych słów, które tłumi w sobie - lecz wybuchnąć nie może, nie chce; kto wie!... może nie śmie.

Tymczasem Henryś pierwszy wydobywa garść pieniędzy z kieszeni.

- Tiens! petite mère! - mówi, przymykając oczy - schowaj to!... policz!...

Leontyna przysuwa z uśmiechem pieniądze i liczyć zaczyna.

Ho! ho!... ten urwis Henryś zapracował niezłą sumkę. Wliczył w to i pieniądze wzięte za przepisywanie aktów i za małe kursa, załatwiane dla lokatorów w wolnych chwilach. August i Józefina z podziwieniem kręcą głową.

Henryś tryumfuje.

Jutro matka zanieś dwie trzecie z tych pieniędzy do kasy oszczędności pocztowej. Każde z dzieci ma tam już swoją książeczkę, która się wzbogaca z każdym tygodniem.

August dochodzi nawet do poważnych rezultatów.

Lecz już Józefina składa swój zarobek w jasnym świetle lampy. Migają złote pieniądze pomiędzy srebrnymi sztukami. Matka uśmiecha się coraz

szczęśliwsza i dumniejsza z tych dzieci, ożywionych tak wielką chęcią zrobienia majątku.

August ociąga się trochę, wreszcie wyznaje, że dzisiejszy zarobek włożył już w pewną maluchną

operację handlową, która mu może przynieść dość poważne zyski. Nie tłumaczy się jaśniej, lecz wszyscy milkną przejęci szacunkiem dla tego silnego chłopca, który nie waha się już wchodzić we własne operacje handlowe, tajemnicze a silnie zyskowe.

Wreszcie matka Richard zwraca się do ciemnego kąta, w którym majaczy siwa głowa Richarda.

- A ty, stary!... cóż zarobiłeś, pokaż!

Dzieci powoli odwracają głowy w stronę ojca. Jest to jedna chwila w tygodniu, w czasie której mszczą się za pogardliwe przekleństwa i spojrzenia, jakimi obrzuca ich i zajęcia, jakim się oddają. Nieraz nazywa ich „kamlotami, oszustami, łokciomierzami” - milczą wtedy, zaciskając zęby. Lecz teraz - w tryumfie ich sobotniego zarobku - przygniatają go sumą przyniesionych pieniędzy.

Tymczasem ojciec Richard powoli zanurzył rękę w kieszenie od spodni. Trochę drobnej monety zabrzączało mu

pod palcami. I nagle cofnął ręce, jakby wstydząc się okazać nędznych su, które zdołał zapracować w swym trywialnym rzemiośle murarza.

— Co zapracowałem, to schowam dla siebie — mruknął rozjuszony.

Żona wzruszyła ramionami.

— A! tego za dużo! Ten chłop chce, aby go odziewano, żywiono i to za nic? za pieniądze zapracowane przez dzieci?

Lecz August wyciągnął rękę gestem pojednawczym. — Daj mu spokój!

— wyrzekł poważnie — czyż nie widzisz, że go napadło!...

Richard porwał się od rogu stołu.

— Sacré cochon! — zawołał, bełkocąc prawie z gniewu — Tais toi!... ou je te va ficher à la porte!

August wzruszył ramionami.

- Mateczko! - zwrócił się do matki - zagramy w karty?

Już Henryś porwał się z miejsca, aby podać karty i żetony, gdy drzwi otworzyły się nagle.

Razem z ciepłym prądem do izby weszło dwoje ludzi.

Był to najstarszy syn Michał wraz z żoną malarką, której martwa natura dostała się w przeszłym roku do Salonu. Mama Richard podniosła się cała zarumieniona z radości.

Każda wizyta synowej była dla niej uroczystym świętem.

Pani Michałowa z uśmiechem witała matkę Henrysia i uścisnęła Józefinę.

Miała minę księżniczki, przybyłej w odwiedzinach do swych poddanych.

Smukła wiotka, o cienkim delikatnym profilu, przy-

pominała bladością barw portrety impresjonistów, do których należała.

Usiadłszy, zrzuciła z pleców jasny dolman i oparłszy nogi o piecyk, szybko mówić poczęła.

- Tak! szło im nieźle obojgu, mój Boże! tylko musieli pracować ciężko, aby dojść tam, gdzie zamierzali. Michał dostał korzystne lekcje literatury, ona otwiera niedługo szkołę malowania na atłasie. Wszędzie znaleźć można ludzi, którzy za tego rodzaju rzeczy płacić będą, trzeba się umieć tylko wziąć do rzeczy.

Michał przytakiwał głową, wpatrzony w żonę jak w tęczę, poważny i noszący z godnością firmę profesora.

Tymczasem Józefina przysuwała się bliżej, dotykając się lekko dolmana, który zwieszał się z poręczy krzesła.

Michałowa odwróciła głowę.

- Ach! tak - dolman ten podoba się siostrze? cóż dziwnego. Jest tak ładny w kolorze! blady, półton prawdziwy. Wszystko w ubraniu zależy od doboru barw, obecnie panują półtony, na płótnie i w rzeczywistości.

Mama Richard przyświadcza, nalewając w małe kieliszeczki benedyktynekę.

- Pijcie, proszę! - mówi podsuwając tackę.

Artystka dziękuje skinieniem głowy.

Nie - nie, to zanadto jej nerwy podbudzi, a ona potrzebuje teraz właśnie jak najwięcej spokoju. Wykończa katalog Luwru, katalog wiosenny pełen nowości i potrzebuje mieć pewność ręki, aby się nie zgubić w tej masie

koronek, fałd, plisek i nowych modeli, jakie jej przedstawiają.

Pracuje me żartem, lecz zawsze ma dosyć czasu, aby wpaść i ucałować najdroższą mateczkę...

O starym nie wspomina, jakby nie istniał ten ojciec męża, który nawet w dzień ślubu nie zjawił się w merostwie, chowając się po kątach jak zwierzę dziki.

Zobaczywszy go, w pierwszej chwili zajęła się silnie jego głową upartego chłopca, otoczoną wieńcem siwych włosów.

Chciała zrobić zeń studium, lecz trafiła na opór nieprzewyciężony. Stary malować swej twarzy nie pozwolił, bojąc się bliskiego zgonu.

Artystka, dotknięta w swej miłości własnej, odwróciła się i przestała istnieć dla teścia. On — szybko podporządkował ją pod całą „bandę” — drażniony jej wytwornym strojem i obejściem.

I teraz - siedział w kącie ponury, trawiąc swą porażkę na punkcie zarobku sobotniego, pełen wstydu i nienawiści, zatapiając swe połamane paznokcie w dłoń.

Nie dano mu benedyktyнки, zdawano się zapominać o jego istnieniu.

Nagle - Michał zwrócił się w stronę Augusta.

- Wiesz? pojechali - wyrzekł z uśmiechem.

- Kto? - zapytał August.

- Nasi delegowani - do Berlina!

- A! - odparł chłopiec - nie czytałem dziś jeszcze dzienników, więc pojechali! Dobrze zrobili, zwłaszcza że mają pomiędzy sobą takiego Delahaya. - Kto wie! taka

konferencja może doprowadzić do jakich takich rezultatów!

Zamilkł spoglądając na brata.

Obaj uśmiechali się dyplomatycznie, delikatnie, wcielając się niejako w delegowanych, udających się do Berlina.

Kobiety zamilkły, kiwając głowami — pogrążone całe w jakiejś łagodniejszej atmosferze, która zdawała się spływać powoli.

Lecz z ciemnego kąta podniósł się nagle głos chrapliwy.

— Nom de nom!

Mimo woli wszyscy drgnęli, zbudzeni tym trywialnym głosem wydobywającym się z cienia i wpadającym z rubaszością w dyplomatyczną ciszę konferencyjnej grzeczności.

— Cóż tam znowu? — zapytuje matka Richard, przechylając głowę — o cóż chodzi?

.- Zostaw go! - uspokaja August - znów go coś...

Lecz skończyć nie może, bo ciężka pięść ojca opada nagle na stół, przewracając szklanki i kieliszki.

Stary stoi teraz tuż przed stołem, cały purpurowy od krwi napływającej mu do twarzy.

Oczy bielmem zasnute utkwiał w synów z wściekłością lwa zbudzonego.

- Ah! nom de nom!... do Berlina! do Berlina!

I pieniąc się cały, wyrzuca ze siebie potok zdań urywanych.

- Sacrés salauds!... jeśli rząd uznał za stosowne zapomnieć Sedanie, to on, Richard, nie zapomni nigdy!... Na ustach, w sercu, w duszy jedno ma słowo - odwet! Na ciele blizny od kul pruskich! W głowie żal

wieczny za Lotarynią! za Alzacją ukochaną!... Ach! sacre peste! cré nom de nora! już też nie on pojechałby na konferencje do Berlina...

— Ah! ah!... kto tak jak ja bronił Saint-André i nie dozwolił Prusakom przejść przez Salins, ten ma prawo pluć na waszą dyplomację!... Kto przeszedł taki dzień jak dwudziesty trzeci stycznia, gdzie na wpół zasypany śniegiem fort jęczał cały od strzałów, kto stanowił część załogi miejsciny, która jedna! jedyna nie pozwoliła zdeptać się najeźdźcom, ten

ma prawo zacisnąwszy pięści zawołać: Ah! tas des punaises! mauvais garnements! espéces d'espéces idźcie do Berlina, ale z bronią w ręku! Odwet! odwet! nic więcej!...

I przez zaciśnięte zęby powtórzył raz jeszcze:

— Revanche! revanche!...

I był w tej chwili wspaniały w uniesieniu groźnym ten chłop na wpół ślepy, podnoszący w górę drżące ze wzruszenia ręce.

Purpurowy blask ognia oświetlał go jaskrawo, rzucając nań krwawe refleksy.

Spod wpół rozpiętej bluzy widać było pierś szerniącą, włosom obrosłą; pierś obrońcy kraju pokrajaną białymi bliznami.

A przez zaciśnięte zęby wybiegał szereg słów gorących jak lawa, jak chęć zemsty za upokorzenie kraju, która nurtowała jego żyły od lat tyłu.

- Oh! wszyscy możecie marnie gnść jak stado żab lub cuchnących krewetów. Czy wy macie krew w żyłach waszych, kawały mięsa! zgniłki restauracyjne! Idźcie do Ber-

lina, lecz mnie zostawcie w spokoju, bo, nom de nom, żałować zaczął tej krwi przelanej i tych ciał martwych, które śnieg zasypywał, robiąc z nich dla Salinsa wał ochronny, z krwi i trupów złożony!...

I teraz on, ojciec Richard, dominował nad całą „bandą”, która w milczeniu siedziała dokoła stołu, zdając się dziwnie nędzna, mała, trywialna — wobec potężnej postaci starca wywołującego z cienia krwawe, wojenne widziadła...

Z PAMIĘTNIKÓW MŁODEJ MĘŻATKI

22 października

Od trzech dni jestem młodą mężatką. Zdaje mi się, że jestem pogrążona we śnie. Chodzę po mieszkaniu, które jest moim mieszkaniem, a ciągle

mam uczucie, jakbym spała i nie mogła się rozbudzić dostatecznie. Ubrana jestem w jedną z moich panińskich sukienek, gdyż mój mąż zdecydował, że wyprawnego szlafrocza szkoda. Przykro mi było trochę schować go do szafy, bo cieszyłam się, że będę mogła chodzić po pokojach w tureckim szlafroku z trenem i na jedwabnej podszewce. Nie chcę się jednak Julianowi sprzeciwiać, gdyż i tak widziałam, że nie był kontent, gdy wydobywałam z kufrów moją wyprawę i na srebro strasznie głową kręcił. Jego matka, oglądając moją bieliznę, zapytała mnie:

- Czy to perkalowa?

Zawstydziłam się strasznie, bo sama nie wiem, czy rzeczywiście moja wyprawna bielizna jest perkalowa lub płócienna. Wiem to jedno, że rodzice dali mi co mogli i ile mogli. Tak samo i posag. Nie wiem, czy ułożyli się z góry z Julianem, ile mu za mnie dadzą, ale boję się bardzo jego niezadowolenia. To dziwna rzecz! Zaledwie trzy dni mój mąż jest moim mężem, a zaczynam się go bać nie na żarty. Zresztą i dawniej, przed ślubem - kiedy się jeszcze o mnie starał - bałam się go ciągle. Właściwie nie bałam się jego samego, ale jego niezadowolenia. A on był ciągle niezadowolony i tak badawczo po wszystkich kątach patrzył kiedy siedział przy stole i niby ze wszystkimi rozmawiał. Ja z nim rozmawiać nigdy nie mogłam, bo nas samych nigdy nie zostawiali w pokoju. Jak nie było mamy, to była moja młodsza siostra, Kazia. Myślałam, że jak za mąż za niego już pójdę, to będziemy mogli nagadać się do woli.

Ale to jest jakoś inaczej niż ja przypuszczałam. Ciągłe się Juliana boję, coraz więcej i nie mam z nim o czym mówić. Może później będę inaczej.

6 listopada

Mam co dzień wielkie zmartwienie. Wieczorem muszę dysponować obiadem i nie wiem, co wymyślić. Julian dużo rzeczy nie lubi, a ja w domu nigdy się tym nie zajmowałam. Mama mówiła, że dobrze wychowana panna nie powinna się mieszać do spraw kuchennych i gniewała się na mnie, kiedy raz piekłam sobie zajaczkę i krzeselka z kawałka surowego ciasta, które mi dała kucharka. A przecież teraz chciałabym bardzo znać się na kuchni. Magdalena, nasza służąca do wszystkiego, nieszczególnie gotuje i widzę, że Julian jest w coraz gorszym humorze, kiedy siada do obiadu. Ażeby tylko nie widzieć jego kwaśnej miny już chętnie poszłabym do kuchni jak jakaś Niemka i dopilnowałabym Magdaleny... ale cóż, ona od razu się

pozna, że na niczym się nie znam i przestanie mnie szanować. Już i tak wczoraj zapytała mnie: "Czy pani każe wziąć pierwszą krzyżową?" "Odpowiedziałam: "Naturalnie, moja Magdaleno! Naturalnie!" Ale nic nie wiem, co to za pierwsza krzyżowa. Wiem, że są gamy krzyżowe i bemolowe, ale o mięsie nie mam najmniejszego pojęcia.

Wczoraj nagle przy obiedzie Julian zapytał, czy moja mama chodziła w piątek na miasto. Zmarszczyłam brwi i odpowiedziałam, że nie. Parsknął śmiechem i rzuciwszy na stół serwetę, zawołał: "byłem tego pewny!" Z trwogą pomyślałam, czy to nie jest aluzja do skłonienia mnie do chodzenia z

Magdaleną na targ piątkowy. Jeszcze by tego brakowało! Mama mówiła, że przekupki nie lubią pań na targu i mówią umyślnie brzydkie wyrazy, żeby oduczyć panie od chodzenia razem z kucharkami na targ. A zresztą nie mam odpowiedniego ubrania. Mam nowy żakiet i ładną pelerynę, przecież w tym po targu chodzić nie będę.

9 listopada

Dziś Julian, wychodząc do biura, zapowiedział mi, że wieczorem pójdziemy do teatru Rozmaitości. Bardzo się z tego cieszę, bo wieczorami siedzimy w domu, czytamy Kurier, a potem on chodzi wkoło stołu, a ja sama nie wiem, co robić z sobą. Julian nie jest zły, ale ma charakter pochmurny i usposobienie wcale niewesołe. Skoro wchodzi do domu, to się robi zimno, jakby nagle ktoś na zawieruchę drzwi otworzył. Jest podobno przystojny i moje kuzynki zachwycaly się nim przed moim ślubem. Dla mnie Julian jest za wysoki, zanadto imponujący, chodząc, butami skrzypi i je w sposób, który mnie szalenie denerwuje. Ja przy nim wyglądam jak szczur, bo jestem drobna, mała, chuda i mam cerę śniadą. Kupiłam sobie przez służącą w aptece pudru, ale to nic nie pomaga, bo puder się nie trzyma. Mama nie pozwoliła mi się pudrować, choć sama pudrowała się w sekrecie. Julian ma bardzo ładną cerę i prześliczne ręce. Chwilami zdaje mi się, że Julian na mnie patrzy z niezadowoleniem i wtedy zimno mi i czuję się bardzo smutna. Wiem, że nie jestem bardzo ładna, ale przecież byłam taka sama przed ślubem, a nawet jeszcze brzydsza. Sam mi się pierwszy oświadczył i to nagle, przy drugim spotkaniu. Stawaliśmy właśnie do kadryła. On był najszykowniejszy ze wszystkich mężczyzn tam zebranych i wszyscy

mówili, że to bardzo dobra partia. Wiedziałam, że inne panny zazdroszczą mi, że właśnie on ze mną ciągle tańczy i najwyraźniej mi asystuje. Zapytał mnie, czy upoważniam go do częstszego bywania w domu moich rodziców.

Powiedziałam "tak", ale bez żadnej myśli przyrzeczenia mu mej ręki, i zaraz tak on, jak wszyscy, zaczęli uważać go za mego narzeczonego. Ojciec nie chciał go mieć za zięcia, we mnie obudził się duch przeciwności - i zostałam żoną Juliana. Wszyscy unoszą się nad nim, że to bardzo porządny człowiek. Nie pije, nie pali i w karty nie gra. Ciotki moje były nim zachwycone. Ja nie wiem, co o nim myśleć. Jestem głupia i Julian jest dla mnie widocznie za poważny. Myślałam, że się będziemy kochali, ale widać w małżeństwie miłość inaczej wygląda. Zresztą, może ja go kocham. Przynajmniej powinnam go kochać, bo przysięgam mu miłość do śmierci. Postaram się go kochać poważnie i rozsądnie. Tylko tak jakoś smutno! ...tak jakoś bardzo smutno!

20 listopada

Z obiadami coraz gorzej. Magdalena się zaniedbuje i nigdy obiad nie jest na oznaczoną godzinę. Jest to główny punkt niezadowolenia Juliana. Zaczęłam już sama chodzić do kuchni, ale Magdalena się rozgniewała i powiedziała mi: "Niech mi pani nie nadeptuje na pięty". Odpowiedziałam jej zaraz: "Niech się Magdalena nie zuchwali", ale ona obraziła się na dobre i przestała obiad gotować. Złękłam się bardzo i poszłam do pokoju, gdzie siedziałam całe pół godziny płacząc. Potem wzięłam kieliszek wódki i zaniiosłam Magdalenie do kuchni, żeby ją udobruchać. Wypiła i odwróciła się do mnie tyłem. Obiad był o godzinę później, a kotlety zupełnie spalone. Magdalena powiedziała Julianowi, że to "bez panią", a Julian, uśmiechnąwszy się cierpko, odrzekł: "Wiem, że mam w domu... lalkę". Mnie łzy puściły się z oczu strumieniem i pobiegłam zamknąć się w swoim pokoju, gdzie siedziałam bez lampy i świecy cały wieczór. Tylko od latarni gazowej padało światło na podłogę. Ja ciągle płakałam nie tylko o tę historię obiadową, ile, że mi taki ból i smutek w piersi wezbrał i razem z tymi łzami zdawał się spływać z moich oczu. Myślałam, że duszę z siebie wypłaczę. O ósmej posłyszałam jak Julian wychodził z domu. Pierwszy to raz po ślubie zostawił mnie wieczorem samą. Zrobiło

mi się bardzo strasznie w tym pustym mieszkaniu. Bałam się wstać i poszukać zapalek. Naprzeciwko zaczęli grać na fortepianie i to mnie dobiło... Zaczęłam znów płakać i osunęłam się aż na podłogę, tak mnie łkania dusiły. Wołałam po cichu: "wody! wody!" a przecież to było głupio z mej strony, bo nikt mnie nie słyszał i słyszeć nie mógł. Później wstałam, rozebrałam się i położyłam spać. Podobno pierwsze miesiące po ślubie nazywają się... miodowymi miesiącami! Czy to być może? Czy to być może!

Nazajutrz Julian powrócił dość późno i pogodził się ze mną na dobranoc. Jestem kontenta, że się już na mnie nie gniewa, ale zarazem forma pogodzenia zrobiła na mnie dziwne wrażenie. Poczułam się

upokorzona. Zdawało mi się, że ja muszę pogodzić się z tym człowiekiem, że mnie nie wolno zasnąć rozgniewanej, że on w formie żartobliwej każe mi być dla siebie uprzejmą i zarzucić sobie ręce na szyję. Gdy doszło już do tego, że przyciągnął mnie do siebie i zaczął całować, zamknęłam oczy, bo mi wstyd było za siebie samą, że nie mam odwagi powiedzieć mu: "Nie chcę twych pieszczot, serce mnie boli", że jak manekin w jego rękach jestem bezsilna i głupia, bez chęci, bez woli, bez możliwości pozostania na chwilę samej ze smutkiem moim.

25 listopada

Przypomniałam sobie, że jako mężatka, mam już prawo czytać nieprzyzwoite książki i postanowiłam zaabonować je w pierwszej lepszej czytelnicy. Tylko na to trzeba się odważyć wyjść samej na ulicę. W domu nie wolno mi było wychodzić samej. Zawsze wychodziłam z mamą, a już w najgorszym razie ze służącą. Może by wziąć z sobą Magdalенę? Sama nie wiem. Chciałabym się zapytać Juliana, ale boję się...

26 listopada

Dziś Julian, wychodząc do biura, powiedział mi, że od pierwszego będzie mi dawał 60 rubli na domowe miesięczne wydatki i że to mi powinno wystarczyć do końca miesiąca. On opłaci mieszkanie, kupi węgiel i zapłaci śłudze. Nie wiem, czy to mało, czy dużo te 60 rubli miesięcznie. Nie odpowiedziałam mu nic, bo nie chciałam, żeby zrozumiał, że ja pod tym względem jestem bardzo głupia. Poszłabym do mamy zapytać się, czy

to wystarczy na miesiąc, ale mama nie bardzo chętnie godziła się na moje małżeństwo i mówiła do ojca: "Jeżeli będą biedę klepać, to ja ręce umywam". Więc po co mama ma wiedzieć, co ja dostaję od Juliana na miesięczne wydatki? Niech lepiej nikt nie wie, jak mi jest. Klamka zapadła, nic już się nie zmieni. Sześćdziesiąt rubli miesięcznie to dwa ruble dziennie. Badać panną, nigdy w życiu tyle pieniędzy w ręku nie miałam. Zaabonuję nieprzyzwoite książki, kupię sobie kawioru, dam trochę pieniędzy biednym na intencję dobrego z Julianem pożycia i zafunduję sobie lepszy puder. Mówią, że Welutina to bardzo dobry puder.

27 listopada

Żeby już ten pierwszy jak najprędzej przyszedł i żebym już miała te pieniądze w ręku!

29 listopada

Dziś jeździliśmy z wizytami: byliśmy w dziewięciu domach. W jednym nas wcale nie przyjęli, lokaj wziął bilety, poszedł i wróciwszy powiedział, że państwo wyszli. To nieprawda, ja to dobrze czułam, bo Julian był taki zły wsiadając do karety, że zaczął na mnie krzyczeć bez najmniejszego powodu i wyrzekać, że kareta drogo kosztuje. Siedziałam w kącie cichutko i tylko trzęsłam się cała ze zdenerwowania, tak mnie ten dzień strasznie zmęczył. Ci wszyscy państwo, u których byliśmy, to byli przeważnie znajomi Juliana z kawalerskich czasów. U nas w domu bywali sami krewni i taka tam "zbieranina", jak Julian powiedział, więc tam nie warto było jechać. Tylko, że znajomi Juliana przyjmowali nas jakby niechętnie.

W dwóch domach były panny na wydaniu. Patrzyły na mnie ironicznie. Szczególnie Iza Troicka, wysoka, ładna blondynka, bardzo umalowana i w wyzywającej czerwonej bluzce.

Zaraz gdy weszliśmy, zaczęła się chichotać z moim mężem i zaciągnęła go ze sobą do framugi okna za firanki. Tam rozmawiali i śmiali się półgłosem: nigdy nie widziałam mojego męża w takim dziwnym usposobieniu. Był jakby zmieszany i zadowolony. Gładził ciągle wąsy i patrzył na Izę spod przymrużonych powiek. Ja, siedząc na kanapie z panią Troicką, starałam się udawać, że nie widzę i nie zwracam uwagi na tych dwoje, ale mimo woli widziałam ich doskonale, a także i odbicie ich powtórzone w lustrze, które wisiało na bocznej ścianie nad konsolą.

Uderzyło mnie to, że Iza i mój mąż są naprawdę do siebie podobni. Oboje mają złote włosy i silnie akcentowane profile, ładne różowe usta i oboje umieją patrzeć dziwacznie spod przysłoniętych powiek. Choć u mojego męża to spojrzenie ma pewien odcień złośliwości, podczas kiedy panna Iza patrzy zupełnie chłodno. Rozmawiali półgłosem, niektóre jednak urwane zdania dolatywały do moich uszu.

Nagle Iza wyrzekła:

- Nie, teraz już wszystko skończone...

Mój mąż śmiać się zaczął i posłyszałam tylko zakończenie jego odpowiedzi:

- ... przeciwnie, teraz nabierze uroku!

Iza odparła:

- Jak dla kogo!

I szybko zbliżyła się ku nam. Idąc, szeleściła jedwabiem podszewek. Mnie ten szelest i zbliżenie się Izy zmieszały niewymownie. Czułam, że się czerwienię i byłam zła na siebie, bo nie tylko Iza, ale i mój mąż patrzyli na mnie. We wzroku Izy malowała się najwyraźniej pogardliwa litość.

Rzeczywiście,

w porównaniu z nią byłam niezgrabna i brzydka. Dziwiło mnie, że tak piękna panna do tej chwili za mąż nie wyszła. Gdy wyszliśmy od Troickich, powiedziałam to Julianowi. Zaczął się śmiać i odpowiedział:

- Iza nie ma posagu, a poza tym to nie jest panna, którą można wziąć za żonę.

Poczułam się oburzona, że mnie w takim razie do tego domu wprowadził i zebrawszy się na odwagę, zrobiłam mu z tego powodu wymówkę. Przestał się śmiać, zmarszczył brwi i powiedział mi:

- Głupia jesteś.

Już po raz drugi nazwał mnie głupią.

Pierwszy raz kiedy się zapytałam, czy... Później pojechaliśmy do dwóch zwierzchników biurowych Juliana, ale tam nie było nikogo w domu. Ja byłam bardzo kontenta, bo jestem nieśmiała i takie wizyty dużo mnie zdrowia kosztują. Aż wreszcie spotkała nas ta nieprzyjemność, że nie przyjęto nas u państwa Okszów - Jarzębskich, których mój mąż poznał u wód w Galicji, gdy jeździł leczyć się lat temu kilka. Ci państwo muszą być bardzo bogaci, bo w przedpokoju było ładniej niż u nas w saloniku, a

nawet niż w salonie moich rodziców. Lokaj miał taką minę zuchwałą i patrzył na nas z góry, a na ścianach wisiały wszędzie portiery w pasy, w guście wschodnim. Kiedy wyszliśmy stamtąd i wsiedli do karety, jechaliśmy jeszcze ulicą Bracką w stronę mieszkania moich rodziców, ale Julian nagle zatrzymał karete i zawołał do mnie:

- Wsiądź!

Wysiadłam natychmiast, bo cóż miałam zrobić?

Julian dorzucił:

- Idź na trotuar.

Poszłam, podnosząc z trudnością suknię, bo ciężka i powłóczysta. Z trotuaru widziałam, jak Julian odprawił karete i zawołał jednokonną dorożkę. Aż mi łzy stanęły w oczach, kiedy dorożka podjechała i Julian kazał mi do niej wsiąść. Miałam nowy kapelusz, nową pelerynę, jasne rękawiczki i jedwabną suknię. Byłam bardzo wystrojona i trochę upudrowana. Wstyd mi było jechać dorożką. Dorożkarz był obszarpany, siedział krzywo na koźle i koń był chudy, okropny i biały. Nigdy w życiu nie jechałam taką dorożką, bo mama się wstydziła wsiąść do podobnej dryndy i zawsze albo się brało powóz, albo się szło pieszo, choć nogi nieraz strasznie bolały.

Julian widział, że mi to przykrość sprawia i powiedział nadąsanym głosem:

- Twój ojciec nie dał mi tyle posagu, byśmy mogli rozbijać się powozami...

Nie odpowiedziałam mu nic, ale w głębi mojej duszy nagle odezwało się coś, co już nie było tylko żalem. To było coś silniejszego, tak jakby jakaś głucha nienawiść, a może tylko niechęć. Sama nie wiem.

1 grudnia

Dziś dostałam pieniądze. Nie wiem, gdzie je schować, by mi ktoś nie ukradł. Wydałam już cztery ruble do obiadu i sama nie wiem na co. Muszę kupić książeczkę i zapisywać wydatki.

Jutro rano wyjdę sama na ulicę.

2 grudnia

Byłam dziś sama na ulicy. Nie załatwiłam jednak żadnego sprawunku. Kiedy wyszłam, zdawało mi się, że się wszyscy na mnie patrzą i palcami pokazują. Jednak dużo samych kobiet chodzi po ulicach, a nawet widziałam bardzo młodziutkie dziewczynki, jak szły same i nie wstydziły się wcale. Czułam mocno, że ubrałam się niewłaściwie i byłam zanadto wystrojona, choć wzięłam na głowę moją kapotkę z fioletowymi skrzydełkami, ażeby wyglądać poważniej. Mieszkamy na ulicy Hożej, a gdy doszłam do Alei Jerozolimskich, byłam czerwona jak upiór, tak mi krew biła do głowy. Żałowałam, że nie było po drodze jakiegoś kościoła, bym mogła schować się choć na chwilę. Nie wyobrażałam sobie, że tylu ludzi po ulicach chodzi i tak ordynarnie potrącają. Może to ja ze zmieszania szłam tak niezgrabnie, ale boki miałam zupełnie obolałe. W dodatku zerwał się wichur i ciągle miałam pelerynę na głowie. Kapelusz mi się przekreślił na bakier, szłam przed siebie jak błędna. Z początku starałam się mieć pewną siebie minę, ale powoli straciłam możliwość kierowania swoją wolą. Prosiłam tylko ciągle Boga, abym nie spotkała kogoś ze znajomych. Nagle na rogu Chmielnej ktoś mi się uklonił. Kto, nie wiem. Widziałam tylko, że to był mężczyzna, lecz właśnie wtedy wiatr założył mi na głowę pelerynę, a kapelusz zsunął mi się na oczy. To mnie dobiło. Z rozpaczki kiwnęłam na przejeżdżającą dorożkę i wsiadłam do niej. Gdy już wsiadłam, przypomniałam sobie, że mama mówiła, iż najnieprzyzwoitszą rzeczą dla kobiety jest jechać samotnie dorożką i że tylko kobiety lekkiego prowadzenia można widzieć siedzące same w dorożce. Kazałam więc podnieść budę dorożkarzowi pomimo, że pogoda był piękna. Spojrzał na mnie jak na wariatkę. Ponowiłam mój rozkaz, starając się o ile możliwości być stanowczą, choć w duszy widziałam, że ze mnie drwił. Gdy podniósł budę, zapytał, czy i fartuch ma odpiąć.

- Nie! - odparłam bardzo zirytowana. Pojechaliśmy, ale on jakby na złość jechał bardzo wolno i tuż koło chodnika. Ja wtuliłam się w sam kąt dorożki i nie śmiałam mu powiedzieć, żeby jechał prędzej. Wreszcie dojechaliśmy do domu. Dałam mu trzydzieści kopiejek, myśląc, że go zdziwię taką hojnością. Ale on splunął i ... nawymyślał mi od ostatnich. Nie wiem, czy tak prędko wyjdę sama.

8 grudnia

Siedzę wieczorem sama i z nudów zabrałam się znów do pisania. Julian od czasu do czasu wychodzi wieczorami z domu i wraca zwykle przed dwunastą. Mówi, że idzie do kolegi na karty. Jeżeli mam być szczerą to nawet wolę gdy on wyjdzie, bo ile razy siedzi ze mną wieczorem sam na sam, to wpada w bardzo zły humor. Rzecz szczególna. Skoro tak siedzimy przy stole, na którym się pali lampa, ja z robotą, a on z Kurierem w rękę, to zawsze mi się zdaje, że my nie jesteśmy małżeństwem, ale że udajemy małżeństwo. Grałam kiedyś w teatrze amatorskim młodą mężatkę i tak samo siedziałam na scenie przy stole, na którym paliła się lampa, przyćmiona żółtym abażurem. Mojego męża grał wówczas pan Marian, brat pana

Adama. Sam pan Adam był pomiędzy publicznością. Czy ja powinnam nawet wspominać o nim teraz, kiedy jestem już żoną Juliana?

Obowiązkiem moim jest myśleć tylko o moim mężu. Wiem, czuję to... A jednak! ...

Godzinę później

Jak ten deszcz jesienny po szybach łopocze, jakby nietoperz chciał wlecieć do mieszkania.

Wstałam od stołu i poszłam do okna. Szyby zawilgocone i widzi się przez mokrą zasłonę.

Śnieg jeszcze nie pada, tylko deszcz i na ulicach srebrzą się małe kałuże błota. Na rogu pali się latarnia, koło niej stoi dorożka i na szkle jej latarki można przeczytać wyraźnie cyfrę 1313. Dwie trzynastki! Dwie trzynastki uparcie świecą się przede mną!

Na rogu jest szynk i dziwna rzecz, ściany są w nim pomalowane na niebiesko, bo przez szyby całe wnętrze wydaje się błękitne, jakby tam ktoś księżyc zawiesił. Tylko gdzieś w oddali jakiś żołnierz gra na piszczałce kilka taktów wiecznie jednej i tej samej piosenki. Żołnierz siedzi na progu koszar i gra, gra bez ustanku, aż mi się smutno robi. Odeszłam od okna, bo czułam, że mi się na łzy zbiera. Poszłam do komody i powoli wyciągnęłam spod bielizny aksamitne pudełeczko. Są tam moje panięńskie pamiątki. Nie mogłam się z nimi rozstać, choć czuję, że popełniam tym zły postępek przeciw memu mężowi. Co jednak począć! Zdaje mi

się, że to pudełeczko to trumienka ze wszystkim, co jest we mnie najdroższe i najlepsze w życiu. Jakże to spalić? Przecież tam jest mój pierwszy rachunek sumienia, kiedy szłam po raz pierwszy do spowiedzi. Jest to żółta i zabrudzona już karteczka, a na niej dużymi literami wypisane wyraźnie moje grzechy, cyfrą i literami. Moje grzechy! Czytam je i uśmiecham się - ja, mężatka, z grzechów moich, dziecka:

Nr 3. Byłam łakoma.

Nr 4. Biłam się z moim bratem .

Nr 5. W kościele myślałam o czym innym.

A potem ten największy, najcięższy grzech mojego dzieciństwa:

Nr 23. Byłam w pretensjach.

To dziwne. Będąc dzieckiem i panienką "byłam w pretensjach". - Po wyjściu za mąż, przestałam "być w pretensjach". Pudruję się tylko, gdy wychodzę na ulicę, ale w domu dodzieram stare panięskie sukienki i jest mi to obojętne, jak wyglądam. Z początku chciałam ubierać się staranniej ze względu na Juliana, ale on nie lubi, kiedy się porządne rzeczy na co dzień "niszczy" i sam chodzi w starym zaplamionym szlafroku i przydeptanych pantoflach.

Złożyłam rachunek sumienia i zaczęłam przeglądać inne drobiazgi . Są tam moje cenzury i patent z ukończenia pensji, kilka wierszyków, przepisanych ręką mojej koleżanki, Wandzi, fotografia Wolskiego, w którym się bardzo kochałam mając lat czternaście. Zobaczyłam go jednak raz w cukierni przed świętami Wielkanocnymi, gdy poszłam z mamą obstałować mazurki. Odkochałam się w nim, bo miał katar i na nogach duże kalosze. Ale fotografię schowałam, bo zapłaciłam za nią bardzo drogo Wandzi, która kochała się w Nowickim i od swego brata dostała fotografię obu aktorów. Wandzia była bardzo łakoma, a że ja na drugie śniadanie miałam prawie zawsze bułkę z konfiturami, więc umówiłyśmy się, że ona mi da Wolskiego, a ja przez cały miesiąc oddawać jej będę moje śniadanie. I oddawałam heroicznie, tłumiąc głód, szczęśliwa, że choć w ten sposób zdołam dowieść Wolskiemu, jak wielkie jest dla niego moje uczucie...

Pudełeczko stoi ciągle otwarte przede mną. Oto zeschnięty maleńki bukietek. Pamiątka z mego pierwszego balu, jakkolwiek nie bawiłam się na nim szalenie. Tańczono ze mną średnio - proporcjonalnie. Inne panny tańczyły więcej. Były piękniejsze i prawdopodobnie miały więcej posagu. Oto strzępek tiulu sukni, którą miałam na sobie tego wieczoru. Byłam ubrana na niebiesko. Nieładnie wyglądałam. Wiedziałam o tym sama.

A tu znajduję pod ręką kawałek białej atlasowej wstążki. To pamiątka po moim małym braciszku.

Gdy był w trumience, odciąłam mu tę wstążeczkę od czepeczka. Wyglądał jak lalka woskowa w świetle gromnic. Tego braciszka nie bardzo w domu kochano. Zapewne dlatego, że był ciągle słabowity i płakał bezustannie. Ja go tuliłam i nosiłam ciągle na ręku. I tak raz mi na rękach umarł.

Myślałam, że zasnął i chodziłam z nim ciągle po pokoju, podczas gdy mama i niańka zdrzemnęły się trochę. Później, gdy się przekonałam, że trzymam na ręku trupa, bardzo się przestraszyłam i zaczęłam krzyczeć. Cóż dziwnego! Byłam głupia. Miałam wtedy czternaście lat. Właśnie odkochałam się w Wolskim.

Wiatr ciągle tłucze w szyby, deszcz pada z łoskotem, głusząc piosenkę, którą gra na piszczałce żołnierz, siedzący na progu koszar.

Co też jest jeszcze w tym aksamitnym pudełeczku?

O! Kawałek zeschłego, czarnego chleba.

To cała historia, długa historia. Powinnam ten chleb wyrzucić, tak jak i tę zeschłą gałązkę cierniową i jak tę rękawiczkę...

To pan Adam! Pan Adam odżywa cały - zmartwychwstaje. Nie powinnam, czuję, że nie powinnam, a przecież nie mogę. W panu Adamie nie kochałam się tak jak w Wolskim - o!

Zupełnie inaczej. Zresztą miałam już lat siedemnaście, byłam prawie dorosłą panną. Za pana Adama chciałam pójść za męża, ale pan Adam był tylko posesorem, więc mnie za niego nie dali i tyle robili, że przestał u nas bywać. Prawda, że on był trochę niezgrabny i mrukliwy, ale mnie się bardzo spodobał i tak mnie do niego coś ciągnęło!

Poznałam go na wsi u mojej ciotki Zaruckiej, gdzie byliśmy z bratem na wakacjach. Z początku pan Adam nie zwracał na mnie uwagi i traktował mnie jak dziecko, bo też przedstawiłam mu się jak dziecko źle wychowane. Wlazałam na stół kamienny w ogrodzie i otrząsałam na siebie kwiat lipowy, który spadał na moją głowę, na ramiona, na mnie całą, jak grad motyli. Śmiałam się sama do siebie i nie widziałam, że jakiś nieznajomy mężczyzna stoi opodal.

Gdy go spostrzegłam, zmieniłam się bardzo i zamiast zeskoczyć ze stołu, stałam ciągle na tym podwyższeniu, podczas gdy on z uśmiechem kłaniał

mi się i przedstawiał. Przyjechał przed chwilą, powiedziano mu, że ciotka jest w ogrodzie i poszedł tam, znając dobrze drogę.

Ja nie odpowiadałam. Niby nie patrzyłam na niego, ale od razu zauważyłam, że jest bardzo piękny, wysoki, że ma śliczne oczy i wąsy czarne jak atrament. Byłam kontenta, że włożyłam

dnia tego swoją nową lila batystową bluzkę i powoli ochłonełam z przestachu. Gdy mi podał rękę i zszedł ze stołu, zdawało mi się, że mam zupełnie swobodną i naturalną minę. Odszukaliśmy ciotkę, która była bardzo zmartwiona, gdyż truskawki zupełnie się nie udały, lecz mnie truskawki nie były teraz w głowie. Pobiegłam przejrzeć się w lustrze i uperfumować trochę.

Od tej chwili zaczęłam kochać się naprawdę w panu Adamie i powoli dokazałam tego, że i on zwrócił na mnie uwagę. I to była Jasna chwila w moim życiu. Trwało to trzy tygodnie ... i zniknęło jak sen. Ach! Jak ten deszcz smutno o szyby kołacze! Jak smutno jesienią samej siedzieć w pustym mieszkaniu!

Pan Adam także zapewne siedzi tam sam w swoich Horodyszczach, a może... kto wie!

Może i on już się ożenił? Siedzą pewnie we dwoje... bo na wsi nie można chodzić do przyjaciół na karty.

We dwoje!

On - z inną kobietą!

Jak mi się dziwnie na sercu robi: wszystko dokoła mnie niknie i blednie. Już późno - po dwunastej, Juliana jeszcze nie ma. Magdalena kuchnię sprząta. Poskładałam te drobiazgi i pójdę zrobić z nią rachunek. Wolę nie patrzeć na to wszystko. Zdaje mi się, że otworzyłam jakąś trumnę. Innym razem napiszę, co znaczy ten chleb i ta gałązka... Dziś już nie mogę, bo mi zanadto smutno, a przy tym rachunek trzeba zrobić? Po co ja właściwie ten rachunek robię, kiedy ja się na niczym nie znam. Magdalena mówi: - Mąki tyle, masła za tyle, pietruszka i włoszczyzna tyle. . .

Ja zapisuję i nie śmiem jej powiedzieć, dlaczego tak dużo, bo raz zwróciłam uwagę, że mi podała rybę, a ryby na obiad nie było. Ofuknęła się i zaczęła mówić: "Co to pani mnie ma za złodziejkę?" Wolę więc być cicho i nie chcę się z nią kłócić, bo mi Julian zapowiedział, że nie cierpi, kiedy się sługi zmieniają.

Gdybym ja się mogła dowiedzieć, co ile kosztuje. Podobno w Kurierku są podawane ceny artykułów spożywczych. Trzeba będzie zobaczyć.

13 grudnia

Zajrzałam dziś do pieniędzy i przestraszyłam się, że mam tak mało. Muszę kupić sobie książeczkę i spisywać wydatki. To Magdalena tyle wydaje w mieście i czasem nagle ni stąd, ni zowąd przyjdzie mi jakiś wydatek. Ot, musiałam kupić dwa tuziny ścierek, bo przecież ścierek się na wyprawę nie

daje. Wolę już sama kupować niż mówić Julianowi, który zaraz niepraktyczność moich rodziców i mojej wyprawy nicuje i często mnie tym do łez doprowadza.

W ogóle zdaje mi się, że Julian ma jakiś żal do moich rodziców i często wtrąca, że go oszukali. Czy to mowa o moim posagu? Boję się raz wyjaśnić tę sytuację, ale ciężko mi myśleć, że mąż mój patrzy na mnie jak na oszustkę. Gdybym wiedziała przed ślubem, ile mam posagu, powiedziałabym Julianowi śmiało i otwarcie. Ale cóż? Podobno pannie się nie mówi dokładnie, co i ile "za sobą" dostanie.

Chwilami ta kwestia posagowa dziwna mi się wydaje. Julian dawniej mieszkał w jednym pokoju i o ile wiem, jadał obiady w dość podrzędnej restauracji. Ożeniwszy się ze mną, mieszka w czterech pokojach i jada obiady względnie wykwintne, które mu jeszcze wydają się za skromne. Ja zaś, będąc panną, zajmowałam z rodzicami śliczny apartament przy ulicy Włodzimierskiej, osiem pokoi z balkonem od frontu. Jeździłam powozem (wprawdzie wynajętym, ale zawsze powozem) i bywałam w teatrze w łoży, a nie tak jak teraz... w krzesłach.

Julian więc na czysto zarobił na małżeństwie, ja zaś straciłam. I to on jest niezadowolony, a nie ja. Jemu się zdaje, że on jest mało zapłacony. Ale za co? Za co?

15 grudnia

Chodzę już po ulicach sama i nie wsiadam więcej do dorożki z podniesioną budą. Wczoraj śnieg upadł - biało było na ulicy i miałam wielką, ale to wielką ochotę przejść się trochę. Poszłam do matki Juliana.

Jest to staruszka, zrujnowana obywatelka - i pozująca na damę. Mówi przeważnie po francusku i rusza ustami, jakby coś przeżuwała. Z Julianem nie jest w wielkiej zgodzie i wyglądają tak, jakby byli z siebie niezadowoleni. Podobno pani Szumiłło (tak się obecnie nazywam) ma dożywocie na jakichś okruchach majątku, który Julianowi po ojcu pozostał. To jest podobno przyczyna obopólnej niechęci. Ja z panią Szumiłło jestem z daleka i ceremonialnie. Nie pociąga mnie, ale i nie odpycha. Jest zimna i obojętna i zdaje mi się, że ta kobieta nikogo kochać nie potrafi. Wracając do domu, przypomniałam sobie o nieprzyzwoitych książkach i zaczęłam szukać czytelnii. Na Marszałkowskiej ulicy dostrzegłam duży szyld: Czytelnia. Po chwili wahania weszłam na dziedziniec i zaczęłam wstępować na schody oficyny, w której mieściła się czytelnia. Serce mi biło jak młotem, gdy weszłam do jasno oświetlonego pokoju. Na środku duży stół, przykryty ceratą, a na nim książki.

Dokoła półki i cała masa grzbietów książek czarnooprawnych z białymi kartkami, na których napisano numery. Pod oknem mały stolik, na nim gazety. Przy tym stoliku siedziały jakieś dwie panie w kapeluszach i przeglądały dzienniki. Koło stołu stała niemłoda dama, ubrana czarno, w mitynkach, z włóczkową chusteczką na siwiejących włosach. Była podobna do mojej matki i to mnie od razu uderzyło i jeszcze więcej zmieszało. Na zapytanie, czego sobie życzę, prawie wybełkotałam, że chcę zaabonować książki. Dama zapisała moje imię i nazwisko, wzięła ode mnie pieniądze i wręczyła mi kwitek. Robiła to wszystko jak automat, grzecznie, ale niezmiernie stanowczo. Od czasu do czasu podnosiła swe jasnoniebieskie oczy i patrzyła na

mnie badawczo i chłodno. Po czym podsunęła mi katalogi, mówiąc: - Oto katalog polski, a to niemiecki, francuski i inne... Wzięłam machinalnie do rąk katalog polski. Od czasu do czasu słychać było tylko szelest gazety, przewracanej ręką jednej z dam, siedzących poza moimi plecami. Czulałam spojrzenie chłodnych, niebieskich oczu, utkwionych we mnie przenikliwie, i zrozumiałam, że nigdy, nigdy nie odważę się poprosić tę damę o jakąś "nieprzyzwoitą książkę".

Były one tam na półkach, tak blisko mnie, że potrzebowałam tylko rękę wyciągnąć, aby je dostać, a przecież dzieliła mnie od nich przepaść niemożliwa do przebycia. A zresztą, czy ja mogłam wiedzieć, jaki tytuł nosi taka książka, "której pannom czytać nie wolno". Ażeby jej zażądać, trzeba było umieć ją nazwać, a ja przecież tego wiedzieć nie mogłam. I wzięłam "Dewajtysa" Rodziewiczówny, choć go umiem na pamięć.

16 grudnia

Od dziś zaczęłam zapisywać wydatki, ale niewiele mi to pomaga. Odkąd się już wyemancypowałam i wychodzę sama, wydaję coraz więcej pieniędzy i sama nie wiem na co. Mam zaledwie dziesięć rubli, a tu do końca miesiąca daleko. Trzeba będzie powiedzieć Julianowi, że te 60 rubli to bardzo mało i nie może mi wystarczyć na wydatki domowe, tym bardziej, że kupiłam sobie z nich dwie woalki: jedną szafirową, drugą czarną, dwie sztuczki wstążeczki różowej do bielizny i pudełko porządnego pudru paryskiego, które samo kosztuje trzy ruble pięćdziesiąt kopiejek. Z tych pieniędzy muszę także rzucić kataryniarzom, którzy przychodzą na dziedziniec naszego domu, a wczoraj przyszła cała banda Czechów i musiałam im rzucić trzydzieści kopiejek. Było ich sześciu i wstyd

było dać im mniej. Trzeba będzie powiedzieć Julianowi o deficycie, ale mam duszę na ramieniu, bo jeden dzień nie przejdzie, żeby mój mąż nie narzekał na ciężkie czasy, na niepewność lokaty pieniędzy i tak dalej. Jest to ulubiony temat jego rozmowy: wiem teraz, że są jakieś numery hipoteczne i że towarzystwo kredytowe daje pieniądze na nieruchomości. Nie wiem nawet, jak mi to w ucho wpadło, bo zwykle gdy Julian mówi, ja myślę o czym innym i nie zastanawiam się nad treścią jego słów. On mówi sam w przestrzeń - i zadowala się dźwiękiem własnego głosu. Wczoraj jednak zauważył moje roztargnienie i wyrzekł słodko - kwaśnym tonem:

- Radziłbym ci słuchać tego, co mówię i starać się zaznajomić trochę z interesami. Mogę umrzeć i ty pozostaniesz wtedy sama na pastwę i żer oszustów i wyzyskiwaczy.

Parsknęłam śmiechem, tak mi się wydała nieprawdopodobna myśl o śmierci Juliana.

Zdrów, rosły, tęgi, on miałby umierać?

Lecz mój śmiech wydał mu się niewłaściwy i nieprzyzwoity.
Wstał z krzesła i zaczął chodzić dokoła stołu, skrzypiąc przeraźliwie butami.

- Nie chichocz się jak gęś! - wyrzekł opryskliwie - wiem, co mówię.
Lekkomyślność i niezaradność masz we krwi, bo twoi rodzice przetracili dosyć pieniędzy i zrujnowali mnie swoim marnotrawstwem!

Podniosłam głowę i spjrzałam na niego zdziwiona.

- Zrujnowali ciebie? - zapytałam po chwili.

- Spodziewam się - odparł: - byłem bardzo dobrą partią i mogłem, żeniąc się, zrobić trochę lepszy interes.

Chciałam zapytać się go: "byłeś więc do sprzedania?" - ale pytanie to zamarło mi na ustach.

Słyszałam tak często moich rodziców kłócących się ze sobą i to zwykle w kwestiach pieniężnych, że rada bym odsunąć tę konieczność sprzeczek jak najdalej z naszego pożycia. Widzę jednak, że to będzie trudne, bo w każdej chwili zaczepiamy się o tę przeszkodę pieniężną, o którą rozbijają się nawet moje najlepsze chęci i postanowienia.

17 grudnia

Julian mówi mi często, że jestem "głupia". - To dziwne! Na pensji i w domu uchodziłam za bardzo inteligentną.

19 grudnia

Prawie wszyscy ci, u których byliśmy z wizytą - rewizytowali nas. Nie przyjełam jednak nikogo, bo wszędzie, gdzie byliśmy, urządzenie domu było daleko kosztowniejsze i piękniejsze niż u mnie. Przy tym - nie umiem przyjmować gości, bo u rodziców wychodziłam do salonu jak lalka nakrecona i siadałam na krzeselku tak, jak inni goście, nie zajmując się niczym. Zresztą nie mamy lokaja, a Magdalena, wiecznie zasmolona i nadąsana, gdy otwiera drzwi, wcale mi zaszczytu nie przynosi. Wczoraj jednak musiałam przyjąć panie Troickie, gdyż spotkałyśmy się w drzwiach wejściowych i nie mogłam powiedzieć, tak jak zwykle, że mnie nie ma w domu, jakkolwiek wołałabym przyjąć wszystkich poprzednich gości niż te dwie kobiety. Trudno jednak było wyśliznąć się, gdyż spotkałyśmy się bec a bec z panną Izą, która powitała mnie ironicznie, zimno i protekcyjnie. Matka jej jest wiernym pierwowzorem córki,

jakkolwiek w zachowaniu swym ma trochę więcej łagodnego wdzięku i wygląda jakby była zasmucona i zakłopotana. Gdy weszły do naszego saloniku, rozglądały się ciekawie. Iza przez lornetkę sztyldkretową na długiej rączce, jakkolwiek wzrok ma doskonały. Prosiłam by usiadły, ale zrobiłam to niezgrabnie, byłam cała czerwona i nie wiedziałam co zrobić z rękami. Na domiar złego, Magdalena zaczęła w kuchni siekać kotlety tak głośno, że zdawało się, iż cały dom rozwali. Dziwna rzecz, jak obecność Izy mnie miesza i rozdrażnia.

Szczególnie gdy zaczęła bardzo uprzejmie chwalić gust w urządzeniu mieszkania - nienawidziłam jej szczerze. Czułam bowiem, że kłamie, że wyśmiewa się ze mnie, gdyż mój "garnitur", szafirową brokatelą kryty, jest bardzo biedny i wcale nie imponujący.

Nad kanapą wisi oleodruk, (mnie się on wcale nie podoba, ale Julian twierdzi, że ładny) - Iza zaczęła się przyglądać i wyrzekła do matki:

- Niech mama spojrzy, jaki to piękny oleodruk..., a zwróciwszy się do mnie, dodała: - Pani lubi takie landszafty?

Tego mi było za wiele. Zrozumiałam całą ironię, jaką umieściła w wyrazie "landszaft".

Nie wiem nawet, skąd zdobyłam się nagle na odwagę i odparłam:

- Przyznam się pani, że nie wiem, co to znaczy słowo landszaft. Używały go moje ciotki, ale nigdy nie przyszło mi do głowy zapytać, co to może znaczyć. Zresztą byłam wtedy jeszcze dzieckiem.

Twarz Izy pod malowidłem oblała się rumieńcem. Iza musi mieć co najmniej lat dwadzieścia pięć, ja zaś dziewiętnaście. Czułam, że to moja jedyna wyższość nad tą strojną i piękną panną. Instynktem kobiecym znalazłam broń i postanowiłam się nią bronić.

Lecz zmieszanie Izy niedługo trwało. Wstała z krzesła z szelestem jedwabnych podszewek i zaczęła niedyskretnie zaglądać do jadalnego pokoju.

- Czy zechce pani pokazać nam całe swoje gniazdko? - zapytała z nieporównanym wdziękiem w głosie.

- Iziu, jesteś niedyskretna! - upominała ją matka.

Lecz ona stała już na progu jadalni.

- Ach, jakie ładne talerze! - zawołała. Czułam znów, że jej zachwyty jest fałszywy, bo talerze, powieszzone na ścianach w mej jadalni, były bardzo zwyczajne i kupione za tanie pieniądze.

U rodziców moich wisiały piękne talerze, podobno bardzo stare, więc i ja chciałam, żeby u mnie ściany nie były puste i także zapełniłam je porcelaną. W t ej chwili jednak przeklinałam w duszy swoją głupotę i zawieszenie tych skorup w tak widocznych miejscach.

Co do kredensu i krzesel, byłam spokojna. Wprawdzie kredens cały był już spaczony, a blatu stołu pękł na dwoje, ale na efekt przedstawiały się pokaźnie i nie widać było, że to tandeta. Iza stała w drzwiach krótką chwilę i zaraz powróciwszy do saloniku, podeszła do drugich drzwi, prowadzących do gabinetu mego męża.

- A tu? - zapytała.

- To gabinet mego męża! - odparłam i dodałam dość szybko: - proszę, niech pani tam wejdzie, jeśli pani sobie życzy.

Ona śmiała się, zwróciwszy ku mnie swą piękną twarz fryzjerskiej lalki.

- Ależ to sanktuarium! - mówiła, potrząsając mufeczką z czarnych karakułów, do której przyczepiony był pęk prześlicznych chryzantem. - Tam chyba tylko wejść wolno żonie, a nie obcej kobiecie!

Lecz ja upierałam się przy swoim:

- Proszę, niech pani wejdzie! Tam nie ma żadnych tajemnic.

- Są tajemnice! - odparła. - i skoro raz je natrę jakiś spłoszy, albo odgadnie, tracą swój czar... i powab. Je vous prierai... garde a vous!

Nie rozumiałam, co chciała przez to powiedzieć.

Wydała mi się pretensjonalna i śmieszna w tej pozie, jakby wyciętej z ryciny mód paryskich. Zresztą szło mi o to, ażeby zobaczyła biurko mego męża, za które mój ojciec "z Kuriera" zapłacił dwieście rubli i które było podobno bardzo ładne.

Mówię "podobno", gdyż ja na antykach się nie znam.

- Lecz skoro pani pozwala... - podjęła znów Iza - chodźmy zobaczyć, jak wygląda gniazdko, w którym się obecność pani domu najlepiej zaznacza.

I znów nie rozumiałam, dlaczego obecność pani domu ma się zaznaczyć w pokoju przeznaczonym wyłącznie dla męża. Wszak Julian nie lubił, gdy do tego jego gabinetu wchodziłam. W i działałam zawsze rodzaj niechęci na jego twarzy, gdy zjawiałam się na progu.

Wreszcie Iza weszła do gabinetu i zaraz podszedłszy do biurka, zaczęła mu się uważnie przyglądać.

- To bardzo piękny Ludwik XIII - wyrzekła - tylko te brązowe galeryjki na górze są później dorobione.

Nie odpowiedziałam nic, tylko się dziwiłam, skąd ona zna się tak dokładnie na robocie biurka.

Milczałyśmy długą chwilę. Ona została przy biurku i z roztargnieniem przewracała porozkładane ćwiartki papieru i książki. Zdawała się być zamyślona i spochmurniała nagle.

Promień słońca blady, żółty, zimowy wpadał ukośnie przez czerwone zasłony okien i słał się pod jej stopy.

Nagle Iza obejrzała się dokoła.

- A gdzie pani miejsce? - spytała - przecież musisz mieć tu jakiś fotelik, jakiś kącik, w którym siedzisz wieczorami.

Lecz ja nie miałam tu kącika, ani fotela. Julian najczęściej siedział w gabinecie po obiedzie, albo wieczorami - sam jeden ((gdy był w domu). Ja najczęściej siedziałam w jadalnym pokoju przy stole, albo przy piecu. Iza czekała chwilę na moją odpowiedź, lecz widząc, że nie odpowiadam, lekko wzruszyła ramionami.

- Dlaczego tu nie ma choć jednego kwiatka? - zapytała znowu. - w ogóle w mieszkaniu pani nie widzę kwiatów. Iza wyciągnęła rękę i z półki biurka zdjęła szybko mały wazonik z niebieskiego szkła, mój paniński, który przywiozłam razem ze swoją wyprawą w pudełku, gdzie była moja mufka schowana.

- Zobacz pani, jak się zaraz to biurko rozweseli - mówiła Iza z jakimś sztucznym uśmiechem - mężowi pani zaraz będzie weselej pracować! Szybko odpięła od swej mufki wiązkę białych chryzantem i włożyła je do wazonika.

Kwiaty zabieliły się jak stadko motyli i rzeczywiście zrobiło się ładniej, jaśniej, weselej. Lecz równocześnie serce mi się ścisnęło jakimś żalem, którego przyczyny odgadnąć nie mogłam.

Iza także umilkła i tak stałyśmy obie dość długą chwilę, zapatrzone w te kwiaty delikatne i białe, podobne do postrzępionych płatków śniegowych.

Tegoż dnia wieczorem Powiedziałam Julianowi dość cierpko, że kwiaty zostawiła Iza. Spojrzał na mnie zdziwiony i nagle zaczął się śmiać

nienaturalnym śmiechem. Ten śmiech podrażnił mnie bardzo, zresztą od samego rana byłam dziwnie rozdrażniona. Miałam ochotę rzucić się na te kwiaty, poszarpać je i cisnąć o ziemię. Lecz czułam, iż postępując w ten sposób, będę śmieszna i głupia. Uciekłam więc do jadalnego pokoju i tam gorąco płakałam.

20 grudnia

Dlaczego ja właśnie płakałam? Co mnie skłoniło do tych łez, które nie brały początku w sercu? Bo zauważyłam, że my, kobiety, płaczemy dwojako: jedne łzy nas bolą a drugie - nie.

Otóż te łzy, które ja wylałam po odejściu Izy, nie bolały mnie wcale. Była to raczej obrażona duma, czy złość, że ktoś śmiał się targnąć na moją własność.

Bo ja zaczynałam teraz czuć prawo własności nad swoim mężem, choć Bogiem a prawdą, chyba już nikt mniej do nikogo nie należy, jak ów mój mąż do mnie.

Jest to obcy zupełnie dla mnie człowiek, a mimo to prawem i w sposób przyjęty na świecie, oddany mi na własność. To śmieszne, a co śmieszniejsze jeszcze, że dopiero wczoraj poczułam, że mimo woli, i mimo mej chęci w mój umysł weszło to już bezwiednie.

Przy śniadaniu zaczęłam umyślnie rozmowę na temat Izy. Byłam zła i pragnęłam się z Julianem na serio pokłócić. Przybrałam więc nadąsaną minę i rzekłam nagle, nie szukając wybiegu:

- Pragnęłabym zerwać znajomość z tymi paniami Troickimi. Słyszałam, że mają złą opinię.

Skłamałam, ale chciałam, aby mój mąż zaczął bronić te panie. Lecz on wzruszył ramionami i odparł:

- Zapewne... pokazywać się z nimi publicznie nie trzeba... ale bywać u nich, to co innego.

W towarzystwie panny Izy wiele się nauczyć możesz.

Porwał mnie dziecinny pusty gniew.

- Czego? - zapytałam opryskliwie - malowania się i kokieterii?

- Nie! - odrzekł mój mąż - oglądy towarzyskiej i tego czegoś, czego ci brakuje, a one posiadają w wysokim stopniu...

Zacisnęłam usta i nic nie odpowiedziałam.

Sama czułam, że Iza i jej matka mają ten specjalny warszawski, salonowy szyk, którego ja u moich rodziców, prowadzących dom bardzo "po dawnemu", nabrać nie mogłam. Szyk ten miał Julian w każdym spojrzeniu, w każdym ruchu, w sposobie ubrania się, zapalenia papierosa, oszlifowania paznokci, wygłaszania niby miękko, a przecież niezmiernie stanowczo swego zdania.

Nadto Iza każdą swą pozą przypominała mi dziwnie kobiety Żmurki, które widywałam na obrazach, chodząc z mamą w niedzielę po sumie na wystawę Towarzystwa Sztuk Pięknych.

Tamte malowane miały takie same pokręcone kędziory i patrzyły spod na wpół przysłoniętych powiek w dziwaczny sposób.

Gdy Julian wyszedł, poszłam do swego pokoju i usiadłszy przed lustrem, próbowałam patrzeć tak jak Iza.

Ale mi nie szło. Przede wszystkim dlatego, że ona ma oczy podłużne jak migdały, a ja okrągłe i wypukłe.

Po raz pierwszy jednak dostrzegłam, że rzęsy moje są o wiele gęściejsze i dłuższe niż rzęsy Izy.

W godzinę później

Zajrzałam do portmonetki i przestraszyłam się. Mam w niej rubla i trochę drobnych. A tu nadchodzą święta, trzeba strucli, bakalii, wina - tysiąca rzecz y. Jakże się bez tego święta mogą obejść? W domu mama zwykle, w sekrecie przed ojcem, zastawiała swoje brylantowe kolczyki i fermoar.

Ale czegoż to na Wigilię nie było! A potem przez całe święta tak jedliśmy orzechy, że cały dom chorował. Zresztą, gdyby u nas nie było strucli i bakalii, co by ta Magdalena sobie o nas pomyślała! Już i tak mnie z góry traktuje i opowiada, jakie przygotowania do Wigilii robi się u moich sąsiadów naprzeciwko.

22 grudnia

Boże mój! Co za przykra scena! ... Powiedziałam Julianowi, że nie mam już pieniędzy. Zaczerwienił się cały, potem zapytał mnie, siląc się na spokój:

- Co z pieniędzmi zrobiłaś?

Mnie zaczęły się usta trząść, bo mi się na łzy zbierało.

- Wydałam! - odpowiedziałam cicho.

- Na co?

- Nie wiem...

Rzeczywiście dokładnie nie wiedziałam, na co wydałam, bo od pewnego czasu przestałam zapisywać swoje wydatki, przekonawszy się, że to pieniędzy powstrzymać nie może. Wtedy Julian porwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju, sapiąc ciężko. Miał na sobie swój stary szlafrok, ale eleganckie spodnie i kamizelkę, bo miał wyjść wieczorem. W tej chwili nie miał wcale owego "szyku", tylko wydał mi się stary i niezgrabny. Długo milczał. Ja stałam oparta o ścianę, owinięta w chustkę, bo mi było zimno. Wreszcie mój mąż stanął przede mną i zaczął mówić z początku powoli, a potem coraz prędzej:

- Widzę, że wynikło między nami nieporozumienie. Wychodząc za mnie, wyobraziłaś sobie, że wychodzisz za milionera. Tymczasem ja jestem biednym urzędnikiem i nie mam za co utrzymywać żony. Z posagu twego wystarcza właściwie tylko na utrzymanie domu - nic więcej. Zanutuj to sobie. Przyzwyczajono cię w domu do zbytku, do marnotrawstwa. Starając się o ciebie, widziałem dobrze, co się święci. Ja jednak nie jestem pantoflem, jak twój ojciec, i zrujnować się nie dam!

Milczałam, bo cóż miałam odpowiedzieć? Pieniądze moje nie były w moim ręku, tylko w rękach tego pana z racji tytułu, że był moim mężem. Tak było postanowione i widocznie był to wieczny porządek rzeczy. Należało mi tylko milczeć i czekać, co mi Jego Mężowska Mość wydzielić raczy.

Lecz on mówił jeszcze długo i głośno, pragnąc od razu przygnieść mnie tą wyższością, na jakiej go stawia mężowskie stanowisko. Nie potrzebował tak krzyczeć, bo nigdy nie byłabym mu zaprzeczyła praw jego i przywilejów. W tej chwili jednak przekonałam się, że jeżeli mąż nie jest pantoflem, to jest rodzajem tyрана. Przysłowie o kurze i grzędzie bardzo się tu dobrze daje zasto sować.

Scena skończyła się wreszcie danymi mi wspaniałomyślnie dwudziestoma rublami, z których pięć miało być "na święta". Postanowiłam za te pięć rubli kupić wina, bakalii i strucli dla Magdaleny, a samej udać ból zębów i leżeć całe święta. Na wigil ię pójdę do moich rodziców, ale podczas świąt nie pokażę się nikomu. Spaliłabym się ze wstydu, gdyby ktoś zobaczył, co się u nas dzieje. Zacznę chyba uczyć się malować na porcelanie, albo będę tłumaczyć" z francuskiego" jakąś powieść.

3 stycznia

Wreszcie minęły te utrapione święta. Mama znów zastawiła swoje kolczyki i fermoar, ale na wigilię było dwanaście dań, a bakalie stały całymi workami dokoła kredensu. Mój mąż był rozpromieniony, wesoły i bardzo szykowny. Ubrany w smoking, z białymi goździkami w butonierce, wyglądał jak księżę. Wszyscy go podziwiali, a ja porównywałam go w myśli do tego mojego Juliana, który chodzi po domu w zasmolonym starym szlafroku i tak wyraźnie zdradza zręczące usposobienie. Ja ubrałam się bardzo skromnie, bo od pewnego czasu ogarniała mnie apatia i wyglądałam jak służąca mego męża. Zresztą mną nikt się nie zajmowałwszystko pociągnął ku sobie mój mąż, który wyjątkowo tego dnia był dowcipny i miły.

Przechodząc mimo drzwi gabinetu, podsłuchałam niechcący, że na Nowy Rok ojciec ma wy płacić resztę mojej posagowej sumy.

Ojciec prosił o prolongatę i usprawiedliwiał się, że interesy na wsi źle idą, lecz mój mąż powtarzał ciągle:

- Nie mogę! ... nie mogę! ... szalone wydatki... tyle pieniędzy... nastarczyć nie mogę!

Mój Boże! Co tu robić, żeby mniej wydawać pieniędzy i żeby Magdalena mnie tak nie okra dała! Bo że ona mnie okrada, mogę przysiąc.

Ale cóż! ... boję się jej nawet o tym powiedzieć.

5 stycznia

Teraz już wiem, dlaczego płakałam wtedy, gdy Iza pozostawiła chryzantemy na biurku mego męża.

Przyzwyczaiałam się powoli uważać Juliana za swoją własność. I to jest istota małżeństwa.

Ale to nie jest własność serdeczna, wcale nie. To jest tak, jakby mi ktoś aktem jakimś prawnym darował coś na całe życie. On mówił ciągle dużo o prawach męża. Ja nic nie mówię, ale czuję, że prawa żony nagle zbudziły się we mnie w chwili odejścia od ołtarza. Myślę zawsze i mówię "mój mąż"- a nie po prostu "mąż".

A to jest różnica.

A może mi się tak tylko zdaje - bo są znów chwile, w których Julian wydaje mi się zupełnie obcym człowiekiem. I to dziwne, że te myśli

wtedy głównie nasuwają mi się przed umysł, skoro faktem brutalnym ja i mój mąż jesteśmy najwięcej do siebie zbliżeni. Jestem cała zlodowaciała w jego objęciach i porywa mnie jakaś rozpacz, tęsknota, wstyd, że nie mam dość odwagi, aby zaprotestować przeciw podobnemu znęcaniu się, które mi nic, prócz niesmaku, nie przynosi. Jeżeli kiedykolwiek, to wtedy czuję się niewolnicą i w mojej biednej, głupiej głowie rodzi się bunt przeciw

podobnemu porządkowi rzeczy. A jednak mimo to uważam Juliana za moją własność - m i m o to... A może właśnie dlatego! ...

6 lutego

Nie pisałam nic cały miesiąc. Miałam dużo przez ten czas kłopotów. Przede wszystkim zdołałam odnaleźć w Kurierze rubrykę, w której podają ceny artykułów spożywczych. Przyszło mi to z trudnością, gdyż zwykle jest wymieniona cena "gryki", "pszenicy" itd. Ale szukając mozolnie i cierpliwie, dowiedziałam się wreszcie, ile kosztuje polędwica, baranina, masło solone i owa nieszczęsna śmietana. Natychmiast przy rachunku sprawdziłam, że Magdalena okradła mnie tego dnia na blisko dwadzieścia osiem kopiejek. Po sprawdzeniu jednak należało jej tę kradzież przed oczy przedstawić. To było cokolwiek trudne, bo przyznaję, że mnie Magdalena trochę krótko trzyma. Ponieważ wiem, że za obrazę honoru (zdaje mi się, że i zarzut złodziejstwa liczy się do obrazy honoru, choć nie jestem pewna) siedzi się w kozie, skoro obrażony może przedstawić świadków swej zniewagi - więc poszłam do kuchni i tam powiedziałam Magdalenie w najdelikatniejszej formie, że dalej oszukiwać się nie pozwolę. Z początku, widocznie ze zdziwienia, Magdalena do siebie przyjść nie mogła, potem zaczęła nagle lamentować tak głośno, że uciekłam z kuchni przerażona i zła na siebie, że tę scenę wywołałam.

Płacz jej i skargi rozlegały się po pokojach, aż nareszcie, Magdalena, otworzywszy drzwi, ze szlochaniem oznajmiła mi, że za służbę dziękuje. Drugą przeprawę miałam z Julianem, który, dowiedziawszy się o odejściu Magdaleny, całą winę zwałił na mnie, dowodząc, że u mnie i przeze mnie żadna sługa nie wytrzyma.

- Tak jak u twojej matki! - dodawał zirytowany opóźnieniem wypłaty posagu. W kilka dni później miałam już inną służącą - Annę - dziwną

jakaś istotę. Jest to śniada brunetka, tak śniada, że prawie czarna, z olbrzymimi oczami, świecącymi w ciemności, i z czarnymi włosami dziwnie przyczesanymi na skroniach. Mówi powoli i chodzi jak kot. Jest bardzo leniwa i zauważyłam ze zdziwieniem, że wcale mnie nie okrada. Gotuje bardzo źle, gorzej nie można. Kupiłam książkę Ćwierciakiewiczowej i o ile możliwości, dopomagam jej. W sekrecie przed Julianem oddaję często bieliznę do pralni, bo Anna nigdy nie zdążyłaby wykończyć na czas wszystkiej roboty. Pieniądze po prostu płyną mi z rąk. Byłam wczoraj u mamy, chcąc się jej poradzić, co zrobić aby mniej wydawać, ale natrafiłam na scenę pomiędzy ojcem i mamą.

Moja młodsza siostra, Locią, już dorasta, a że, pomimo ośmioletniej nauki, źle gra na fortepianie, więc mama chce koniecznie, aby Locią umiała choć "coś zaśpiewać!".

- Ależ ona nie ma wcale głosu - protestuje ojciec.

- Głosu wiele nie trzeba na takie śpiewanie - odpowiada matka - przecież to nie na gruntowną naukę, ale tylko na tymczasem, dokąd za męża nie pójdzie.

- Szkoda pieniędzy - dorzuca ojciec.

- Naturalnie! - woła mama - tobie na wykształcenie dla dzieci szkoda, ale na Stępkowskiego znaleźć się musi. Gdybym nie walczyła do ostatka, to i Nacia (to jest ja)nie umiałaby grać na fortepianie.

Ja siedzę na boku i nie odzywam się wcale, ale myślę sobie, że ta nauka "na fortepianie" na nic mi się nie przydała, a kosztowała dużo czasu i pieniędzy.

Teraz nie otwieram fortepianu, chyba czasem o szarej godzinie, kiedy jestem sama, bo Julian nie lubi mego sposobu grania. Mówi, że nie mam pojęcia o muzyce i ma rację, bo gram gorzej niż miernie. Sama to czuję. Słuchając jak mama "walczyła" o lekcje śpiewu Loci, przypomniałam sobie te długie moje godziny strawione nad fortepianem. Po co? Na co? Ażeby wybęnić na rodzinnym zebraniu jakiś salonowy "Stück" albo fantazję z "Hugonotów?"

O! - te długie, długie godziny nad klawiaturą fortepianową, te gamy, te pasáže, te tryle i to ciągle przysyłanie sąsiadów!

- Pani prosi, żeby u państwa grać przestali, bo mojej pani uszy "spuchli".

Mnie palce puchły i plecy bolały, ale grać musiałam. Teraz Locia zacznie śpiewać i znów sąsiadom będą "uszy puchli".

Wyszłam od moich rodziców, nie doczekawszy się końca sprzeczki.

Zresztą mama nic nowego go nie powie. Wszakże i ona zawsze wojny toczy z ojcem o pieniądze.

Na ulicy ściemniało się już prawie i powoli błyskały tu i ówdzie światła w sklepach. Rodzice moi mieszkają na ulicy Królewskiej. Szłam więc powoli Mazowiecką, w stronę domu.

Ten mój dom nie przedstawiał mi się bynajmniej jak dom ciepły i cichy.

Pomimo, że w pokojach było ciepło, jakiś chłód i pustka wiały

przerażliwie ze wszystkich kątów. Czulałam to na odległość. Nie

spieszyłam się więc wcale. Wiedziałam, że Julian jest w domu i że siedzi

w swoim gabinecie. Nie ciągnęło mnie, ażeby go jak najspieszniej

zobaczyć. Wiedziałam, w jaki sposób mnie przywita, i jak odwróci głowę,

i jak powie:

- A to ty? Dlaczego nie siedzisz w domu?

Na ulicy Mazowieckiej przystanąłam przy oknie, gdzie były wystawione kwiaty. Niektóre były prześliczne, dziwnego kształtu i barwy. Patrzyłam na nie długo, zachwycona delikatnością deseni i pięknnością liliowego koloru.

Na dole okna cały klomb paproci ślicznych, jak koronki

przejrzystych, a przed paprociami lilijka zapalonych płomyków

gazowych. Nigdy mnie tak nie ciągnęły ku sobie kwiaty jak w tej chwili.

Na ulicy było cicho, spokojnie - z

daleka dzwoniły jakieś sanki. Patrzyłam wciąż na kwiaty i nagle

przypomniała mi się Iza - potem pan Adam, wieś, lipa, owe kwiaty, co jak

białe motyle leciały na mnie. Zapomniałam o kuchni, o Annie, o spalonej

leguminie, o lekcjach śpiewu Loci, o moim mężu... o wszystkim.

Pragnęłam tylko czegoś pięknego, innego niż to, co mnie dręczyło jak zmora przez tyle miesięcy.

I nagle uczułam, że ktoś bardzo delikatnie przysuwa się do mnie.

Mimo woli podniosłam głowę i spojrzałam. Był to młody, bardzo

przystojny mężczyzna, blondyn, wysoki, dosyć elegancko ubrany.

Pochylił się ku mnie i zamruczał:

- Cóż to? Przyglądamy się kwiatom?

Serce we mnie zatrzepotało jak ptak spłoszony, porwałam się i zaczęłam iść szybko ulicą.

Mężczyzna biegł za mną.

- Dokąd? - zawołał - dokąd? Z lekcji, czy na lekcję?

Wziął mnie widocznie za pensjonarkę, bo rzeczywiście miałam na sobie mój paniński zakieciak z angorowym kołnierzykiem, w którym wyglądałam jak smarkata. Śnieg pruszył, gdy wycho dziłam, i nie chciałam niszczyć rotundy.

Nie odpowiedziałam ani słowa, tylko biegłam jeszcze prędzej. On zrównał się ze mną i śmiejąc się, dotrzymywał mi kroku. Śnieg skrzypiał pod moimi bucikami. Na ulicach była cisza zupełna. Biegając szybko na plac Dzieciątka Jezus, pośliznęłam się. On porwał mnie za rękaw żakietu.

- Ze złości zwichnię pani jeszcze nóżkę! - zawołał.

Wyrwałam mu rękę i mimo woli rzuciłam mu gniewne spojrzenie.

- Co za piękne oczy! - zawołał, zatrzymując się na chwilę.

Na placu przed pocztą stały dwie dorożki. Wskoczyłam w jedną, on wskoczył w drugą i pojechaliśmy tak jedno za drugim, a ja drżałam cała i policzki mi płonęły. Słyszałam, będąc panną, że w Warszawie mężczyźni zaczepiają na ulicy kobiety, ale nie miałam pojęcia, jak się

to robi. Bałam się, ażeby Julian nie spotkał mnie zajeżdżającą przed dom w asyście tego pana, to znów chciałam ukarać tego zuchwalca interwencją mojego męża. Rozmyślałam, czy nie lepiej powiedzieć mu coś przykrego, wysiadając z dorożki, lecz nie wiedziałam, co się w takich wypadkach odpowiada. Zajechaliśmy przed dom, lecz jego dorożka zatrzymała się opodal i on z niej wcale nie wyszedł, co mnie trochę zmieszało.

Zapłaciłam dorożkarzowi, wpadłam do bramy i wbiegłam na schody.

W domu Julian siedział po ciemku na sofie w swoim pokoju i palił papierosa. Weszłam szybko i natychmiast zaczęłam mu opowiadać co mi się zdarzyło. Sądziłam, że się porwie oburzony i zbiegnie do bramy, gdzie ów nieznajomy wypytywał prawdopodobnie stróża o moje nazwisko. Lecz Julian ziewnął, przeciągnął się i odrzekł nadąsanym głosem:

- Dobrze ci tak, nie włócz się sama po ulicy.

- Cóż mam więc robić - pomyślałam, siedzieć w domu i czekać aż mój pan mąż raz na miesiąc raczy wyprowadzić mnie, jak psa, na sznurku?

Poszłam do sypialnego pokoju, zapaliłam lampę i siedziałam długi czas, rozmyślając nad całą tą przygodą.

A w lustrze dostrzegłam, iż rzeczywiście mam bardzo duże i nawet ładne oczy.

7 lutego

Stał się fakt nadzwyczajny, który mnie dumą i trwogą przejmuję.

Oto Anna dziś rano, gdy Julian wyszedł do biura, przyniosła mi jakiś dość duży pakiet, opięty w bibułę.

- Stróż przyniósł! - powiedziała.

- Od kogo?

- Nie wiem, nie mówił.

Rozwinęłam.

Były to prześliczne lila kwiaty. Te same kwiaty, które w wystawie sklepowej na ulicy Mazowieckiej przykuwały mój wzrok, otoczone masą paproci. Ach! Takie ładne, takie bardzo śliczne! Związane były liliową wstążką (czysto jedwabną) i otoczone cienkimi, delikatnymi, zielonymi gałązkami. Poznałam je od razu. Do wstążki przypięta była kartka: "Z prośbą o przebaczenie".

Nic więcej!

Chciałam kwiaty oddać, ale komu? Stróż powiedział, że mu wręczył posłaniec, kazał odnieść pod

mój adres i poszedł. Kwiaty zostały... Stoją na toaletce. Odbijają się w lustrze, jak w tafli wodnej. Są świeże, młode, jasne i takie wesołe!

Ten pan - wczoraj przestraszył mnie bardzo, ale dziś... doprawdy te kwiaty mnie rozbroiły.

Tylko... co Julian na to powie!

11 lutego

Nie powiedział nic. Przyszedł późno, zjadł obiad, gniewał się, że znowu były zrazy, których on nie lubi, przespał się i poszedł. To dziwne - ja, gdybym była na jego miejscu, nie mogłabym przejść koło tych kwiatów i nie zawołać: Co to za śliczne kwiaty!

14 lutego

Anna dziwnie mnie niepokoi. Jest strasznie leniwa. Widzę, że pali papierosy, wczoraj na oknie znalazłam nawet małą fajkę. Oczy jej i zęby wydają mi się coraz straszniejsze. Chwilami, kiedy błysnie nimi w cieniu, aż mnie mróz przechodzi. Pociesza mnie to jedno, że jest bardzo nabożna i ciągle się modli. Może też będzie dobra i utrzyma się dłużej.

Wczoraj rano nagle zadzwoniono energicznie i weszła panna Iza.

Zdziwiłam się bardzo, widząc ją wchodzącą. Ona miała także minę trochę zmieszana, ale powoli odzyskała panowanie nad sobą. Usiadła i zaczęła opowiadać o celu swego przybycia. Karnawał w tym roku - mówiła - jest mało ożywiony, nudzimy się, prywatnych zebrań jest bardzo mało, a więc te panie postanowiły pójść na bal publiczny do ratusza. Iza przychodzi mi zaproponować, czy razem nie wybierzemy się z nimi.

Gdy nas będzie więcej, będzie nam weselej - mówiła - nie patrząc mi w oczy, tylko śledząc uparcie koniec swego bucika.

Przypomniałam sobie natychmiast słowa Juliana:

"Z tymi kobietami żyć można, lecz pokazywać się publicznie nie wypada".

Miałam więc stanowczo odmówić, gdy nagle wszedł Julian.

Miał na szyi jeszcze biały fular, który zwykle nosił w zimie pod futrem.

Zatrzymał się na progu, patrzył jakby zdziwiony i przestraszył się, widząc mnie sam na sam z Izą. Lecz ona podała mu rękę i natychmiast wyjaśniła cel swego przybycia.

Lecz dziwna rzecz! Zdawało mi się, że mówiąc do mego męża, głos jej jakby nabierał jakiegoś innego, ostrzejszego dźwięku. Gdy mówiła:

"byłoby dobrze, gdybyście się państwo z nami wybrali", mój mąż nie siadał, tylko stał na środku salonu i gryzł wargi.

Czekałam na jego odpowiedź. Byłam pewna, że odmówi, lecz on po chwili milczenia przystał. Czułam niechęć w jego głosie, a mimo to przystał. Iza natychmiast zaczęła mówić o swej toalecie, o kolorze sukni, z wielką swobodą bywającej często w świecie kobiety. Ja czułam się zdziwiona i przerażona tą myślą, że mam wkrótce znajdować się na balu publicznym. Gdy Iza wyszła, pozostawiając w pokoju odurzający zapach fiołkowych perfum, znajdowałam się ciągle pod wrażeniem zdziwienia i nieprzyjemnej trwogi. Nie byłam nigdy na balu publicznym. Ale mój mąż przybrał swoją despotyczną minę i imponował nią tak, że widziałam, iż

wszelka opozycja jest tym razem daremna. Poszłam więc do swego pokoju i zaczęłam przed lustrem oglądać swoją szyję, biust i ramiona. Jestem przerażająco chuda. Mam fatalne "solniczki", a ręce długie i cienkie.

Co to będzie! Co to będzie! Do czego ja będę podobna w dekolowanej sukni!

15 lutego

W portmonetce mam zaledwie parę rubli. Anna wydaje jeszcze więcej niż Magdalena. Nie wiem, co zrobić. Może coś zastawię, bo Julianowi nie powiem ani słowa o moich pieniężnych kłopotach. Wszystkie sprzeczki z moim mężem są dla mnie wstrętne, a najwięcej kłótnie o pieniądze. Czuję się wtedy zawstydzona. Nie wiem sama, dlaczego taka kłótnia tak mnie bardzo przygniata i upokarza. Zdaje mi się wtedy, że dziwne jest podobne położenie kobiety.

Wiecznie musi oglądać się na łaskę męża i sama nawet nie ma prawa rozporządzać swymi własnymi pieniędzmi i obracać ich na swój własny użytek. Tylko znów z drugiej strony biorąc te rzeczy, jestem przekonana, że gdybym miała moje pieniądze w rękę, wydałabym je natychmiast bez rachunku i oglądania się na przyszłość. O ile sobie przypominam usposobienie mojej matki i innych znajomych mi pań i panienek, każda zrobiłaby to samo.

Skąd to pochodzi?

Ha, trudno, widzę, że będę musiała zastawić cokolwiek. Tylko jakże tu wynieść z domu srebro? Mama mogła to łatwiej robić, bo srebra było dużo i ojciec nie mógł się zaraz spostrzec, ale u nas jest zaledwie srebra na dwanaście osób, więc Julian może domyślić się wszystkiego od razu. Chyba zastawię zegarek, albo co.

16 lutego

Nie zastawiłam zegarka, bo mi było wstyd chodzić do lombardu, ale go sprzedałam. Zdaje mi się, że mnie ten Żyd jubiler okropnie okradł, bo mi dał po długich targach osiemnaście rubli.

Powiem Julianowi, że zegarek zgubiłam.

17 lutego

Julian dał mi "na bal" dwadzieścia rubli. Nie wiem, czy to będzie dużo, czy mało na robotę sukni. Mam w sztuce trzydzieści łokci jasnozielonej materii. Mama zawsze mnie ubierała wg swego gustu, więc teraz jestem w kłopotcie i nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Chciałabym ubrać tę suknię kwiatami. Ach! Gdyby można było dostać takie li la kwiaty, jak te, przysłane przez tego pana, który mnie zaczepił!

Już zwiędły. Oberwałam kilka listków i chciałam je schować do tej szkatuleczki, w której mam pamiątki po panu Adamie. Lecz nie wiem dlaczego, skoro zobaczyłam, że te kwiaty zmieszały się z tamtymi drobiazgami, porwał mnie żal i gniew szalony. Wyjęłam więc szybko owe liliowe nadwiędłe listki i znalazłszy małe pudełeczko od cukierków, wrzuciłam je tam na dno. I schowawszy oba pudełeczka do komody, pomyślałam sobie, że życie ma w sobie mnóstwo dziwacznych niespodzianek, i że ja mam teraz dwa wspomnienia, obydwie dziwne i nierównie mi drogie.

Te pamiątki po panu Adamie wprowadzają mnie w stan smutku, ale takiego, od którego serce nie boli gwałtownie, tylko jakby cicho płakało. A te liliowe kwiatki dziwnie mnie niepokoją...

Zaraz mi się przypomina ulica Mazowiecka, ciemnica jakaś szara i niewyraźna, a potem ten szept tego pana, którego nie znam, i potem światełka jego dorożki, goniącej za mną prędko... prędko...

18 lutego

Iza była u mnie dzisiaj podczas nieobecności Juliana. Nie wydała mi się tak ładna, jak zwykle. Mówiła, że dużo tańczy i pytała mnie, dlaczego ja nie bywam nigdzie w tym karnawale? Odpowiedziałam jej, że skoro już wyszłam za mąż, to chodzenie na bale jest chyba dla mnie niepożądane. Zaczęła się śmiać przeciągle i odpowiedziała mi:

- Ja dopiero gdy wyjdę za mąż, zacznę się bawić na dobre!

Potem poszła do pokoju Juliana i stanęła znów przy jego biurku, wzięła ołówek i nakreśliła na arkuszu papieru masę gzygzaków. Stojąc z daleka, nie mogłam zobaczyć, co ona pisze - usiłowałam jednak odcyfrować te znaki, nie wydając się zanadto ciekawą.

Nagle Iza rzuciła ołówki i zapytała mnie na wpół ironicznie i na wpół gniewnie:

- Mąż panią bardzo kocha?

Jakkolwiek jestem bardzo młoda i niedoświadczona, uczułam, że Iza daje w tej chwili wielki dowód braku taktu.

Odpowiedziałam jednak, siląc się na spokój: Bardzo!

Iza zagryzła usta i podniósłszy trochę głowę, patrzyła na mnie spod rzęs przymkniętych.

- Naprawdę? - spytała.

- Jakże inaczej mogłoby być - odparłam jej, silnie rozdrażniona.

- O! ... - wyrzekła, cedząc powoli słówka - mogłoby być inaczej... zresztą na świecie zwykle tak bywa...

Urwała, lecz teraz ja nie miałam ochoty ustąpić i pozwolić jej zamilczeć.

- Bywa co? Bywa co? ...

Lecz ona milczała i obrzuciła mnie tak zimnym i pogardliwym spojrzeniem, że słowa i odwaga zamarły w mej piersi. Czułam, że ta kobieta ma do mnie jakiś żal i że mnie nienawidzi, ale za co? Za co? Gdy odeszła, poszłam czym prędzej zobaczyć, co napisała na owym arkuszu papieru. Owe nieforemne gzygzaki, poplątane dość sztucznie, tworzyły jedno tylko jej imię własne - powtarzane na tysiąc sposobów: Iza.

Chciałam podrzeć ten papier i wyrzucić go precz z biurka mego męża, lecz coś mnie wstrzymało od tego kroku.

Zostawiłam jej pismo, tak jak zostawiłam wtedy jej kwiaty, lecz nie powiedziałam Julianowi ani słowa o jej bytności w naszym domu. Lecz nazajutrz rano, gdy Julian wyszedł, pobiegłam zobaczyć co się stało z owym arkuszem papieru. Nie było go na biurku, lecz dokoła na ziemi nie znalazłam także strzępków.

Widocznie Julian schował do szufladki ten arkusz papieru, zapisany ręką Izy.

Ogarnęła mnie chwilowo złość i to samo uczucie pogwałcenia praw własności, jakie odczułam przy pozostawieniu kwiatów przez pannę Troicką na biurku mego męża.

Lecz zaraz przypomniałam sobie pudełeczko, schowane głęboko pod bielizną w komodzie, a w nim na dnie kilka zeschniętych liliowych płatków kwiatowych. I zrozumiałam, że jakkolwiek mamy stanowić z mężem moim jedno, jesteśmy ciągle i zawsze dwojgiem zupełnie odrębnych istot. A przecież ja spodziewałam się w małżeństwie zupełnie czego innego.

19 lutego

Zrobiłam nadzwyczajne odkrycie.

Anna jest... Turczynką! ...

Jestem tak wzburzona, że pisać więcej nie mogę.

20 lutego.

Uspokołam się dziś trochę i mogę uporządkować moje wrażenia. Wczoraj wieczorem byłam sama, jak zwykle. Siedziałam pod piecem i nudziłam się. Myślałam o tym, co się dzieje z nami po śmierci, czy to nie boli, jak nas robaki jedzą - o balu - o przypalonej na obiad szarlotce. Nagle wchodzi Anna i zbliża się do mnie, śmiejąc się w dziwaczny sposób. Ciemno było w pokoju, a zęby jej przecież błyszczały, jak rząd zapalonych lampek. W ręce trzymała garść kamyków różnokolorowych, łańcuszków brązowych, pierścionków. Wszystko to wysypała mi na kolana, mówiąc:

- Pani się może nudzi, to niech się pani zabawi. . . Ja machinalnie usunęłam ręce, ale ona usia dła przy mnie na ziemi, zaczęła się kołysać na piętach i mówić monotonnym głosem:

- Niech się pani nie boi... ja te głupstwa ukradłam tylko mojemu ojcu, wtedy, gdy mnie pani moja zawiozła na powrót do Turcji, żebym się zobaczyła z rodzicami.

- Jak to, do Turcji?

- A no tak... Jestem Turczynką. Pani Radolińska, jak była ze swoim mężem w Turcji, to mnie kupiła u moich rodziców, ochrzciła i u siebie chowała. Potem, gdy miałam szesnaście lat, zawiozła mnie do ojca i wtedy ja ojcu pokradłam te kamyki. Później pani Radolińska umarła, a ja poszłam do służby. Ale kamyki zabrałam ze sobą i dużo już rozdałam maglarkom i po sklepikach. Jak pani się coś podoba, to niech pani sobie weźmie. Mnie to niepotrzebne.

Oddałam jej biżuterię i jestem teraz w okropnym kłopotcie. Przecież nie mogę trzymać u siebie złodzieja, a zwłaszcza Turczynki. Muszę ją oddać koniecznie.

21 lutego

Przyniesiono mi moją suknię balową. Wieczorem pozapalałam wszystkie świece i ubrałam się w nią. Jestem zrozpaczona. Wyglądam szkaradnie. Ramiona moje są straszne, a ręce porośnięte ciemnymi włosami. Chciałam je opalić, ale sparzyłam się dotkliwie. Na szczęście uratują mnie rękawiczki. Krawcowa obdarła mnie okropnie. Za dodatki policzyła kilkanaście rubli. Będę musiała znów coś sprzedać. Zresztą u nas w domu zawsze przed balami coś zastawiano w sekrecie przed ojcem.

Mama była u mnie wczoraj, ale, rzecz dziwna, jak moje małżeństwo oddaliło mnie od rodziców. Jesteśmy teraz ciągle na stopie ceremonialnej i skła-

damy sobie wizyty jak obcy ludzie. Nie chciałabym, ażeby mama dostrzegła, że mam pieniężne kłopoty. Udaję więc, że mi nic nie brakuje, a nawet mam więcej niż mi potrzeba. Siostróm także za nic w świecie nie przyznałabym się do jakiegokolwiek braku. Może jest to duma, może głupota, ale to jest silniejsze ode mnie i inaczej być nie może.

Powiedziałam mamie, że idę na bal z paniami Troickimi, mama zdawała się być tym zdziwiona i zaniepokojona. Próbowwała nawet wpłynąć na mnie, ażebym wymówiła się od towarzystwa tych pań.

Odpowiedziałam, że to niemożliwe, gdyż taka jest wola Juliana. Zdawało mi się przez chwilę, że mama chciała mi coś ważnego powiedzieć, ale namyśliła się i zaniechała swego zamiaru.

Gdy Julian przyszedł, mama wstała i pożegnała się. Widocznie mój mąż i moja matka nie lubią się i nie mają do siebie zaufania. Podobno zwykle tak się dzieje.

Dlaczego u nas miałyby być inaczej?

25 lutego

Po balu.

Czy zdołam opisać to wszystko, co przeżyłam przez tę jedną krótką noc, a dla mnie jak wieczność nieskończoną?

Więc przede wszystkim wyjazd nasz z domu w wynajętej karecie i zbyt wielkich berlaczach, które mi przeszkadzały zejść ze schodów. Anna niosła za mną tren sukni, a na dole i w bramie zebrały się wszystkie sługi z

całej kamienicy i kilku szewskich chłopaków. Za nami szedł Julian, zły i nachmurzony. Od rana tego dnia robił mi sceny i awanturował się z Anną. Wreszcie pojechaliśmy po panie Troickie, które już ubrane i okryte futrami, oczekiwały nas ze źle tajoną niecierpliwością. Byłam szczęśliwa, że uniknęłam badawczego wzroku Izy.

Choć zasłoniłam "solniczki" dwiema kokardami z gazy, wiedziałam, że wyglądam źle i robię nędzne wrażenie. Przybywszy do ratusza, już wchodząc do sali, straciłam po prostu przytomność. Tyle świateł, tyle dam, a zwłaszcza tylu mężczyzn, tak dziwnie na nas patrzących. Nasuwałam, ile mogłam, na siebie swoje "sortie de bal", choć wszystkie panie zdejmowały z siebie narzutki przy wejściu do sali. Siedliśmy w kącie pod oknem, z którego wiało. Spojrzałam na Izę i doznałam oburzenia. Była bardzo piękna i biała. Ma cudowny biust, szyję i ręce. Białość jej była widocznie sztuczna, bo z bliska ciało jej wyglądało jak polakierowane. Była ubrana w bladożółtą gazową suknię, przetykaną srebrem. Rękawy spadały jej z ramion i tylko dwa srebrne

galony przytrzymały ją z obydwóch stron. Widocznie Iza wie, że jest bardzo piękna w dekolowanej sukni; bo nigdy nie widziałam jej tak ożywionej i rozpromienionej, jak w tej chwili. Rozmawiała po cichu z moim mężem, który ciągle był zły i zachmurzony.

Muzyka grała walca i tańczono, ale ścisk był straszny i przeważnie panie siedziały, rozmawiając i śmiejąc się za wachlarzami. Niektóre były bardzo gustownie i kosztownie ubrane, ale nie można było rozróżnić panien od mężatek, tak wszystkie były popudrowane i postrojone.

Zaraz zaczęto Izie przedstawiać tancerzy. Mnie nie przedstawiono prawie nikogo. Byłam tym upokorzona, ale zarazem i trochę rada. Wiedziałam, że gdy mnie poproszą do tańca, będę musiała zdjąć swoje okrycie i wtedy moje biedne "solniczki" zabłyszczą w całej pełni. Nie było chyba równie chudej kobiety na całym balu, równie źle ubranej i źle uczesanej.

Pragnęłam pozostać tak w kącie poza plecami pani Troickiej cały wieczór. Jej ciemnoczerwona aksamitna suknia była moim parawanem, odgraniczającym mnie od bawiącego się i wspaniałego świata. Bałam się, ażeby Julian nie przypomniał sobie o mnie i nie wyciągnął mnie z mego kąta, ale on siedział ciągle obok Izy i trzymał jej wachlarz i karnecik, kiedy ona tańczyła.

Wyglądał zupełnie jak jej mąż i po raz pierwszy pomyślałam, że Iza jest o wiele stosowniejsza na żonę dla Juliana ode mnie.

Przypatrywałam się panom, którzy przedstawiali się Izie i prosili ją do tańca. Wszyscy byli bardzo szykowni i do twarzy im było w białych krawatach. Niektórzy wyglądali jak lokaje z dobrego domu, a niektórzy jak aktorzy, grający hrabiów i baronów. Wszyscy się wdzięczyli i wystawiali naprzód nogi, ażeby pokazać nowe lakierki. Kilku było ubranych w czarne jedwabne pończochy i ci stawiali nogi tak jak baletniczki. W ogóle mężczyźni na balu więcej kokietują kobiety niż kobiety mężczyzn, choć i kobietom nie brak kokieterii. Siedzieć tak na boku i patrzeć na to wszystko spokojnie i z zimną krwią, to cała sala balowa wygląda jakby cyrk, w którym grają pantomimę. W tej pantomimie wszyscy się oszukują, zwodzą i okłamują wzajemnie.

Najwięcej było mi wstyd za panny na wydaniu, bo niedawno jeszcze do nich należałam i wiem, co warte są wszystkie te powłóczyście spojrzenia i uśmiechy. Iza jednak śmieje się i patrzy inaczej niż inne panny na wydaniu. Ona prędzej kokietuje mężczyzn tak, jak to czynią mężatki. Wyraźnie widziałam, że kokietowała mego męża, który był w coraz gorszym humorze. Ile razy Iza powracała na swoje miejsce po skończonym turze, on nachylał się ku niej i mówił coś do niej z gniewem.

Ona wzruszała ramionami i śmiejąc się, szła znów tańczyć, rzucając mu na odejście długie, zimne spojrzenie.

Ja zasuwalam się coraz głębiej w mój kącik, a że zarzutka moja jest biała, więc na tle białej framugi niknęłam zupełnie. Pani Troicka rozmawiała ciągle z tancerzami, którzy oczekiwali na Izę. Słuchałam jej bezmyślnej paplaniny. Ze wszystkimi mówiła o tym samym. Podziwiam jej cierpliwość i niewyczerpaną uprzejmość. Zdawała się być doskonale nakreconą katarynką.

Tylko pióro ciemnoczerwone, zatknięte tryumfalnie w jej włosach, chwiało się czasem, jakby ze znużenia. Nagle mój mąż podniósł się i stanął przed Izą tak, jakby ją prosił do tańca. Ona odmówiła widocznie. Oboje krótką chwilę wiedli z sobą jakąś sprzeczkę cichą, ale gwałtowną. Po czym Iza szybkim ruchem zerwała się z miejsca i zbliżyła do jakiejś znajomej przechodzącej panny. Mój mąż pozostał sam i śledził ją przez

chwile. I nagle iść zaczął w stronę pani Troickiej. Przestraszyłam się, ażeby nie zobaczył mnie zasuniętej w kąt i okrytej sortie de balem. Skurczyłam się i starałam się zrobić jeszcze mniejsza. Mój mąż zajął próżne krzesło obok pani Troickiej i zaczął mówić monotonnym i nosowym głosem, który znałam niestety aż nadto dobrze, gdy używał go w chwilach wielkiego zdenerwowania:

- Pani powinna zakazać pannie Izie tańczyć tak bez opamiętania, to niezdrowo, a przy tym to kompromituje...

Pani Troicka patrzyła w milczeniu przed siebie i nie odpowiadała ani słowa.

- A przy tym - ciągnął mój mąż - jak się panna Iza ubrała... co to za stanik, czy któraś z tych pań jest tak ubrana? ...

Sądziłam, że pani Troicka oburzy się na podobny brak taktu ze strony Juliana, lecz ona była ciągle spokojna i grzecznie uśmiechnięta.

- Taka moda - wyrzekła wreszcie słodkim i uprzejmym głosem.

- To głupia moda! - odrzucił Julian z widoczną wściekłością.

Nagle zwrócił głowę w moją stronę i dostrzegł mnie. Popatrzył na mnie chwilę i zapytał półgłosem:

- Tańczyłaś?

Miałam ochotę skłamać, ale świadkiem tego kłamstwa byłaby pani Troicka, więc zdobyłam się na odwagę i odpowiedziałam:

- Nie! ...

- Dlaczego?

- Nie mam ochoty!

Tę odpowiedź podyktowała mi próżność kobieca. Nie chciałam powiedzieć memu mężowi, że nikt mnie do tańca nie prosił. Wzruszył ramionami i odparł:

- Więc po co było na ten bal przyjeżdżać?

To samo pytanie kręciło się po mej głowie już od dwóch godzin i pozostało bez odpowiedzi.

Lękałam się, że mój mąż "pryczepi się" teraz do mnie, ażeby spędzić na mnie swój zły humor, ale Julian powstał i odwróciwszy się nie dość grzecznie od pani Troickiej, zginął w tłumie czarnych fraków. W tej samej chwili znów ktoś zajął opróżnione przez odejście mego męża krzesło. Jakiś młody człowiek, pachnący jak saszetka, witał się bardzo przyjaźnie z

panią Troicką. Widziałam tylko jego postać zwróconą ku mnie bokiem i tył głowy, po której wiły się ufryzowane blond włosy. Ten "pan" miał na sobie frak jasnoczerwony i czarne jedwabne pończochy. Wyróżniało go to od innych "fraków" i odcinało od karawaniarskiej gromady. Mówił za panią Troicką swobodnie i wesoło, ona ożywiła się i odpowiadała mu chętnie. Widocznie znali się dobrze i dawno. Dźwięk jego głosu uderzył mnie. Był mi stanowczo znany. Gdzie? Kiedy? Nagle nieznajomy odwrócił głowę i spojrzał prosto w twarz moją. Poznałam go od razu. Był to ten sam młody człowiek, który zaczepił mnie na ulicy Mazowieckiej i później przysłał mi liliowe kwiaty. Przypomniałam sobie małe pudełeczko, schowane przeze mnie pod stosem bielizny.

Zdawało mi się, że ten mężczyzna, taki woniejący, ufryzowany i pewny siebie w swym czerwonym fraku, zna moją tajemnicę i szydzi z niej w głębi duszy. I on poznał mnie od razu, bo patrzył na mnie uporczywie, tak uporczywie, że aż oczy pani Troickiej zwróciły się na nas oboje.

Uprzejma ta pani zapragnęła być jeszcze uprzejmiejszą, osłodzić mi nudy i wciągnąć mnie do ogólnej rozmowy.

- Masz pani rację! - wyrzekła, zwracając się ku mnie - po co było na bal przyjeżdżać, jeśli miała pani zamiar schować się do kącika i nie bawić wcale. Przedstawię pani jednego z najlepszych tancerzy. Pan Molicki nakłoni panią z pewnością do opuszczenia tej kryjówki.

Zanim pani Troicka skończyła swą przemowę, już czerwony frak stał przede mną, a jedna noga pana Molickiego, wdzięcznie naprzód wyciągnięta, błyszczała gwiazdą lakierka.

I ja powstałam jak zahipnotyzowana. Wolałam pójść tańczyć, niż przemówić jedno słowo.

W gardle mi zaschło, a w głowie zaczęło mi się kręcić. Polecając moją duszę Bogu, zsunęłam z ramion okrycie i uczepiłam się ramienia mego tancerza. Zaczęliśmy tańczyć, to jest właściwie zaczęto nas poszturchiwać i my zaczęliśmy ludzi popychać wzajemnie. Wyrwano mi fałdę u sukni, a ja jakiejś pani bransoletką wydarłam kilka sztucznych loków. Wreszcie dobiliśmy do pani Troickiej i ja czym prędzej zasunęłam się w swój kącik. Okrycia mego na razie znaleźć nie mogłam, a pan Molicki, wzięwszy krzeselko, wsunął się za mnie w ową framugę okna. Byłam bardzo zmieszana i zaniepokojona. Co on mi powie? Czy może należałoby,

ażebym mu zaraz powiedziała, co myślę o jego postępowaniu poprzednim? Ale w takim razie, po co ja z nim tańczyłam? Teraz wszelkie wymówki i obrazy sensu nie mają.

Lecz on zaczął mówić ze mną o wszystkim: o balu, o orkiestrze, o toaletach dam, o Izie, o Warszawie - tylko ani jednym słowem nie dotknął naszego pierwszego spotkania. Byłam mu za to bardzo wdzięczna i chwilami nawet zaczęłam przypuszczać, że mnie nie poznał zupełnie. Tylko jego oczy, śledząc mnie w uporczywy sposób, mówiły przeciwnie. Był to widocznie jeden z tych "bywalców" warszawskich, których jest wszędzie pełno i którzy stanowią, według mnie, rodzaj typu, wyrosłego na naszym bruku. Znał wszystkich i wiedział jakąś historię o każdej z pań lub panien, przesuwających się po sali. Mówił dowcipnie, ale nie zabawnie. Był przystojny, ale nie był ładny. W kapeluszu wydał mi się piękniejszy. Kilkakrotnie próbował mi powiedzieć komplement i dziwiłam się, jak zrećcznie umiał korzystać z tego, co nie było najbrzydsze w mojej osobie. Łatwość jego obejścia pociągnęła mnie ku niemu.

Wprawdzie tą bezmyślną paplaniną i czerwonym frakiem rozbił iluzję, jaką miałam dla dawcy liliowych kwiatów, ale powoli ożywiłam się i byłam swobodniejsza w jego towarzystwie, niż przypuszczać mogłam. Tym bardziej przyszło mi to z łatwością, że odkryłam wreszcie na poręczy krzesła pani Troickiej moje okrycie i zaszyłam się w nie czym prędzej, jak żółw w skorupę. Okrywszy moje "solniczki", poczułam się pewniej. Molicki patrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Dlaczego pani się okrywa? - zapytał - czy pani jest zimno?

- Nie! - odpowiedziałam mimowolnie.

- A więc dlaczego?

Milczałam.

- Takie ma pani ładne linie ramion i szyi! - ciągnął, zarysowując jakąś linię w powietrzu - nie na leży tego, co ładne, zakrywać.

Byłam zdumiona i dziwnie pomieszana zarazem.

Moja szyja i ramiona ładne?

To szczególnie.

Nagle ujrzałam przed sobą Izę. Przywitała się z Molickim i uśmiechnęła się, patrząc na mnie.

- Ja do pani z prośbą! - zaczęła - obecnie pauza pomiędzy tańcami, może się przejdziemy po sali... proszę panią o to!

Powstałam szybko. Chciałam się oddalić od Molickiego. Ta pochwała mego ciała wywołała znów we mnie wspomnienie napaści na ulicy Mazowieckiej, pogoni dorożką...

Iza ujęła mnie za rękę.

- Pójdzie pani? - spytała.

Molicki powstał także. Patrzył na nas jakoś ironicznie i drwiąco.

- Panie żyją w przyjaźni? - zapytał, usuwając grzecznie przed nami krzeselka.

Iza zmierzyła go wzgardliwym spojrzeniem.

- Dlaczego nie miałybyśmy żyć w przyjaźni? - odparła.

Molicki zaczął się wachlować szapoklakiem.

- Dlaczego nie miałyby panie żyć w przyjaźni? - wyrzekł, śmiejąc się i wzruszając ramionami.

Iza pociągnęła mnie za sobą i ujęła pod rękę.

- Chodźmy! - wyrzekła głośno, a pochyliwszy się ku mnie, dodała prawie szeptem: - Znieść go nie mogę. Wyobraża sobie, że jest kimś, a to kandydat do posad sądowych.

Była rozgorączkowana i gryzła nerwowo wargi. Ja sama szłam jak oślepiąca, tak mnie ten gwar, to światło i ta masa osób uderzała. Teraz spacerowano po sali w różnych kierunkach i oglądano się wzajemnie. Pomimo mego zmieszania, zauważyłam, że niektóre osoby, widząc nas razem odwracały się za nami i przyglądały się ciekawie. Doleciały mnie nawet słowa jakiejś damy, zamienione z drugą damą:

- Jak to? Razem?

- To dziwne!

Iza szła powoli, jakby chwając się tym, że szła ze mną. Zatrzymywała się, rozmawiała, a raczej mówiła do mnie uprzejmie, opierała się na moim ramieniu z przyjacielską poufałością.

Ktoś, patrząc z daleka, mógłby przypuścić, że rzeczywiście żyjemy ze sobą w przyjaźni.

Lecz równocześnie ogarniał mnie jakiś wstyd, przyczyny którego nie rozumiałam i do tej chwili na próżno odgadnąć się staram.

Nie była to dwuznaczna opinia, jaką przeczuwałam o Izie, bo mimo całej masy przesądów, panujących w domu rodziców, potrafiłam sobie wyrobić zdanie o wartości opinii świata całego - lecz w głębi mej duszy działało się coś, co mnie napełniało dziwnym niepokojem i wstydem.

Nagle ręka Izy, wsunięta pod moje ramię, stała się jeszcze cięższa. Panna Troicka głośno śmiać się zaczęła i wyrzekła pogardliwie, wskazując mi pewną grupkę wachlarzem:

- Oto, według wielu, królowa dzisiejszego balu.

Spojrzałam we wskazanym kierunku i zobaczyłam mego męża, prowadzącego pod rękę bardzo piękną, słusznego wzrostu blondynkę, w płomienistej pomarańczowej sukni. Cała ta postać tęga, wyniosła, biała, różowa, owiana masą bijącej w oczy gazy, była niewątpliwie piękna i to zuchwale piękna. Ta pani jednak była za duża, za biała, za ładna, za dobrze zbudowana, miała włosy zanadto pokarbowane - słowem, wszystkiego było w niej za wiele. Szła pewna siebie, uśmiechnięta jak lalka i za każdym krokiem poruszała dziwacznie głową. Wszyscy przypatrywali się jej z podziwem i uwielbieniem. Mnie ona po prostu rozśmieszyła, bo wydała mi się podskakującą dużą pomarańczą.

Najzabawniejszy jednak był mój mąż. Nadęty, dumny, stapał jak indyk i spoglądał dokoła zwycięsko. Ogarnęła mnie nagle wesołość.

Przechodziłyśmy właśnie obok tej wspaniałej pary. Mój mąż spojrzał na mnie i na Izę tak, jakby nas zupełnie nie znał.

W tej samej chwili pomarańczowa dama pochyliła się ku niemu i kończąc jakiś rozpoczęty frazes, wyrzekła:

- Et puis je vous erois monsieur le comte.

I przeszli oboje dalej, obnosząc swoją wielkość, piękność i elegancję.

- Monsieur le comte?

Słyszałam wyraźnie i dobrze. Mój mąż hrabia! To wspaniałe. Musiał się kazać przedstawić owej "królowej" jako "hrabia", ażeby dodać sobie wagi w jej oczach.

Zwróciłam się ku Izie szczerze rozbawiona i wesoła.

- Słyszała pani... Julian został hrabią!

Lecz ona przerwała mi gniewna i zirytowana:

- Pani nie powinna pozwolić mężowi kompromitować się w ten sposób - wyrzekła półgłosem.

- Jak to, kompromitować?

- Ta pani ma jak najgorszą opinię. Przyjechała na karnawał z Ukrainy i straszne rzeczy o niej opowiadają... To panią kompromituje, jeżeli mąż pani pokazuje się publicznie w podobnym towarzystwie.

Wzruszyłam ramionami.

- Proszę pani - odparłam - Julian jest pełnoletni i wie, co robi. Zresztą każde z nas odpowiada chyba przed światem za swoje postęпки, a nie za czyny drugiego?

- Więc pani nie jest zazdrosna? - zawołała prawie głośno.

Prawo własności zbudziło się w mojej piersi.

- Pani chyba zapomina - odparłam z godnością - że Julian jest moim mężem, a więc praw moich do niego żadna dama z Ukrainy naruszyć nie może.

Nadęłam się i szłam tak obok milczącej teraz Izy, czując jednakże całą śmieszność słów swoich. Jakież były rzeczywiście owe "prawa" moje do tego pana we fraku, człowieka zupełnie dla mnie duszą, a nawet poniekąd ciałem obcego, który przed chwilą przeszedł obok mnie tak, jakby mnie nie znał wcale?

Muzyka zaczęła grać polkę. Tu i ówdzie szykowano się do tańca.

Zacząłyśmy z pewną trudno ścią przedostawać się przez zwarte tłumy gości.

Nagle wydostałyśmy się na jasną i pustą przestrzeń. Był to środek sali, przygotowany dla tańczących. Należało go przejść, ażeby dostać się do pani Troickiej i mego kącika. Nogi pode mną drżeć zaczęły. Poczulałam się brzydka, samotna i opuszczona. Dokoła mnie była atmosfera kłamstwa i obłudy. Zwróciłam się myślą do "domu", do tego mieszkania, które się moim domem na zywało. I tam był chłód i pustka.

Ręka Izy ciążyła mi teraz na ramieniu jak galernicza kula. Wlokłam ją za sobą pod ironicznym spojrzeniem Molickiego, który ciągle stał obok pani Troickiej i teraz, wachlując się szapoklakiem, śledził mnie w dziwaczny sposób.

Wreszcie i bal się skończył, powróciłam do domu. Pierwszą moją myślą było, gdy weszłam na próg mojej sypialni, troska o pieniądze na zapłacenie szwaczki i kłopot z wyszukaniem nowej sługi.

Ach Boże, jak mnie już życie nudzić zaczyna!

18 marca

Długo nie pisałam, bo miałam wiele kłopotów i czuję się niezdrowo. Miałam sprzedać moją bal o wąż suknię, ażeby zapłacić krawcowej. Chciałam ogłosić w Kurierze, ale bałam się, że Julian się dowie i zrobi mi scenę. Sprzedałam ją na ulicy Chmielnej, tam, gdzie mama często sprzedawała nasze wieczorowe sukienki.

Sprzedałam także mój żakiet paniński i jedną wyprawną sukienkę, bo nie wystarczyłoby mi pieniędzy. Należało zapłacić Annie przed wymówieniem jej służby. Anna, dowiedziawszy się, że nie chcę jej trzymać, bo jest Turczynką - powiedziała mi z gniewem:

- W takiej psiakrewskiej służbie to jeszcze i poganka za dobra.

Po czym splunęła i coś gadała przez zęby. Musiało to być po turecku, bo nic nie rozumiałam.

Teraz mam służącą, która nazywa się Aniela i ma kawalera.

Ona mówi, że to "brat", ale ja dobrze widzę, co się święci. Teraz, ile razy idę do kuchni, to zawsze muszę kaszleć albo potrącać krzesła. Raz weszłam, kiedy się całowali. Tak się zawstydziałam, że sama nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Aniela jest dość przystojna, ciągle sobie pierze i prasuje różne bluzki i zdaje mi się, że się pudruje. Ten, kawaler to jest lokaj bez miejsca i bardzo mu mile z oczu patrzy. Ile razy wejść do kuchni, ciągle coś zajada, a kapustę Aniela co dzień od rana do nocy gotuje. Nie mówię nic, bo Aniela dobrze gotuje i jest chętna do roboty. Ach Boże! ... Żeby się choć ta dłużej utrzymała. Julian mówi, że i ta nie wytrzyma, bo u mnie, tak jak u mojej mamy, żadna sługa nie wytrzyma. Julian coraz więcej mojej mamy nie lubi i bezustannie mi nią dokucza. To złe i głupie.

20 marca

Podarły mi się zupełnie buciki i literalnie nie mam sobie za co nowych kupić. Koniec miesiąca, sprzedałam moją bransoletkę, wysadzaną granatkami, za dziesięć rubli. Znalazłam Żyda na Rymarskiej ulicy, który daje trochę więcej niż inni. Będę zawsze do niego chodziła. Co tu zrobić z tymi bucikami? Mam wprawdzie buciki, cieniutkie, eleganckie, kilka par pantofli, jedne wyszywane złotem na po domu, ale porządnych bucików

mi nie dali. Gdybym powiedziała to memu mężowi, znów zaczęłyby mi dokuczać niepraktycznością mej matki.

Nie wychodzę z domu i czekam "pierwszego", ażeby z owej pensji kupić sobie jakie takie buciki.

21 marca

Jak dziś wieczorem jest ślicznie na dworze! Nagle wiosna zapachniała. Nie tak jak na wsi, u ciotki mojej, ale choć chwilę mam złudzenie, że to już słońce powraca. Taka jestem chora od jakiegoś czasu. Nie wiem, co mi jest, chwilami zdaje mi się, że umieram. Nie mówię o tym Julianowi, bo

czuję, że coraz bardziej jest mi obcy i ja oddalam się od niego. On żyje swoim własnym życiem i ja muszę się pogodzić z tą myślą, że powinnam sobie zbudować swoją własną egzystencję. Zresztą Julian wychodzi coraz częściej wieczorami, widuję go tylko przy stole. I wtedy nie mamy o czym rozmawiać.

Ja zawsze siedzę wystraszona, patrząc, czy mu jedzenie smakuje, a on je z przymkniętymi oczami i jest wtedy podobny do chińczyka porcelanowego, który kiwa głową za sklepową szybą. Całe szczęście, że Julian nie wchodzi do kuchni nigdy i nie widzi "kawalera" Anieli.

Wypędziłby ją i jego. Mam z tym kawalerem kłopot, bo on się na dobre zainstalował w kuchni. Przyniósł swoją harmonię i wczoraj sprowadził jeszcze jakiegoś kamrata. Chciałabym powiedzieć Anieli, że to mi się nie podoba, ale nie mam odwagi. Chciałabym choć na chwilę zapomnieć o Anieli, o obiadach, o Julianie, pieniądzech, cielecinie i praniu.

Tak mi się serce z piersi wyrywa, tak za czymś tęsknię, a sama nie wiem za czym. Otworzę okno i posiedzę trochę przy nim. Odetchnę i pomyślę. .

Ach! Jakie ładne gwiazdy!

W godzinę później

Patrzyłam tak długo na gwiazdy, aż mi się pan Adam przypomniał. Pan Adam i pozostałe po nim pamiątki. Poszłam do komody, wyjęłam szkatułkę, przyniosłam do okna i znów poruszyłam tę małą mogiłkę serca mego. Wyjęłam kawałeczek zeschniętego chleba, a raczej placka, i cała scena stanęła mi w pamięci.

Poszliśmy z panem Adamem na przechadzkę. Moje kuzynki pozostały w tyle, my szliśmy szybko - umyślnie, aby zostać sami. Była wiosna tak jak dzisiaj. I chłodno było i ciepło zarazem. Pamiętam, że miałam na sobie granatową sukienkę, trochę krótką i zniszczoną, a na głowie białą włóczkową chusteczkę. On był w kożuszku szarym, okładanym czarnym barankiem i zapiętym na pętlice.

Tak mu w nim było ładnie!

Doszliśmy do skraju lasu, tam, gdzie zaczynały się chaty kolonistów niemieckich. Trzymaliśmy się oboje za ręce jak dwoje dzieci. Nie mówiliśmy do siebie nic, ale zacisnęliśmy mocno swe dłonie tak, jakbyśmy się już na całe życie rozstać mieli. Pić mi się chciało. On zaprowadził mnie do jednej z chat świeżo wykończonych. Pełno wiórów leżało jeszcze na ziemi. Wewnątrz podłoga jeszcze nie była ułożona.

W chacie znajdowała się Niemka w barchanowym kaftanie, młoda jeszcze, ale bardzo mizerna, i kilkoro drobnych dzieci.

Podawała nam wody, patrzyła na nas przez chwilę w milczeniu, a potem nagle zaczęła płakać:

Zapytałam ją o przyczynę łez.

Długo odpowiedzieć nie chciała, wreszcie zdecydowała się na odpowiedź. Przykro jej było, że nie ma czym nas poczęstować, ale mleko nawet musiała sprzedać, tak ciężko im było na tym do robku i karczunku. Ma w domu tylko kawałek placka, ale zeschły i niedobry.

Upiekła przedwczoraj dwa placki, jeden dała krowie, drugi rozdzieliła pomiędzy dzieci.

Został się kawałeczek, ale ona nie śmie go ofiarować.

Oboje poprosiliśmy o ten placek. Niemka przyniosła go natychmiast i podała nam wśród łez.

Podzieliliśmy się nim jak opłatkiem i każde z nas schowało swoją część na pamiątkę tej chwili.

I oto teraz leży przede mną ta okruszyna czarna, biedna, a przecież już teraz lękam się wyznać, jaka dla mnie droga. Julian żyje swoim życiem - ja moim!

To zabawne jednak.

Mam niespełna dwadzieścia lat, a już zaczynam żyć "wspomnieniami".

Czy to wszystkie młode mężatki tak żyją, w tak krótkim czasie po ślubie?

A potem przypomniało mi się jeszcze, że wtedy ja bardzo lubiłam tę Niemkę. Kuzynki moje mówiły, że Niemców trzeba nienawidzić.

Ale pan Adam odparł natychmiast:

- To nie była Niemka, to była tylko bardzo nieszczęśliwa i głodna kobieta.

A ja nie rzekłam ani słowa, ale uścisnęłam mu rękę, bo myślałam tak samo, jak on w tej chwili myślał...

A gdybym poszła za tego biednego posesora, czy mielibyśmy każde swe odrębne życie?

Jak cicho na ulicy!

Z daleka tylko turkocze dorożka... Jak ja się powoli zmieniam. Coś we mnie zamiera i okrywa się coraz grubszą, kamienną powłoką. Nawet ten dzienniczek już inaczej pisać teraz zaczynam...

22 marca

Przypomniałam sobie znów, że mogę czytać nieprzyzwoite książki. Idąc ulicą Marszałkowską, znalazłam kilka małych żydowskich sklepików z książkami. Przejrzałam kilkanaście tomów francuskich powieści, bo w Kurierze jeden pan z krytyki pisze, że co francuskie to nieprzyzwoite.

Wszystkie książki były porwane i wiele brakowało kartek. Znalazłam dwa tomy powieści Paul de Kock'a pod tytułem: "Żona, mąż i kochanek".

Nabyłam te dwa tomy za dwa złote i idąc do domu, kupiłam sobie dwa pączki czekoladowe z kremem. Wyprawię sobie bal. Położę się wcześniej do łóżka, najem się ciastek i będę czytać tego Kock'a.

Słyszałam o nim zawsze, jak o czymś stras z nym. Przynajmniej dowiem się, co to takiego.

23 marca

Nie dowiedziałam się, kto to jest Paul de Kock, nie jadłam ciastek, nie wyprawiałam sobie balu. Kawaler Anieli upił się, przyszedł do kuchni, zbił Anielę, a mnie nawymyślał. Bardzo się przestraszyłam i spłakałam.

Szczyściem, że Juliana nie było w domu. Powinnam Anielę oddalić, ale już nie mam odwagi iść do kantoru.

Co tu zrobić?

4 kwietnia

Kupiłam sobie buciki i świeże rękawiczki. Widziałam w sklepie u rękawicznika Izę. Wydawała mi się blada, mizerna i smutna. Zapytałam się ją, żartując, czy nie wybiera się za męża?

Cierpko i opryskliwie odrzuciła:

- Z pannami bez posagu mężczyźni się nie żenią!

Przypomniał mi się pan Adam, który powiedział raz, że nie wzięłyby nigdy posagu za żonę - gdyż czułby się wtedy skrepowany i moralnie związany.

Odparłam więc stanowczo:

- Nie wszyscy... są wyjątki!

- A? !

- Tak, ja sama znam jednego młodego człowieka, który powiedział, że ożeniłby się z panną bez posagu.

Iza zmrużyła oczy, uśmiechnęła się ironicznie i wyrzekła:

- Dlaczego pani nie wyszła za męża za tego fenomena, byłaby pani szczęśliwsza.

Zdawało mi się, że Iza drwi ze mnie i wie o moim, niekoniecznie szczęśliwym, pożyciu z Julianem.

Odparłam więc ze złością:

- Ja, na szczęście, miałam posag i nie potrzebowałam wyczekiwać zmiłowania ludzkiego, a wreszcie, kto pani powiedział, że mój mąż wziął mnie dla posagu?

Ona oderwała wzrok od rękawiczek, które powoli przerzucała, i utkwiała we mnie swe zimne a smutne spojrzenie.

- Mówiłam ogólnie - odparła - pani mąż tu w grę nie wchodził.

Zapłaciłam za rękawiczki i wyszłam, ukłoniwszy się z daleka pannie Troickiej. Ona mnie nie nawidzi. Ja to czuję. Ten jad aż bije od niej i mnie mrozi.

Na rogu Chmielnej spotkałam mojego męża. Stał tam i wyglądał, jakby czekał na kogoś.

Sądziłam, że jest w biurze. Zobaczywszy mnie, wszedł szybko do handlu winnego. Przy obiedzie nie wspomniałam mu nawet o tym spotkaniu. Po co? Niewiele mnie to obchodzi!

10 kwietnia

Z każdym dniem jestem bardziej chora i osłabiona. Mój Boże! Może umrę! Chciałabym umrzeć. Życie nie przedstawia mi się wesoło, ani pociągająco. Taka pustka i ciągle kłopoty.

Mama miała takie same życie i tak się postarzała przed czasem.

Szczęście, że kawaler Anieli przeprosił się z nią i nie pije. A w tym Paul de Kock'u to nie ma nic nieprzyzwoitego, tylko głupstwa i ordynarne koncepty. Muszę wziąć coś Zoli.

Żeby tak dostać "Nanę" albo co innego.

15 kwietnia

Mam już bardzo mało pieniędzy i nie wiem, jak teraz wybrnąć z tego kłopotu, chyba powiem Julianowi. Niech się dzieje co chce! Wszystkie drobiazgi sprzedałam. Srebra nie mogę z domu wynosić. Z Anielą coraz gorzej się dzieje. Teraz ma już dwóch kawalerów, a niejednego. Ja ciągle udaję, że tego nie widzę, bo cóż innego pozostaje mi zrobić! Dostałam "L'Assomoir" Zoli. Prze czytałam przez jedną noc.

Nie zrobiła na mnie ta książka wrażenia nieprzyzwoitego. Smutno mi tylko było pomyśleć, że ludzie nie z własnej winy są tacy nieszczęśliwi na świecie. Potem długo myślałam, czy to możliwe, żeby było inaczej. Nie wymyśliłam nic - i poszłam spać.

20 kwietnia

Rezultatem mej odwagi w powiedzeniu mężowi o stanie mojej kasy jest rozkaz ze strony tegoż

męża, ażebym codziennie... chodziła z Anielą do miasta!!

23 kwietnia

Byłam w owym "mieście" i asystowałam przy kupnie półtora funta mięsa na rosół, włoszczyzny za półtorej kopiejki, mąki za sześć i czterech jajek. Aniela najwidoczniej drwiła sobie ze mnie. Przekupki wzruszały ramionami, a ja błąkałam się z Anielą z miną bardzo głupią i z wypiekami na twarzy. Znienawidziłam Juliana i rozumiem teraz, że emancypantki mają rację bytu. Żeby nie to, że podobno koniecznie trzeba włosy obciąć i palić papierosy, to zrobiłabym się emancypantką. Co to za niewola! Co to za tyrania! Kury gładczą, słomy i błota pełno, ordynarne baby wymyślają, wozy o mało mnie nie rozjechały... i muszę w takim piekle błąkać się pół godziny. I po co?

Aniela tak samo mnie okradnie, czy idę za nią, czy nie, a buciki zniszczę na nic i halkę jedwabną także.

Tegoż dnia wieczorem

Dzisiejszy obiad był jedną sceną. Jajka były nieświeże, legumina była przez to wstrętne.

Pieczeń tak twarda, że Pilisch mógłby z niej śmiało zrobić parę nieprzemakalnych podeszew, jego wysokość małżeńska mości Julian z Bożej łaski I - szy otworzył szeroko oczy i wpadł w wielką furję.

Aniela, przywołana z kuchni, oświadczyła z miną pełną naiwności:

- Proszę pana, przecież pani chodziła dziś ze mną na targ!

Umyła ręce i, jak Poncjusz Piłat, poszła do kuchni do kawalera.

Więc Julian otworzył upusty swojej wymowy i żując pieczeń, mówił długo i głośno. Co mówił, nie wiem. Staralam się bowiem myśleć o wszystkim, tylko nie słuchać jego słów.

Więc myślałam o wiosnie, o tym, że na wsi musi być rozkosznie w tej chwili, że na wsi nie potrzeba chodzić na targ z panną Aniela, że akacje mają śliczne, delikatne listki, a jaśmin pachnie pod wieczór czarująco.

Potem przypomniałam sobie, jak wyglądały kwiaty, które mi przysłał pan Molicki, i zastanawiałam się nad tym, że są kobiety, które ciągle dostają takie śliczne liliowe wiązanki i żyją w salonach, w których jest dużo kwiatów i pięknych mebli.

Oto Iza wydała mi się odpowiednią do takiego życia. Ona powinna mieć zawsze dokoła siebie same piękne i zbytkowne rzeczy. Iza powinna zostać aktorką albo śpiewaczką. Byłaby wtedy szczęśliwsza niż teraz. I gdy tak myślałam o wszystkim i o niczym, mój mąż, nagadawszy się do woli, poszedł spać do swego gabinetu.

Ja długi czas siedziałam jeszcze w jadalnym pokoju, taki smutek i lenistwo mnie opanowały. W głowie mi się kręciło, w uszach szumiało. Zdawało mi się, że umieram. Chciałam, żeby maj prędzej przyszedł. Będę chodzić na majowe nabożeństwa. To takie ładne i tak jakoś dobrze siedzieć tam, w kąciuku, koło ołtarza. Bez pachnie, ludzie śpiewają litanie. Można zapomnieć o świecie całym!

28 kwietnia

Spotkałam wczoraj pana Adama!

2 maja

Od chwili tego spotkania czuję się zupełnie inną kobietą.

Nie wiedziałam o tym, że w głębi mojego serca tyle czułam dla tego człowieka. Gdybym wiedziała, nie poszłabym nigdy za mąż za Juliana. Spotkaliśmy się na ulicy, o zmierzchu. Szłam przez Chmielną na Nowy Świat, ażeby kupić owczego sera do herbaty dla Juliana. Od rana byłam bardzo niezdrowa, blada, nie miałam sił.

Myślałam, że przechadzka mnie uspokoi i trochę ożywi. Szłam więc powoli i nagle na przeciwległym trotuarze dostrzegłam tak bardzo znajomą mi postać pana Adama. Szedł wolno naprzeciw mnie, mając głowę trochę pochyloną i plecy według zwyczaju zgarbione. Ubrany był w jasny garnitur, a twarz jego pod rondem jasnego kapelusza wydała mi się bardzo piękna i bardzo poczciwa.

Tak! To był pan Adam - ten mój pan Adam ze wsi, spod lip, z niemieckiej nędznej chaty.

Wszystko to widziałam przez jedną chwilę, bo natychmiast zamknęłam oczy i szłam tak przez sekund kilka jak ślepa, pogrążając się umyślnie w ciemności.

I pomimo moich oczu zamkniętych widziałam, jak on przeszedł ulicą, jak zbliżył się do mnie z wyciągniętą ręką. Podałam mu swoją natychmiast. Przez rękawiczkę poznałam uścisk jego dłoni. Otworzyłam oczy. Byliśmy tak blisko siebie, oboje zmieszani i drżący. W tej chwili zrozumiałam moją pomyłkę.

To my dwoje - byliśmy dla siebie przeznaczeni. I potem nie mogliśmy znaleźć odpowiednich słów, ani on, ani ja. On zapytał mnie bardzo cicho:

- W którą stronę pani idzie?

Ja równie cicho odparłam:

- Na Nowy Świat.

- Mogę pójść z panią?

- Chodźmy!

Poszliśmy oboje, jedno obok drugiego - rozdzieleni na zawsze! Na zawsze!

Myślałam o tym bezustannie.

On coś mówić zaczął. Nie słyszałam dobrze jego słów, bo wyszliśmy na Nowy Świat, dorożki turkotały, a przy tym w głowie mi dziwnie szumiało. Usiłowałam być spokojna i uśmiechać się, ale męczyło mnie to natychmiast, więc dałam pokój i szłam już tak jak we śnie, potrącana i popychana przez przechodniów. Wiem nawet, że zdobyłam się kilka razy na odpowiedź - jaką... nie pamiętam! Weszliśmy w aleje Jerozolimskie i on umilkł, przestał mówić zupełnie, tylko szedł obok mnie wolno, a mnie się zdawało, że to mój własny cień, druga ja - którą na chwilę straciłam i odzyskałam na nowo.

Doszliśmy tak do rogu Marszałkowskiej, a serce mnie tak bolało, że iść dalej nie miałam sił.

Zatrzymaliśmy się na chwilę, on sądził widocznie, że chcę, aby sobie poszedł, bo stanął także i wyciągnął ku mnie rękę.

- Trzeba nam się rozstać! - wyrzekł cichym głosem:

Nie odpowiedziałam nic. Czy prędzej, czy później, rozstać się nam trzeba było.

- Jaka pani blada, panno Luniu! ...

Nazwał mnie "panną Lunią", tak jak przed laty, tam pod lipami albo w chacie owej głodnej Niemki. To było dla mnie za wiele. Łzy mi oczy zaćmiły.

On łzy te dojrzał i zawołał nagle prawie głośno:

-Dlaczego pani mnie nie chciała? I nie czekając na odpowiedź moją, odszedł szybko, zupełnie tak, jakby uciekł przed tą odpowiedzią.

A przecież ja nic bym mu nie odpowiedziała.

18 maja

Nie wiedziałam o tym, że można żyć podwójnym życiem.

To ja teraz żyję takim życiem podwójnym. Na pozór zajmuję się wszystkim: ubieram się, czeszę, dysponuję obiadem, idę z Anielą na ów "targ", siedzę przy stole razem z Julianem, czytam jakieś książki, ale to wszystko dzieje się "na pozór". Bo ja naprawdę żyję jakoś niezależnie od tego, co moje ciało i poniekąd dusza robi. Zdaje mi się, że to drugie życie moje odbywa się ponad ziemią, nie wysoko, ale zawsze tak, że nieco ma wspólnego z ziemią, do mnie nie dochodzi. Nie wiem, czyja to dobrze i zrozumiale piszę, ale inaczej tego określić nie umiem.

I w tym drugim życiu widzę ciągle pana Adama i słyszę, jak do mnie mówi, "panno Luniu". Mój mąż zupełnie przestaje istnieć dla mnie, a gdy siedzi przy stole, to zupełnie tak, jakby go nie było.

20 maja

Chodzę do miasta z Anielą, ale znalazłam sposób, ażeby się pomiędzy przekupkami nie włączyć.

Wychodzimy z domu razem i dochodzimy tak do placu Św. Aleksandra. Tam Aniela idzie kupować, a ja wchodzę do kościoła. Siadam przy ołtarzu Matki Boskiej i pozostaję tam tak długo, aż Aniela po mnie przyjdzie. Ona sama mi to zaproponowała, bo widziała, że mnie chodzenie na targ męczy, a Julian mi to robić każe. Lubię bardzo siedzieć tak w kąciku, na stopniach konfesjonau, i patrzeć, jak przed ołtarzem kolejno klękają służące z koszykami i rozmaite biedne kobiety. Jak one się ładnie modlą! Tak serdecznie, tak gorąco! Patrzą w obraz Matki Boskiej jak w tęczę i widać, że bardzo serdecznie wierzą.

Ja nie umiem się tak modlić.

Mnie teraz zanadto smutno, zanadto ciężko zaczyna się w życiu robić, ażebym mogła przyjść i uklęknąć tak jak te kobiety, i szeptać pacierze. Ja tylko siedzę w kąciku i patrzę na ołtarz, na masę kwiatów, na lilie, które wykwitają z niebieskich wazoników, i czuję, że mi w sercu budzi się jakiś bunt, jakiś straszny żal za to, że mi się życie tak zmarnowało i teraz jest przede mną jak zamknięta ulica.

28 maja

Widziałam wczoraj na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych pana Molickiego.

To, co mnie od niego spotkało, nie zdziwiło mnie nawet wcale. Czułam, że powinnam się była oburzyć, rozgniewać. . . A nie mogłam!

Zaproponował mi schadzkę po prostu. Powiedział, mrużąc dziwnie oczy:

- Czy nie lubi pani jeździć wieczorami po Alejach? Odparłam, że wieczorami nie wychodzę w ogóle nigdzie i że spacer po Alejach jest przyjemny, ale przeważnie we dnie.

Zaczął się śmiać i dodał:

- Wieczorem bardzo miło - ale we dwoje.

Odparłam zaraz, choć czułam, że mówię głupstwo:

- Mój mąż wychodzi przeważnie sam wieczorami.

I zaraz posłyszałam szept:

- Któż mówi tu o mężu?

Chciałam dalej udawać, że nie rozumiem, ale jestem tak rozdrażniona i czuję, że apatia moja zaczyna się zamieniać powoli w stan bezustannego zdenerwowania.

Wzruszyłam więc ramionami i wyrzekłam, chcąc przerwać tę niemiłą rozmowę:

- Daj pan pokój, nie jestem usposobiona do słuchania czegoś podobnego! -
Lecz on natychmiast się obraził i stał się zuchwały:

- Cóż to? Nie można z panią pożartować? Przyjaciółka pani nie jest tak collet monte, jak pani.

- O jakiej przyjaciółce pan mówisz?

- Och! ... o wspólnej państwa obojga przyjaciółce... o pannie Izie!

- O Izie!

- Tak, z nią rozmawiając, nie trzeba tak bardzo liczyć się ze słowami.
O! Panna Iza...

Urwał i, patrzył teraz na mnie ze złością i, doprawdy, z pewnego rodzaju pogardą.

A mnie robiło się głupio, zupełnie tak, jakbym postąpiła bardzo źle i po prostu popełniła jakiś czyn zły i karygodny. Ale zebrałam całą odwagę i odpowiedziałam, patrząc mu prosto w oczy:

- Nie rozumiem, dlaczego pan nazywa Izę moją przyjaciółką?

- Och, mój Boże! ... - odparł, krzywiąc się jeszcze bardziej - qui se ressemble s'assemble.

A choć panie różnicie się na punkcie drażliwości pod względem form towarzyskich, jednak co do gustów i upodobań zgadzacie się najzupełniej. Na przykład co do pojmowania piękności mężczyzn...

Zmienił głos i po chwili dodał:

- Mąż pani jest bardzo pięknym mężczyzną!

Zaczerwieniłam się, bo sens słów tego człowieka, jakkolwiek nie bardzo dla mnie zrozumiały, jednak widocznie był obrażający. Czułam to po tonie, w jakim do mnie mówił. Zresztą natychmiast dodał:

- Co do kwiatów... macie panie także te same gusty. Lubicie anonimowe przesyłki irysów!

Krew mi uderzyła do głowy.

Ten mężczyzna, robiący ze złości aluzję do przysłanych mi przez siebie kwiatów, wydał mi się głupi, nędzny i nikczemny. Chciał mnie w ten sposób upokorzyć i zemścić się na mnie

za to, że nie chciałam przystać na jego brutalną propozycję. Nie odpowiedziałam mu ani słowa i odeszłam. Przedtem jednak spojrzałam mu prosto w oczy. Wydał mi się bardzo przystojny, ale zarazem i bardzo nikczemny w tej chwili.

2 czerwca

Zaczynam coraz częściej zastanawiać się nad słowami Molickiego i rozbierać ukryte znaczenie tych słów.

Czyżby Iza kochała się w moim mężu? Jeżeli tak...

8 czerwca

Aniela wskutek mego kłamstwa, którego jest współniczką, tyranizuje mnie po prostu i jest panią domu. Pozwalam jej na wszystko, bo nie chcę, ażeby Julian dowiedziawszy się, w jaki sposób chodzę "do miasta", zrobił mi scenę. Za żadne bowiem skarby sceny teraz nie zniosę.

Zdaje mi się, że mogłabym zrobić sobie coś złego, wyskoczyć oknem, roztrzaskać sobie głowę o ścianę.

Tyle bowiem rozpacz nagromadziło się w mojej piersi, że się cała nią dławię. Nienawidzę po prostu Juliana. Ciągłe myślę o panu Adamie.

Jestem wprost pewna, że pomiędzy Izą a moim mężem jest "coś". Teraz zaczynam sobie wszystko przypominać i zdaje mi się, że się nie mylę...

Chciałabym, ażeby tak było. Nie miałabym wtedy żadnych wyrzutów sumienia, że tak ciągle myślę o panu Adamie.

Ach! Gdybym miała pewność!

15 czerwca

Ta chęć dowiedzenia się "wszystkiego" zaczyna u mnie po prostu przechodzić w manię.

Wstaję rano z tą myślą i zasypiam. Może jest to wynikiem mojego chorobliwego usposobienia, nie wiem, ale pragnę dowiedzieć się prawdy za jaką bądź cenę. Czytałam dziś książkę "Autour de divorce" Gyp'a. Tam mówią o rozwodzie, ośmieszając ten przedmiot. Dla mnie była to wielka

jasność i zdawało mi się, że znalazłam punkt wyjścia. Całą noc dzisiejszą snułam najpiękniejsze plany. Rozwieść się z Julianem i wyjść za pana Adama. Wszakże ja znieść nie mogę mego męża już teraz! Cóż to będzie później? Czy nie lepiej rozwieść się od razu, kiedy jeszcze jesteśmy młodzi? Niech on się żeni z kim i n nym, na przykład... z Izą. Och! Gdyby to można było się rozwieść!

25 czerwca

Och! Gdyby to można było się rozwieść! ... Od dni dziesięciu myśl ta wpiła mi się w mózg i na chwilę mnie nie opuszcza. W nocy porywa mnie szaleństwo. Serce mi bije jak młotem, zrywam się, siadam na łóżku i ciągle te słowa "rozwód, Iza, pan Adam" ognistymi zgłoskami skaczą przede mną w ciemności. Słyszę chrapanie Juliana, a ten głos powiększa jeszcze moje zdenerwo wanie. Muszę się rozmówić z mymi rodzicami. Oni mnie za mąż wydali, niech oni mnie z tych pęt uwolnią. Inaczej czuję, że stanie się coś okropnego.

26 czerwca

Nie miałam w domu ani grosza i zaniiosłam do lombardu srebra na sześć osób.

W lombardzie spotkałam mamę, która zastawiała srebra na dwanaście osób.

Miała bowiem być duża Czerwcówka, w Jabłonnie, przed wyjazdem mamy i sióstr do Krynicy.

Obie zaczerwieniłyśmy się, zobaczywszy się z tłumoczkami pod pachą.

Mama chciała widocznie zrobić mi jakąś uwagę, ale zastanowiła się i dała spokój. Dobrze się stało, bo mogłam wybuchnąć płaczem, rzucić srebro o ziemię i uciec na ulicę jak szalona. Są teraz chwile, w których się sama siebie boję. Zbuntowało się we mnie wszystko: i dusza, i ciało, i serce. Nie chcę być więcej biernym narzędziem, jakimś pionkiem na szachownicy. Posuwa mną każdy od urodzenia mego: rodzice, guwernantki, teraz mąż, a wreszcie własna sługa. A wszystkiemu winna moja zależność materialna. Dlaczego ja nie mam moich pieniędzy w moich rękach?

Gdybym miała żyć z czego, natychmiast poszłabym w świat - ot, gdzie oczy poniosą...

Tam może spotkałabym się z panem Adamem, dostałabym rozwód i mogłabym być szczęśliwa.

O Boże wielki! Szczęśliwa!

28 czerwca

Julian spostrzegł brak srebra i natychmiast bez namysłu napadł na Anielę, chcąc ją aresztować jako złodziejkę. Musiałam mu powiedzieć całą prawdę. Opowiedziałam ją nawet z pewnego rodzaju ulgą i radością. Z początku tak był zdziwiony i przerażony, że do słowa przyjść nie mógł. Potem rzucił się do swego biurka, gdzie zamyka swoje szpilki, spinki, łańcuszki, porte cigares, i zaczął przeglądać, czy mu czegoś nie brakuje.

Zobaczywszy, że wszystko jest w porządku, wyleciał, jak opętany, na miasto. Do mnie nie przemówił ani słowa. Prawdopodobnie poleciał do moich rodziców.

29 czerwca

Dziwię się sama sobie, z jakim spokojem znoszę to, co mnie spotkało. Julian, powróciwszy do domu, zapowiedział mi, że od tej chwili nie ja będę mieć w ręku pieniądze "na wydatki" tylko on sam. Zawołał Anielę i zrobił z nią rachunek. Aniela poddała się tej operacji, ale po ukończeniu owego rachunku - podziękowała za służbę. Siedziałam w kącie i pomyślałam sobie: mój Boże! Dlaczego to ja nie mogę memu mężowi podziękować za służbę?

Czym ja właściwie jestem dla tego pana w przydeptanych pantoflach, który zabrał mi moją wolność i pieniądze, jeżeli nie prostą "sługą"?

Gdy byłam panną, to wszystkie narzekania kobiet na nasz los wydawały mi się przesadzone. Ale teraz widzę doskonale, że to prawda. Małżeństwo jest piekłem, skoro dwoje takich, jak ja i Julian, zejdzie się i pobierze. Co z tego za pożytek?

A nam taka straszna męka!

1 lipca

A jednak jest rada na ten stan rzeczy, który dłużej trwać nie może: -
rozwód! rozwód!

I znów wracam do tej myśli, jak do zbawienia. Podobno jednak rozwód kosztuje dużo pieniędzy, a czasem nawet, pomimo pieniędzy, niepodobna go uzyskać.

Dlaczego?

Rozwód powinien tyle kosztować co ślub.

Dlaczego zakucie ludzi w pęta jest tańsze niż rozkucie tych pęt? I tu i tam wolna wola ludzka działać powinna. W dodatku trzeba mieć do rozwodu "powody". Słyszałam, jak dawniej jeszcze u rodziców moich mówiono, iż jedna ze znajomych pań nie mogła dostać rozwodu, bo nie miała "powodów". Podobno nie mogła znieść swojego męża i on nie cierpiał jej wzajemnie - ale to wszystko nie były dostateczne "powody".

Wiem, że trzeba, ażeby mąż albo żona zdradzili jedno drugie.

Jestem przekonana, że mój mąż widuje się z Izą, ale to nie jest "zdrada" podobno według rozwodowych wymagań. A zresztą, jakże tego dowieść? Skoro już będę miała jakieś dowody, wtedy pójdę zobaczyć się z ojcem. Inaczej, wiem co mi powie:

- Czego chcesz od swojego męża? Najuczciwszy człowiek, nie pije, nie pali, w karty nie gra, oszczędny, z dobrej rodziny, przystojny, młody, pracowity. Nic mu nie mamy do zarzucenia! - Ale ja? Ja? Wszakże ja mu mam do zarzucenia to życie podwójne, to życie w więzieniu wspólnym,

przedzielonym tylko kratą. Tylko ja mam przeczucie, ja instynktownie rozumiem, że mój mąż od czasu do czasu otwiera swoje więzienie i wydostaje się na wolność. A ja mam już pozostać w swojej klatce... do śmierci! Nie - nie - otóż w niej nie pozostanę!

6 lipca

Byłam wczoraj u swoich rodziców na chwilę, umyślnie, ażeby wtrącić do rozmowy cośkolwiek o rozwodzie.

Mój ojciec natychmiast się oburzył i zawołał:

- Co Bóg złączył, to powinno pozostać złączone!

Zamilkłam i nie wszczynałam więcej tej rozmowy. Gdy będę miała "powody", to i ojciec zmieni swoje zdanie.

8 lipca

Mam powody!

Drzę jeszcze cała. Przyjść do siebie nie mogę. Spełniłam czyn karygodny, ale ocaliłam swoją własną swobodę i swoje szczęście. Dostanę rozwód, pójdę za pana Adama! Będę mieszkać na wsi! Będę wstawać równo ze słońcem, będę wesoła, będę szczęśliwa!

Wczoraj, podczas gdy mój mąż mył się w sypialni, weszłam do jego gabinetu. Na biurku leżał pęk kluczy, które on zawsze nosi przy sobie. Wiem, że jednym kluczykiem otwierają się trzy górne szuflady. W tych szufladach jest dużo jakichś listów. Mój mąż zamyka je pośpiesznie gdy wchodzę. Nie mogłam się oprzeć pokusie. Drżąc cała jak w febrze, zbliżyłam się do biurka i zdjęłam kluczyk z kółka. Schowałam go do kieszeni i uciekłam do jadalni.

Policzki mi płonęły, a w sercu czułam ból. Wreszcie mój mąż wyszedł i ja pozostałam sama. Długo nie mogłam zdecydować się podejść do biurka i otworzyć szufladki. Myśl o panu Adamie dodała mi odwagi. I rzecz dziwna: zdawało mi się, że ktoś kieruje moją ręką. Zaraz natrafiłam na szufladkę, w której na dnie, poprzykrywane Kurierami, leżały listy rozmaitych kobiet. Zaczęłam szukać listów Izy. Znalazłam je porozrzucane, pomieszane z innymi. Poznałam, że to były od niej, bo wszystkie były w jednakowym bladozielonym kolorze, z dużym monogramem złotym w rogu, niektóre miały koperty. Żaden nie był podpisany. Zaczęłam je czytać. Przekonałam się, że mój mąż i Iza "kochali się" jeszcze przed naszym ślubem.

On nie ożenił się z nią dlatego, że ona nie miała posagu! Ożenił się ze mną, bo ja miałam czternaście tysięcy rubli.

Oto co pisze Iza, dowiedziawszy się o jego zaręczynach:

"Żenisz się, żenisz się "dla sytuacji", jak powiedziałaś do mnie wczoraj.

Ale zastanów się, że to już na całe życie i że ja nigdy nie zgodzę się nawet zobaczyć z Tobą, tak bardzo cierpię wskutek Twojej nikczemnej zdrady".

A jednak zgodziła się widywać z nim później i to nawet dość często.

Czytałam te listy jeden po drugim, z całą przyjemnością umysłu.

Odkładałam na stronę te, które mogą mi być użyteczne, to jest pisane już po ślubie. Szczególnie jeden z nich, pisany przed owym balem, wyświecił mi całą sytuację:

"Skłoń ją (to niby... mnie), ażeby bezwarunkowo poszła ze mną na bal. Dzięki Panu straciłam moją dobrą sławę i naraziłam się na plotki. Może uda się nakazać milczenie ludziom, jeżeli zobaczą, że żyję w dobrym porozumieniu z Pańską żoną. Dlatego żądam i proszę, ażebyśmy razem z nią na ten bal pojechały".

Kilka z tych listów oburzyło mnie do głębi. Iza widocznie szydzi ze mnie i daje mi dziwne miana. Nieczemna to istota, zepsuta do gruntu, bez czci i wstydu! Ani na chwilę nie zawaham się okazać jej hańby publicznie.

Niech się wszyscy o tym dowiedzą. Wszyscy! Mój mąż!

Człowiek żonaty! Przed ślubem nie mówię. Co mi do tego. Ale po ślubie... jakim prawem pisze ona w ten sposób do mego męża?

Bądź co bądź, to jest zawsze mój mąż! ... Zabrałam listy Izy i schowałam je u siebie w komodzie.

Z innych listów przeczytałam tylko karteczkę, nieortograficznie pisaną przez jakąś szwaczkę, i miałam dosyć.

Zamknęłam szufladkę, klucz założę jutro na kółko i pójdę z tymi listami do moich rodziców.

Dostanę rozwód i pójdę za pana Adama!

16 lipca

Nie dostanę rozwodu... Nie pójdę za pana Adama! Mój wielki Boże! ... zlituj się nade mną! ...

18 sierpnia

Uspokoiliam się zupełnie.

Ale kosztowało mnie to dużo, dużo nerwowego wysiłku i dużo mojej biednej woli. Dziś już jestem zupełnie inną kobietą. Poddałam się memu losowi. Widzę, że inaczej być nie może. Będę żoną Juliana i matką jego dziecka!

20 sierpnia

Oto jak się stało z owymi listami i z tym rozwodem. Wzięłam listy Izy ze sobą i poszłam do moich rodziców. Kończyli właśnie obiad i sprzeczali się bardzo, bo ojciec nie dał mamie dosyć pieniędzy na wyjazd do Krynicy i

mama nie mogła posprawić sobie i siostrom dostatecznej ilości sukien, pomimo, że pozostawiała wszystko, co było w domu kosztowniejszego. Jedli więc moi rodzice szarlotkę i bardzo się ze sobą sprzeczekali.

Ja przyszedłam bardzo wzruszona, ale zdecydowana najzupełniej przedstawić swoją sprawę serio, stanowczo i postawić w ten sposób kwestię jasno i wyraźnie. Zaciskałam więc w rękę paczkę z listami Izy i czekałam sposobnej chwili, ażeby wybuchnąć i powiedzieć wszystko, co przez tyle czasu zebrało mi się na sercu.

Ale ojciec ciągle się gniewał i zaczął wołać:

- Po co masz jechać do Krynicy? Jedź do Otwocka. I tak w Krynicy nie ma przyzwoitych konkurentów. Już jeżeli postanowiłaś dziewczęta wywozić na targ, to przynajmniej wieź tam, gdzie jest najlepsze targowisko na panny.

Mama nie odpowiedziała na razie ani słowa, ale widziałam, że gniew ją dusił i dławił. Patrzyłam na nich oboje, kiedy tak siedzieli naprzeciwko siebie, pełni gniewu i złości, i pomyślałam sobie, że w małżeństwie można być tylko przyjaciółmi albo... wrogami. I ogarnął mnie przestach na tę myśl, że ja mogę tak kiedyś siedzieć naprzeciw Juliana z nienawiścią w sercu i gniewnymi słowami na ustach. Podniosłam się z mego krzesła z zamiarem zabrania głosu, gdy nagle mama mi przerwała, mówiąc:

- Wolę jeździć do Krynicy i miejsc cywilizowanych, niż kołatać się po letnich mieszkaniach albo u ciotki na wsi.

- Zapewne - odparł ojciec - ty wolisz, bo to mnie więcej pieniędzy kosztuje. Sto razy jednak lepiej mogłabyś wydać dziewczęta za mąż na wsi niż w Krynicy.

Mama uśmiechnęła się ironicznie.

- Śliczni konkurenci... posesorowie, może znów jakiś pan Adam! Zarumieniłam się gwałtownie. Serce bić mi zaczęło bardzo szybko.

- Pan Adam! - powtórzył mój ojciec. - Widocznie pan Adam nie był taką złą partią... skoro zaręczył się z panną Trzecińską z Hroszówki i zeni się z nią jesienią. Panna Trzecińska ma okrągłe trzydzieści tysięcy rubli...

Mama coś jeszcze odpowiedziała, ale ja już nie słyszałam jej stów. Wiem tylko, że mi było bardzo zimno i że to uczucie chłodu nie opuściło mnie aż do tej chwili.

Nie wspomniałam nic o rozwodzie, poszłam do domu, trzymając ciągle listy Izy w ręku.

I co teraz?

Wszak dla mnie się już wszystko skończyło!

24 sierpnia

Nie napisałam najważniejszej dla mnie nowiny.

Mam zostać matką...

I jestem tak smutna, że nie wiem, czy mam się cieszyć, czy smucić tą myślą. Nie wiem, jak się mam teraz zachowywać. Nauczylili mnie na pensji wszystkiego, ale nikt nie powiedział, co kobieta powinna robić, aby tak ona, jak i dziecko, były zdrowe. Chciałabym pójść do księgarni i kupić sobie jakąś książkę na ten temat, ale się wstydzę. Chyba poślę posłańca, ale zakazę mu, aby do kartki, którą mu napiszę, nie zaglądał pod żadnym pozorem.

26 sierpnia

Julian wiadomość o dziecku przyjął niechętnie. On widzi tylko powiększenie wydatków.

Mnie teraz już wszystko jedno. Dniami całymi siedzę i czytam listy Izy. Dziwna rzecz, jak one mnie zajmują. Zdaje mi się, że jestem na jakiejś sztuce w teatrze i sama w niej biorę udział. O panu Adamie staram się myśleć, jak o kimś bardzo mi drogim, który zmarł.

Wczoraj chciałam spalić pozostałe po nim pamiątki, ale nie miałam siły. Uczynię to w dniu jego ślubu.

29 sierpnia

Stanowczo Iza nie była i nie jest złą do gruntu istotą.

Ona jest tylko bardzo nieszczęśliwa.

Cóż ona temu winna, że kochała się w moim mężu, a on nie mógł, czy nie chciał się z nią ożenić? Ja miałam posag, więc wyszłam za męża. Iza posagu nie miała i dlatego cierpiała i cierpi. Cały mój gniew i złość przeciw niej niknie z każdym dniem. Wtedy, gdy mój mąż żenił się ze mną, Iza musiała być tak smutna i nieszczęśliwa, jak ja jestem nieszczęśliwa i smutna na myśl, że pan Adam żeni się z panną Trzciniąską. Ja mam inny charakter, więc ukryję swój żal w głębi mojej duszy, a Iza pisze do mego męża rozpaczliwe listy, mając nadzieję, że go ku sobie

zwrócić jeszcze potrafi. Biedna Iza. Ile ona nocy bezsennych spędzić musiała, a ile ma jeszcze teraz chwil ciężkich do przetrwania!

Gdyby ona wiedziała, że ja jej serdecznie żałuję i jak ja jej cierpienie rozumiem... Och, jak rozumiem!

20 września

Nie pisałam dawno. Jestem chora i dręczona najgorszymi przeczuciami. Jestem pewna, że umrę. Dnie całe spędzam w domu leżąc ubrana na łóżku. Nie mam ani siły ani chęci do niczego. Cierpię bardzo fizycznie i moralnie.

Na jesieni! Ojciec powiedział, że ślub pana Adama odbędzie się na jesieni. Ja widziałam kiedyś tę pannę Trzcinińską w katedrze w Łucku na sumie. Była ubrana bardzo elegancko, biało i miała dziwaczny słomiany kapelusz. Wydała mi się dość przystojna, tylko już nie bardzo młoda. Czy pan Adam żeniłby się także dla posagu? O nie - to niepodobne! Niech wszyscy tak postępują - tylko nie on! Nie on!

A jednak wolałabym może, ażeby nie miłość, ale interes powodował tym razem jego wyborem. Bo ciężko mi znieść myśl, że ona może być przez niego kochana.

Ciężko? A przecież Iza taką myśl zniosła. Nie - ona mogła tylko "przyпустить", ale nie być pewną. Bo ja nie przedstawiam wcale kogoś - kogo kochać można...

Nawet pan Adam mnie nie kochał, bo gdyby mnie kochał... czyż byłby się zaraz z inną żenił?

25 września

Całe noce nie śpię, leżę z otwartymi oczami i myślę o śmierci. Jestem tak pewna, że umrę, iż bezustannie widzę swój pogrzeb, moich rodziców i siostry w żałobie, słyszę śpiew księży Salve Regina.

Zimny pot mnie okrywa, a mimo to czuję wielką ulgę na myśl, że umrę, że cierpieć przestanę, że odpocznę pod ziemią, gdzie musi być cicho i spokojnie.

4 października

Wczoraj napisałam testament.

5 października

Testament mój brzmi jak następuje:

Moja ostatnia wola. Życzę sobie i proszę, ażeby wszystko, co posiadam, to jest mój posag i moje nieruchomości, były rozdane w ten sposób: zegarek z dewizką siostrze mojej Loci; kolczyki turkusowe siostrze mojej Koci; bransoletkę szmaragdową (która jest w zastawie, kwit jest w pudełku pod bielizną) siostrze mojej Melci.

Wszystkie moje suknie i bieliznę kuzynce mojej Felce. Dwie szkatułeczki, które są w komodzie, proszę ze mną włożyć do trumny. Ponieważ jestem pewna, że i moje dziecko żyć nie będzie, więc w razie śmierci nas dwojga cały mój posag zapisuję pannie Izie Troickiej z warunkiem, ażeby po upływie roku i sześciu tygodni od czasu mojej śmierci wyszła za mąż za mojego męża. Jeżeli tego nie zrobi, niech cały mój posag powróci do rąk mojego ojca. I podpisałam się.

Nie wiem, czy to dobrze i prawnie napisane, ale nie chciałam się nikogo radzić, bo po co ludzie mają wiedzieć?

Niech Iza przynajmniej będzie szczęśliwa.

Nareszcie się jej to należy.

A teraz jestem spokojniejsza. Zamykam mój dzienniczek. Nie zniszczę, niech zostanie po mojej śmierci. Może moi rodzice go przeczytają i dowiedzą się, że ich córka była bardzo nieszczęśliwa. Jestem przygotowana na śmierć i czekam jej przybycia.

Luty roku następnego

Nie umarłam! Nie umarłam! Mam śliczną córeczkę, z włosami i oczkami jak u woskowej lalki. Ja urosłam, utylam i wyładniałam. Testament podarłam i wstydę się sama przed sobą mojej głupoty. Dostałam od ojca na urodziny Anielki tysiąc rubli i teraz mam święte życie.

Julian jest o wiele przyjemniejszy, bo mu o pieniądze głowy nie suszę. Zresztą, wychodzę teraz dużo. Chodzę na spacer. Zaznajomiłam się z jedną młodą mężatką, która mieszka obok nas. Bardzo wesoła i miła

kobieta. Umie się ubrać i mnie dodaje gustu. Wczoraj spotkałam Izę. Wydała mi się żółta i brzydka. Ja wyglądałam bardzo sztywnie w nowej pelerynie i dużym kapeluszu z szafirowymi kokardami. Ukłoniłam się pannie Troickiej lekko i protekcjonalnie. Widziałam, że była zdziwiona... Zimę mamy wspaniałą. Słońce świeci często, sanki dzwonią. Jest na świecie jeszcze ładnie i wesoło. Julian zubożał mi zupełnie. O panu Adamie myślę bardzo rzadko, jak o kimś, kogo mało znałam w życiu. Byłam głupia, biorąc życie z tragicznej strony. Głupia i nudna. Idę na ślizgawkę...

Dodaj do ulubionych

MAŁASZKA

Usiadła sobie na płocie.

Wiatr igrał z jej spódniczką, odsłaniając nagie, brudne kolana.

Bosymi piętami uderzała takt piosenki, a ręce złożyła bezwiednie, jak do modlitwy.

Ładna była mimo brudu, kurzu i włosów dawno nieczesanych.

Oczy jej szare, ocienione długimi rzęsami patrzyły na świat badawczo, niespokojnie jakoś.

W oczach tego chłopskiego dziewczęcia migały chwilami jakieś zielonawe ogniki.

Tryskała z nich ciekawość i żądza nieznanego.

Usta uśmiechały się na wpół bezmyślnie, na wpół zmysłowo; spadek ramion i zarys bioder, jakkolwiek znaczony ostrymi konturami, obiecywał w przyszłości klasyczne prawie kształty.

Nogi ma tylko niekształtne, duże, czerwone; pięty poranione o przydrożne osty i ciernie — za to już nad kostką zarysowuje się silna, choć smukła linia, która mogłaby służyć za model sztucznej łydki niejednej tancerce.

Dokoła cisza, spokój wielki, chwilami tylko przerywany odgłosem dzwonek lub nawoływaniem pastuchów.

Był to wieczór letni, pełen woni i blasków zachodzącego słońca.

Wspaniałe purpurowe promienie ślizgały się po słomianych strzechach niskich, zapadłych w ziemię chatek, ozłacały drżące liście grusz i dzikich śliwek.

Mała dziewczyna siedząca na płocie, zdawała się kąpać w tych ognistych blaskach.

Kosmyki jasnych włosów, wysuwające się z krasnej chuściny, połyskiwały niby szczere złoto i tworzyły nad opalonym czołem delikatną aureolę. Jeden z purpurowych promieni owinał wkoło ramiona dziewczyny; czerwony, wąski pasek słoneczny znaczył również wzdłuż bioder Hogartowską węzową linię...

Ciemne tło lasu, opasującego dokoła wioskę, przecinało horyzont, poza ten las zapadała ognista kula wielka, wspaniale ścieląc swój płaszcz królewski.

Ponad błotnistą drogą na wzgórku nieforemny Chrystus na krzyżu wyciągał drewniane ramiona.

U stóp jego zawiązana dziecięca koszulka świadczyła o pobożności mieszkańców wioszczyny.

Była to gorąca prośba matki o życie dziecięcia.

Ileż łez gorzkich zmoczyło tę zgrzebną, grubą koszulinę, zaciśniętą rozpaczliwym węzłem naokoło krzyża! Dziewczyna siedząca na płocie przestała wybijać takt piętami i z wolna zapadła w zadumę.

Od strony wioski dolatywał odgłos znanej piosenki:

„U susida chata biła...”

Jakiś domorosły artysta grał pod lasem, a rzewne drżące tony płynęły w dal i zdawały się skarżyć, płakać...

Dziewczyna powoli spuściła głowę i wpatrzyła się w ziemię.

Słońce zaszło zupełnie.

Ciemny las zdawał się pochłaniać resztki dogasających promieni.

Promienie cofały się drżące i jakby zawstydzone na zachód.

„A u mene sirotyнки

Ani szcztastja, ni chatynki..."

Mówiły słowa piosenki, której nuta dźwięczała w powietrzu.

Małaszka, odwróciła głowę.

— To Julek — szepnęła — sierota!

W szepcie tym była jakaś litość ukryta.

Po chwili na drodze od lasu ukazała się postać młodego, bo zaledwie piętnastoletniego wyrostka. Miał na sobie surducik czarny z wytartymi łokciami i wysokie, wykrzywione buty.

W rękę trzymał fujarkę i idąc, przygrywał.

Ciemne włosy spadały mu na czoło; cudownie piękne, błyszczące oczy patrzyły chmurnie i ponuro przed siebie.

Jakaś nieokreślona tęsknota, ból tłumiony wiał z tej pochylonej, chłopięcej postaci. Mimo podartego surduta, mimo dziurawych butów, ciekawość kazała odwracać głowę i nie zapominać tego dziwnego wyrazu twarzy.

Chłopak miał rysy regularne, posągowe niemal.

Między brwiami zarysowana zmarszczka i te oczy, tak chmurne jak noc bezgwiazdzista świadczyły o jakimś bólu i smutku, co trawił tę młodą a przedwcześnie zniszczoną istotę.

Powoli przestał grać i wsunąwszy fujarkę w zanadrze szedł niezgrabnym, ociężałym krokiem naprzód.

Dziewczyna poprawiła się na płocie i z kokieterią pociągnęła krasną chustkę na głowie.

Pogładziła włosy i poprawiła koszulinę u szyi.

Nie zważała jednak, że spódnica zagięta nad kolaniem, ukazuje całą jej nagą nogę i brudne, czerwone kolano.

Chłopiec szedł dalej, nie widząc tej niemytej Dalili, uczeptionej na chruścianym płocie.

Przechodzić jednak tędy musiał.

— Julku! — zawołała Małaszka. Stanął i obejrzał się.

— Ach! to ty! — wyrzekł wolno — znów brudna i obdarta, co robisz na tym płocie?

Głos jego brzmiał dźwięcznie i czysto. Małaszka pokraśniała nagle.

— Myłam się w sobotę — tłumaczyła półgłosem.

— Tak! a dziś wtorek — odrzekł Julek. — Wstydz się... i chcesz, żebym cię zaprowadził do dworu i pokoje pokazał.

Stał tak naprzeciw niej i patrzył wprost na jej czarne i pokaleczone nogi.
— Nie mam butynek, wiesz przecie — szeptała Małaszka.
Ale Julek nie słuchał — wzrok jego rozmarzony błakał się po ciemniejącym niebie, ślizgał się po ciemnej linii lasu, aż na koniec spoczął na głowie dziewczyny. Małaszka patrzyła także w twarz jego.
Oczy dwojga dzieci spotkały się.
I mimowolnym, bezwiednym ruchem wyciągnęli oni ku sobie ręce.
Jasna głowa Małaszki spoczęła na wytartym surducie Julka.
On objął ją spokojnie ojcowskim jakimś ujęciem.
Oczy jego zaszyły tylko mgłą wilgotną i jeszcze pociemniały — był spokojny, cichy, smutny jak powierzchnia morskiej głębin.
Ona — przeciwnie, tuliła się doń namiętnie, drząc dziwnym, gorączkowym dreszczem.

Zdawało się, że każdy nerw twarzy drży osobno, że po żyłach tego dziecięcego niemal ciała biegnie jakiś strumień gorący, który zapala w jej oczach te dwa niepocziwe ognie, płonące w jej źrenicach.
Czternastoletnie dziewczę zmieniło się w objęciu chłopca na zmysłową, namiętną kobietę.
Ruchami kotki ocierała twarzyczkę swoją o ramię chłopaka — jedna ręka nerwowym ruchem plątała jego ciemne włosy.
Cicho było dokoła.
Na ziemię zdawała się spadać czarna krepowa zasłona.
Noc zarzucała swój welon i szła wolno jak kochanka, którą codzienne schadzki znużyły.
Mrok ten owijał i dwie młodzieńcze postacie, stojące przy sobie w milczeniu, a przytulone jak dwie młode brzozy, którym Bóg kazał wiecznie rosnać przy sobie. Na koniec Julek pierwszy ocknął się z tej miłosnej zadumy.
— Czas mi iść do dworu — wyszeptał, odwracając z niechęcią głowę w stronę, gdzie między drzewami białeły dwie wysokie wieżyczki o spiczastych dachach.
Małaszka żywo podniosła oczy.
— Do dworu! — powtórzyła — a co ty tam będziesz robił teraz?
Po ustach chłopca przewinął się uśmiech smutny, gorzki — dziwny jakiś.

— Muszę zmywać szklanki i przynosić z kuchni półmiski do kolacji — wyrzekł, pochylając głowę.

Ale po chwili wyprostował się i odrzucił w tył spadające włosy.

— Och! Małaszko! Małaszko! — zaczął znowu, a oczy jego ożywiały się stopniowo i głęboka bruzda, wyryta między brwiami znikła jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki — jaka ty szczęśliwa! Ty możesz cały dzień latać po polu i chodzić do boru, gdzie

takie wysokie choiny sięgają aż w niebo... Co by ja za to dał, żeby i mnie wolno było siedzieć tam daleko, w ciemnym borze, wiesz, tam koło mogiły wisielca, taj grać, grać... a potem dumać.

Urwał i wyprostował się — pierś jego zdawała się rosnąć i przepelniać tą tęsknotą swobody, która go trawiła.

Wytarte nitki dworskiego surducika pękały z suchym trzaskiem pod tym nagłym, nerwowym ruchem, którym rozszerzały się ramiona chłopca.

Małaszka patrzyła nań zdziwionymi oczyma.

— Koło mogiły wisielaka? ta tam straszy, Julku... w nocy tak jęczy, taj płacze...

— Głupia ty! — odparł Julek — to bór szumi i sosny grają. Ach! jak grają precudnie! Nad mogiłą jęczy sowa, pewnie dusza wisielaka, a wkoło ciemno, choć oczy wypatrz, nic nie widzisz. A tylko nad tobą niebo i gwiazdy błyszczą, a taka ich moc wielka a takie jasne i czyste...

Małaszka machnęła ręką.

— Ja by wolała być we dworze, tam takie jasne świece jak w cerkwi, a ściany malowane złotem! Widziałam przez szyby.

Julek popatrzył na dziewczynę, ręka opadła wolno, odsunął się od niej i rzekł:

— Bywaj zdrowa, ty za głupia, żeby mnie zrozumieć.

Odwrócił się i poszedł do dworu.

Małaszka została sama.

Zamyśliła się.

A myśli jej kręciły się koło tego, co ją zajmowało zwykle, to jest koło dworu i jego mieszkańców.

Mała jej główka pracowała bardzo. Miała ona dotychczas bardzo niejasne jeszcze pojęcie o tym pałacyku z wieżyczkami i wielkim dwunastostopniowym gankiem. Przerazał ją i zachwycał zarazem.

Często, ukryta za gęstym krzakiem berberysu, bez tchu wpatrywała się godzinami całymi w tę wielką, białą masę, przecinaną ogromnymi, gotyckimi oknami.

Kolorowe szyby, białe markizy z pałowymi zębami olśniewały ją..., w pobożnym uniesieniu składała ręce jak do modlitwy, a oczy utkwione w jeden punkt zachodziły łzami. Siedziała tak cicha i milcząca, jakby przygnieciona tym niegustownym, bez smaku i stylu pałacym, który z daleka błyszczał złoconym herbem, wylepionym na frontonie ganku.

Marzeniem jej było wejść wewnątrz, choćby do kredensu.

Dalej pragnienie jej sięgać nie śmiało.

Na samą myśl dostawała zawrotu głowy.

Chciałaby więc tylko wejść do kredensu.

Widziała nieraz wchodzących tam lokai, poważnych lub wesołych, stosownie do usposobienia. Jeden szczególnie jej imponował.

Był to wysoki i barczysty chłop z ogromnymi czarnymi wąsami.

Nazywał się Lawdański, był synem chłopca z pobliskiej wioski i mówiono na niego zwykle Hryć, ale gdy poszedł do dworu i z chłopca kredensowego stał się kamerdynerem, mówiono nań Lawdański, a często i pan Lawdański.

Miał na sobie szary surdut i kamasze.

Kamasze te miały dwanaście guzików.

Małazka policzyła te guziki, gdy raz pan Lawdański przyszedł do karczmy i cały kwadrans rozmawiał z arendarzem Szmulem.

Stała obok niego i liczyła srebrne połyskujące guziki. Potem, gdy w nocy poszła zamknąć chlewik i spojrzała przypadkiem na niebo, gwiazdy zmieniały się w jej oczach na srebrne połyskujące guziki.

Każda gwiazdka miała herb i była wypolerowana, okrągła, błyszcząca.

Zasnęła, myśląc o tych wspaniałych gwiazdkach.

Często widziała wpadające do kredensu dworskie dziewczęta. Było ich trzy, trzy siostry Polikarpa leśniczego. Wybiegały i wbiegały chichocząc niby z jakimś pilnym interesem, a właściwie ze śmiechem i zaczepką do lokai.

Miały na sobie białe, cienkie koszule i krasne krochmalone spódnice. Szeleściły nimi, a czerwone szklane paciorki dzwoniły związane na szyi. Raz jeden Warka, najładniejsza i najsmuklejsza, przebiegła pędem do kredensu, niosąc ze sobą szczotkę, którą codziennie pożyczła, mimo że w garderobie pięć szczotek stało jak wojsko przy ścianie. Po chwili uciekła, śmiejąc się głośno — za nią gonił pan Lawdański, trzymając w ręku ściereczkę od kurzu. Warka zatrzymała się koło krzaka i z przechyloną głową zdawała się czekać na nieprzyjaciela. Małuszka siedząc na zwykłym posterunku, uczuła nagle dziwne ciepło przebiegające jej żyły. — Warka! chodź tu! — zawołał rozkazująco. Warka zawahała się chwilę, widocznie jednak czarne wąsy pana Lawdańskiego miały moc czarodziejską, bo zbliżyła się wolno, bojaźliwie jakoś. — Głupia ty! — rzekł Lawdański — czego uciekasz? I objął ją zręcznie, a głośny całus rozległ się w powietrzu. Małuszcze krew purpurową falą zasłoniła oczy, nie widziała nic, siedziała bez ruchu — bez myśli. Gdy ochłonęła z przestachu, ani Lawdańskiego, ani Warki koło krzaka nie było. Wysunęła się na czworakach i stanęła w tam samym miejscu, gdzie przed chwilą wygalonowany lokaj całował dziewczynę. Krew jej uderzała gwałtownie do głowy, pulsa biły jak młotem.

Zazdrościła szczęścia tej Warce, która nie dość, że chodzić mogła po dworskich pokojach, ale jeszcze całowali ją dworscy lokaje! Jakże nędzną i opuszczoną wydała się sama sobie! Jakkolwiek miała dopiero czternaście lat, ale była tak wysoka jak Warka, zęby miała bielsze i czuła się o wiele piękniejszą od niej. Jej dotąd nie całował nikt, nikt prócz ordynarnych wiejskich chłopaków, nieuczesanych, nieumytych, w płóciennych spodniach i z bosymi nogami. Zamyśliła się i posmutniała bardzo. Na ziemi, pomiędzy gęstą trawą zaczerwieniło się coś nagle. Małuszka schyliła się skwapliwie.

Co to być może?

Przecież to nie jagoda. Jagody nie rosną na równych, strzyżonych trawnikach dworskich.

Ach, to paciorka!

Jedna, druga, trzecia... cały ich sznurek rozsypany, zerwany widocznie z szyi dworskiej dziewczyny.

Małaszce serce biło gwałtownie.

Zebrała paciorki i pobięła do chaty.

Tam nawlokła je uważnie, zostawiając największe na sam środek. Gdy się w nie ubrała, chodziła dumnie, z głową zadartą wysoko — zupełnie jak pan Lawdański, gdy włożył pierwszy raz kamasze o srebrnych guzikach. W tym to czasie rzuciła sieć kokietyjną na Julka, chłopca kredensowego. Poznała się z nim łatwo, bo chłopak często chodził do wsi, a częściej jeszcze do karczmy po wódkę dla lokai. Ponieważ był sierotą, a właściwie nieślubnym synem jednej z dziewczyn, odtrącony przez wieś całą, rad był znaleźć jakieś przychylne serce i dobre słowo.

Gdy Małaszka pierwszy raz zbliżyła się ku niemu, przyjął ją z radością nawet — jego pocziwa, smutna natura nie przypuszczała nawet, że ta jasnowłosa dziewczyna, w zgrzebnej koszuli i ze sznurkiem potłuczonych paciorków na szyi używa tylko jego niepozornej i nic nie znaczącej istoty do swych tajnych i przewrotnych celów.

A jednak ta bosa i brudna dyplomatką zawstydziliby może sztukami i fortelami swymi Metternicha, a może i Żelaznego Króla w Berlinie. Powoli potrafiła przywiązać do siebie smutnego chłopca, który choć czuł, że go ciasny umysł dziewczyny zrozumieć nie jest w stanie, lgnął do niej z każdym dniem więcej.

Obiecał jej nawet pokazać pokoje, jeśli państwo wyjadą, a Lawdańskiego w kredensie nie będzie. Tego tylko pragnęła teraz Małaszka.

Jak widzimy, pragnienia jej rosły, a ciekawość nie ustawała.

Za mało jej było widzieć dwór powierzchownie — podkładała się w nocy pod wielkie, gotyckie okna i chciała przez szare płócienne rolety dojrzeć, co się dzieje wewnątrz.

Czasem udało się jej dojrzeć, jak przez otwarte na oścież podwoje ganku schodziła młodziuchna, trzynastoletnia dziewczynka w błękitnej sukience,

a potem wolno i poważnie obchodziła trzykrotnie trawnik i wracała do domu.

Dziewczynka ta miała bladą, mizerną twarzyczkę, rzadkie jasne włoski i chude alabastrowej białości rączęta.

Stapała wolno w swych błękitnych ażurowych pończoszkach i czarnych pantofelkach; była taka nikła i wątła, że zdawało się, iż najlżejszy podmuch wiatru uniesie ją do góry.

Przestraszyła się raz okropnie żaby i krzyknęła z trwogi.

Czym prędzej wróciła do pokoju, unosząc w rękach falbany krótkiej sukienki i gubiąc po drodze haftowaną chusteczkę.

Małaszke paliła głucha, niewy tłumaczona zazdrość.

Ach! mieć taką sukienkę, takie trzewiki!... Jakaż szczęśliwa ta blada, jasnowłosa panienska! Te niebieskie falbany i haftowane krezki zdawały się jej skarbami bez ceny.

Ileż ona więcej skarbów posiadała! Miły Boże! A najprzód te włosy miękkie, długie i gęste; dwie śliczne kosy sięgające do kolan, a potem te dwa sznury perłowych zębów, błyszczących w czerwonej ust oprawie! A weźmy w dodatku silne rumiane policzki, wspaniałe ramiona i biodra, śmiałe linie gorsu i to bogactwo zdrowia, jakie śmiało się z całej jej postaci.

Blada panienska zdawała się jakimś mglistym widziadłem wobec tej wiejskiej jagody, tak strojnej w najpiękniejsze, bo ręką bożą stworzone powaby.

Ale Małaszka była nieczuła na swoje wdzięki. Rada by urodzić się garbatą i ślepą, byle chodzić tak koło trawnika w niebieskiej kaszmirowej sukience i skórkowych pantoflach. Jaki szczęśliwy ten Julek! — on chodzi w surducie! I ten wytarty surdut kredensowego chłopca miał dla niej znaczenie wielkie.

To było przecież ubranie dworskie!

Dlatego to ocierała twarzyczkę swoją o zatłuszczony przód surduta, wciągała w siebie z lubością tę woń wilgotną, niezdrową, jaką przesiąkają suknie sług przeznaczonych do zmywania talerzy.

Zdawało się jej, że rozróżnia gatunki i smak potraw, których plamy świeciły na ciemnym suknie.

Prócz tego zdawało się jeszcze, że choć w części zbliża się do dworskich dziewcząt.

Wszakże Warka tuliła się tak samo do ramienia Lawdańskiego.

Wprawdzie Julek nie był Lawdańskim, ale zawsze był to już sługa dworski, ktoś z pałacu, z kredensu...

Niecierpliwiło ją tylko, że nigdy jej nie pocałował.

Nie dlatego, ażeby go kochała i całus ten uważała za wynik wzajemnej miłości, broń Boże! Ona pragnęła uścisku tego, aby dorównać choć w części Warce, którą widziała całowaną tam, koło krzaku berberysowego...

Zdawało się jej, że pieszczota ta inaczej smakuje niż te całusy dawane i kradzione przez chłopaków bosych w gęstwinie lasu, gdy szli razem po czernice.

Była pewną, że stanie się z nią coś nadzwyczajnego, coś, co ją uspokoi, zadowoli choć chwilowo.

Tymczasem Julek mówił jej o szumie sosen w lesie, o gwiazdkach na niebie, a ona w szumie lasu słyszała zawsze głos Lawdańskiego, a w świetle gwiazd widziała błyszczące liberyjne guziki...

Nie rozumieli się.

On marzył o swobodzie, o borze, gdzie niebotyczne drzewa wieczną prowadzą rozmowę, o tym jasnym, niebieskim sklepieniu, po którym płynęły chmury jak stada gołębi; ona zaś — o ciemnej, brudnej izbie kredensowej, o popękany suficie i tym powietrzu pełnym tłustych, korzennych wyziewów.

On dążył jak orzeł ku górze, pragnął powietrza, przestrzeni, wyrwał się z klatki i tęsknił za wolnością; ona przeciwnie z tej wolności chciała zakuć się w pęta, z szerokiego świata zamknąć się w klatce o gotyckich wieżyczkach.

Zostawiliśmy bohaterkę naszą stojącą wśród błotnistej, samotnej drogi i zamyśloną głęboko.

O kilka kroków od niej duży, czarny wieprz drzemał w kałuży...

Chłodno mu było i spokojnie przewrócił się więc na drugi bok z widocznym zadowoleniem.

Nagle od strony pola doleciał gwar, z początku niewyraźny, potem coraz głośniejszy.

Gwar ten płynął w powietrzu i dzielił się na głosy.

A nie był to harmonijny akord.

Prym wiodły cienkie kobiece soprany i przygłuszały poważne męskie basy, barytonom nie dając odezwać się nawet.

W gwarze tym była kłótnia, zgoda, przyjaźń i nienawiść.

Był to chór kilkudziesięciu ludzi, zmuszonych żyć obok siebie.

Kochali się i nienawidzili, kłócili się i godzili

— wszystko brzmiało w tym gwarze płynącym wśród ciszy letniego wieczora.

To gromada powraca z pola.

Przodem idą baby.

Chustki poprzekręcane na bakier, policzki zapadnięte, rzadkie kosmyki, wysuwające się za uszami, przystrzyżone w tak zwaną „dole”, piersi wyschłe

— oto wszystko.

Idą bose, zgarbione — brzydkie.

Jedne milczą uparcie, drugie się kłóca, gestykulując przy tym z zapalem wielkim.

Robią sobie wzajemne zarzuty, wymówki.

Za nimi w gromadce zbitej suną dziewczęta.

Są tam i ładne i brzydkie, u niektórych oczy świecą jak gwiazdy, a malinowe usta śmieją się bezmyślnie.

Wszystkie mają zgrzebne koszule, spięte na guziczek i rozchylone cokolwiek na piersiach. Oddychają swobodnie, szeroko — nieściśnięte pętami stalowych sznurówek.

Idąc, kołyszą się z harmonijnym wdziękiem, przy czym spódnice falują miarowym ruchem; stąpają pewnie, śmiało swymi dużymi, czerwonymi nogami, wcho-

dząc bez trwogi w błoto i zakasując przy tym bez najmniejszej żenady swe płócienne spódnice.

Za nimi idący parobcy nie okazują najmniejszego zachwyty na widok tych ponęt, odsłanianych z taką dziecięcą prostotą; przywykli do tego bogactwa

form — świetny kształt tych nagich, o miedzianych połyskach nóg, nie olśniewa ich, nie nęci...

Miejski gogo stanąłby zachwycony i rzekłby: „tre`s chic”, Hryć i Orchim idą niewzruszeni, rozmawiając

o gruntach i Niemcach kolonistach, których jasny pan od miesiąca pod lasem osadził.

„Niemcy” karczują las przy zegarkach i w butach.

Rzecz godna bliższej uwagi.

Gromada zbliża się do wsi — jeszcze kilkadziesiąt kroków, a przejdą mimo przydrożnego krzyża.

Na krzyżu biały Chrystus w niekształtnej cierniowej koronie wyciąga niecierpliwie ramiona.

Rad by pobłogosławił tej spracowanej gromadce, która błyszczy jeszcze z daleka kroplami potu, wyciśniętymi przez pracę.

Małaszka podniosła głowę, ocknęła się z zadumy.

Do uszu jej doleciał gwar, poznała głosy — wywineła w ręku trzymaną chuścina, jak powitalną chorągwią,

i puściła się naprzeciw gromady.

Cała rozpasana chłopska natura ocknęła się w niej na widok tej masy zgrzebnych koszul i nóg bosych.

Zapomniała na chwilę o dworze i o Julku — spieszyła do swoich.

Biegając, wskoczyła w kałużę, uderzyła zbłoconą nogą drzemiącego wieprza, a dokonawszy tego chwalebego czynu, popędziła co tchu z zapalem godnym lepszej sprawy.

Na samym przedzie gromady idzie Iwanycha, duża rosła chłopka, o siwiejących włosach i ciemnych, zapadłych oczach.

To matka Małaszki.

Zresztą łatwo to poznać po sposobie, jakim się wita z córką.

Wymierza jej porządnego kułaka i najspokojniej wraca do rozpoczętej rozmowy.

Małaszka zdaje się jednak nie bardzo obrażona tym dotykającym dowodem matczynej miłości, bo roześmiewszy się idzie, podskakując ze swą rodzicielką.

Gromada przechodzi koło wielkiego zapadłego w ziemię budynku, którego krzywe małe okienka, zalepione papierem spoglądają na świat niemilo jakoś.

Szczerniała słoma wisi wielkimi płatami naokoło dachu, wygląda jak wielka, dziurawa płachta, w którą przyodziała się żebraczka.

U przegniłych słupów uwiązane konie z wózkami i biedkami pospuszczały smutne łby, rozmyślając nad przewrotnością świata.

Dokoła kałuże cuchnące, wstrętne...

Na jednej z nich rzucona kładka służy obecnie za ruchomą huśtawkę dwom żydowskim bachorom.

Bachory skaczą, śmiejąc się i krzycząc, a każdy ruch kładki — to porcja błota, obryzgująca ich rumiane twarzyczki.

Opodal stado gęsi poważnie naradza się nad wycieczką do dworskiego ogrodu.

Budynek ten — to karczma, siedziba siwowłosego arendarza Szmula, sławnego koniokrada na całą okolicę.

Siedzi tu od dziada pradziada. „Zasiedział” już miejsce i nikt go ruszyć nie jest w stanie.

Następca wie na pewno, że cała chudoba jego poszłaby z dymem, podpalono by karczmę z pewnością.

Nikt się więc nie kusi o arendę horodyską, a choć intratna, bo droga do kolei przechodzi też koło karczmy — nikomu przez myśl nawet nie przejdzie podkupić Szmula.

Zresztą jaśnie pan go lubi — o! nawet bardzo lubi.

Szmul go kradnie, ale cóż robić? Przynajmniej konie mogą w stajni stać bezpiecznie — a i to coś znaczy.

Szmul ma siedmiu synów, sławnych siedmiu końskich złodziei.

Jest z nich dumny!

Ci synowie stanowią rozkosz jego życia, podpore jego starości.

Od kilku dni wszakże krążą głuche wieści, a niepokojące bardzo.

Mówią, że jaśnie pani postanowiła usunąć Szmula z karczmy.

Miano oddać arendę karaimom, którzy się zemsty Szmula nie bali.

Trzeba zbadać rzecz na gruncie.

Dlatego to cała gromadka ciśnie się do karczmy, zamiast powracać do domów.

Na czele Iwanycha, a tuż za nią Małaszka. Szmul przyjaźnie wita wszystkich, uspokaja bardziej zatrwożonych — wzrusza ramionami i w ogóle ma pewną siebie minę.

Gospodarze i gospodynie zasiadają ławy, kładąc ręce na stołach. Rozszerzają o ile możliwości łokcie i spoglądają z zadowoleniem po brudnych ścianach izby. Dziewki zbiły się w jeden kąt, jak stado owiec, i popychają się nawzajem. Popychanie owo stanowić ma najwyższy szczyt wdzięku i kokieterii. Wszyscy chwytają blaszane miarki i raczą się palącym przysmakiem.

Wnuczek Szmula, pejsaty piętnastoletni wyrostek o twarzączce cherubina i przejrzystym wejrzeniu roz-

lewa wódkę, starając się napelnić tylko przez pół blaszanki.

Szmul oparł się o ścianę, i gładząc siwą brodę, rozmawia z dwoma na kolej spieszącymi żydkami.

Na dworze ściemniło się zupełnie, jedna naftowa lampeczka przybita wysoko, oświetla słabo wnętrze karczmy.

Pełno tam gwaru, hałasu i dymu.

Ostra woń wódki, zmieszana z zapachem cebuli i swędem kopcającej lampki, tworzy przygniatającą atmosferę.

Coraz głośniejszy, coraz gwarniejszy i ciemniejszy. Z kątów wyrywa się chwilami przyciszony chichot dziewczyny, lub głośny odgłos pocałunku.

Gospodynie kiwają głowami i przekręcają chustki na ucho.

Wszystkie te twarze płoną, oczy się iskrzą, usta drżą od wewnętrznej gorączki.

Jakiś żar czuć w tej dusznej, ciemnej izbie — coś, co przyśpiesza obieg krwi, oczy mgłą zasłania.

Zda się, że chmury wódki pływają w powietrzu, wszystko tonie w tej mgle niewidzialnej dla oka, ale tłoczącej piersi, przygniatającej mózg człowieka.

Na środku Szmul poważny, spokojny, ze swą siwą brodą i profilem patriarchy. Na ławce pod ścianą siedzi Małaszka.

I jej policzki płoną, wilgotne usta drżą, czerwieniąc się koralową barwą.

Wielkie siwe oczy otwarła szeroko i wpatruje się w ciemny, brudny sufit karczmy.

Pod wpływem wódki, której matka nie żałuje swej doni, po głowie dziewczyny przesuwają się tysiące myśli.

Niska, zapadła karczma przemienia się w pałacyk, o smukłych gotyckich wieżyczkach; brudna izba jest nagle wspaniałym, złoconym pokojem, tak wysokim jak cerkiew.

Naokoło pali się sto świec dużych, woskowych, w drewnianych, ogromnych lichtarzach.

Ona sama siedzi na miękkim krześle i ustrojona w błękitną suknię, zajada chleb wypiekany z jabłkami i hreczane pierogi ze śmietaną...

Pan Lawdański stoi przed nią i woła tak, jak na Warkę, pod krzakiem berberysu.

— Chodź tu, głupia! chodź tu!...

I Małaszka posłuszna pragnie wstać i pójść za tym świetnym i błyszczącym lokajem, ale nagle nogi się jej plączą, siły ją opuszczają i pada na ziemię.

Iwanycha wzrusza ramionami i dla otrzeźwienia daje porządnego kułaka leżącej pod ławą dziewczynie.

Widząc, że nie skutkuje, odwraca się obojętnie i pije dalej.

Tu i ówdzie zaczynają się kłótnie, występują dawne urazy, zapomniane waśnie; dziewczęta się śmieją i popychają coraz bardziej; chłopcy stają się śmielsi i nacierają z bliska.

Ciemność panująca w karczmie, kłótnie, wrzaski — wszystko usposobią gromadę bardzo wesoło.

Dobrze im i błogo w tym zaduchu i ciasnocie. A na dworze cudowna noc letnia rozsnuwała swój ciemny welon, tkany brylantowymi blaski. Drzewa szumiały i kłoniły gałęzie ku ziemi. Cała natura usypiała z wolna, jak dziecko, które pieśń matki do snu kołysze.

Od strony lasu dolatywała znów smutna nuta piosenki.

„U susida chata biła”...

Widocznie Julek ukończywszy swą pracę, szedł dumać nad mogiłą wisielca, a potem grać... grać...

Nad drogą biały Chrystus na próżno wyciągał ramiona.

Ludzie, których chciał po pracy błogosławić, śmieli się i kłócili w ciemnej karczemnej izbie.

Nieforemne usta Chrystusa zdawały się szeptać: „Przebacz im Panie, bo nie wiedzą co czynią...”.

Po tej nocy letniej minęło lat cztery. Zbiegło szybko jak mgnienie oka, jak błyskawica prująca ciemne chmur kłęby.

We wsi nie zmieniło się nic na pozór. Też same zapadłe chaty, te same szerniałe strzechy i cuchnące dokoła kałuże.

Też same dzikie grusze wiodą między sobą ciche rozhowory, trzęsąc poważnie drobnymi liśćmi.

Na wzgórku spomiędzy ciemnej zieleni bieleją gotyckie wieżyczki i skrzypią żelazne chorągiewki.

Opodal wsi karczma patrzy wciąż zezowatymi oczkami i zda się liczyć, ilu to ludzi przemieniła w bydłeta pod swym szerniałym sufitem.

Wszystko tak samo, tylko trawa przydrożna bardziej wyschła, wydeptana przez gęsi arendarza — tylko baby na wsi chyła coraz więcej głowy i ramiona, a w „dolach” tych bosych kobiet srebrne nici połyskują.

Wszystko tak samo — tylko Chrystus, zniechęcony, ma jakiś wyraz zmęczony; czoło chmurne pod swą cierniową koroną zwiesił ku ziemi — snać długo czeka, wyciągając z błogosławieństwem ramiona.

Gromada nie śpieszy po pracy do smutnego Chrystusa, w karczmie u Szmula jak przed czterema laty szuka zapomnienia i odpoczynku po całodziennym znoju.

Dziewczyny tylko wyrosły i gibkie jak trzciny kołyszą się miarowym ruchem, idąc błotnistą drogą.

I Małaszka urosła — jak sosenka prosta, smukła i w młodość strojna.

Włosy miękkie, długie, jasne owija naokoło głowy, tworząc tym sposobem diadem królewski.

Oczy zielonawe patrzą spod długich, ciemnych rzęs, mieniając się kameleonowymi barwami.

Usta rozchylone, zmysłowe, z kącikami do dołu spuszczoneymi.

Te kąciki nadają twarzy dziewczyny jakiś dumny, hardy wyraz.

Głowę nosi wysoko, klasycznie; piękna to głowa, osadzona na gibkiej, gładkiej szyi; rozchyłona koszula znaczy kontury piersi czystej, dziewiczej.

Równe, proste plecy łączą się harmonijnym łukiem z linią rąk i znaczą śliczne wygięcie spadzistych ramion.

Biodra śmiało zarysowane odcinają stan i w dalszym przedłużeniu tworzą isticie posągowe kształty.

Jakiś czar młodości, urok nieprzeparty wieje z tej bosej krasawicy, gdy stanie z odkrytą głową w jasny wiosenny dzionek i rumianą twarz swoją ku słońcu obróci.

Snopy światła migają po rysach dziewczyny, potok jasności oblewa ją wokoło, uwydatnia jej rysy — ona stoi niewzruszona, uśmiechnięta, pewna siebie i tej chłopskiej urody, nie lękającej się dnia białego.

Kocha się w niej wieś cała — ona patrzy na rozkochanych swymi zielonymi oczami i wzrusza ramionami.

Jeden Julek tylko ma łaski u niej.

Julek zmienił się także bardzo.

Zmężniał, pochylił ramiona — zestarzał się jakoś.

Dziewiętnastoletni chłopak miał chód, ruchy, spojrzenie siwowłosego starca.

Nie chodził już grywać smutnej piosenki nad samobójczą mogiłą — nie miał czasu.

Przeniesiono go z kredensu do stajni.

Nie miał bowiem najmniejszej „prezencji” na lokaja.

Tak zadecydowała jasna pani.

Jasna pani lubiła, aby wszystko miało odpowiednią „prezencję”.

Przypatrzwszy się uważnie szerokim

plecom chłopca, wyrzekła stanowczym głosem rozkaz przeniesienia go z kredensu na kozioł.

Jego rozłożyste plecy mają szyk potrzebny tylko dla furmana, na pokoje są za wielkie — „szokują” swymi rozmiarami.

Przeznaczono więc Julka do „karych” — tych małych, starych koni, którymi wożą guwernantkę i jaśnie panienkę do kościoła.

Jasna pani ma osobny ekwipaż a la Daumont, z dżokejami w pąsowych kurtkach i blachach herbowych na rękę.

Trzaskają z krótkich biczyków i pędzą przez wieś, obryzgując błotem blade, zamorusane twarzyczki dzieciaków bawiących się pod płotem. Julek nie ma wszakże pąsowej kurtki, ani złoconej blachy — zaszczytne te oznaki zostawiono dla dwóch rosłych Niemców, wybranych z nowo założonej kolonii pod lasem.

Szerokie bary polskiego chłopca nie mogły się pomieścić w małej, dżokejskiej kurtce. Niemcom natomiast bardzo w tym stroju do twarzy. W swej piaskowej liberii, w szarym płaszczu z peleryną i wysokim kapeluszu, siedzi nasz chłopak na wysokim koźle zielonawego koczuka i wywija długim batem nad czworonożnymi inwalidami.

Jest jak zawsze smutny i chmurny; teraz nawet chmurniejszy jak przed czterema laty — zakuto go w formalną liberię, włożono na niego kajdany. Wysoki kołnierz piaskowej kamizelki gniecie wspaniały kark jego — atletyczne to ciało chyli się pod ciężarem kilku łokci sukna. Siedzi prosto, niewzruszony, stosujący się jak automat do wszystkich kapryśków guwernantki, lub zdenerwowanej i wiecznie chorej jaśnie pani. Jaśnie pani wybujała jak młoda topolka, ale zbladła jeszcze bardziej. Chorowita jej cera, odbija się

jakimś trupim połyskiem od błękitnych tkanin, które owiewają jej chudą i wynędzniałą postać. Boi się i lęka wszystkiego. Dawniej zaba sprawiała jej odrazę, dziś krzyczy za każdym silniejszym wstrząśnieniem powozu. Gdy wjadą w kałużę — zamyka oczy, a usta szepczą mimo woli: Notre père, qui est aux cieux...

Mimo tej bladej cery i kaszlu, który wstrząsa jej piersią, roje „epuzerów” kręcą się dokoła.

Nędza i ubóstwo fizyczne nie przeraża tych „rozkochanych”. Jedyńca, trzy wsie i jedno miasteczko!

Mówią, że zaręczona. Młody hrabia Jerzy, piękny brunet, właściciel cudnych wąsów i olbrzymich długów, posiada serce milionerki.

Przyjeżdża często do pałacu i przesiaduje po kilka dni.

Chodzi wtedy po ogrodzie z narzeczoną i uśmiecha się do niej. Kocha się w samym sobie i z zadowoleniem spogląda na jasne, letnie garnitury, które leżą na nim z nieposzlakowaną elegancją.

Cieniutką, hebanową laseczką uderza po końcach lakierowanych buczków i bawi znudzoną pannę opowiadaniem o olbrzymich bazarach

wiedeńskich, gdzie wszystkiego, prócz rozumu, po niepraktykowanie niskich cenach dostać można.

Chodzi więc tak ta kochająca się para po gładkich alejach parku i ziewa ukradkiem, dopatrując w sobie braków i czyniąc w myśli uwagi nad rozkoszą chwil przedślubnych.

Spoza sztachet błyszczą dwie zielone źrenice i zdają się pochłaniać tych dwoje elegancko przystrojonych ludzi, idących obok siebie...

To Małaszka, której wiek i wzrost nie dozwala przesiadywać już pod krzakiem berberysu; musi się więc zadowolić stanem koło sztachet i przypatrywaniem się wewnątrz parku.

Jak widzimy, przez lat cztery dziwaczna natura dziewczyny nie zmieniła się w niczym. Ta sama myśl, też sama żądza trawiła tę młodą duszę, ukazując jej świat nieznaną, a na zawsze dla niej zamkniętą.

Na zawsze? — o! nie! to być nie powinno. Ona wiedziała, była pewną, że ten czarodziejski sezam otworzy przed nią swe podwoje; ona miała to głębokie przekonanie, że i jej bosa nogi deptać będą kiedyś miękkie kobierce, a płonące lica odbiją się w wielkich zwierciadłach.

Jak się to stanie, o tym nie wiedziała. Nie zastanawiała się wcale, czy to los, czy cokolwiek bądź innego ułatwi jej wejście po dwunastu stopniach oszklonego ganku; a choćby widziała na szczycie tych stopni topór kata, oczekujący na nią, ona by przecież tam poszła, gnana jakąś nadludzką siłą, straszną gorączką, która płonęła w jej łonie.

Przecucie nie zawiodło jej, weszła po czerwonym suknie, zaścielającym schody; wiodło ją przeznaczenie w postaci Julka, który na swoją i jej zgubę otwierał przed nią dworskie podwoje.

A stało się to dziwnie szybko, ku wielkiemu zdziwieniu całej wsi, a nawet i samej Małaszki.

Julek od lat kilku pokochał jasnowłosą dziewczynę.

Kochał ją dla tej prostej przyczyny, że nie miał nikogo innego do kochania. Były to jedyne usta, które się doń uśmiechały, jedyna główka, która chętnie garnęła się do jego ramienia.

Choć Małaszka była gospodarską córką, a on biednym sierotą, jednak uważał ją zawsze za swą przyszłą żonę. Czuł przecież, że żonę mieć musi — a któż inny miał nią być, jeśli nie to jedno dziewczę, które z nim letnimi wieczorami rozmawiało w dworskim sadzie?

Między dworską służbą nie miał ani jednego przyjaciela, nikogo, kto by doń przyjaznym słówkiem przemówił, lub mile pozdrowił. Dnie całe spędzał sam, krzątając się koło koni, lub czyszcząc uprzęże.

Jaśnie panna rzadko wyjeżdżała — czasem po południu na spacer. Wieczory zaś i noce upływały mu samotnie w stajni, bo do czeladnej izby chodzić nie chciał. Chichot dziewczek i gruby, zmysłowy śmiech mężczyzn raził go niemile. Był więc sam, smutny, milczący. Oddalać się od dworu nie mógł, służba mu na to nie pozwalała; siedział więc długo w nocy na progu stajni i patrzył w ciemne niebo, na którym świecił srebrny miesiąc. Było mu wtedy tak ciężko, tak łzawo, że rad by szlochał jak dziecko. Opierał głowę o twardą futrynę drzwi i tulił się do drzewa, jak małe chłopię do matki.

Potrzebował łona, na którym by mógł złożyć zmęczoną głowę swoją — serca, którego bicie czułby przy swoim, miękkiej dłoni w swym ręku, ciepłego ramienia dokoła szyi...

W takiej chwili bezgranicznej tęsknoty zapragnął mieć przy sobie na zawsze jasnowłosą dziewczynę, która lat temu cztery, siedząc na przydrożnym płocie, wołała: Julku!...

Nie miał jednak ani chaty, ani dachu, pod który mógłby towarzyszkę swego życia zaprowadzić.

Zasłużeni lokaje mieli na wsi chaty i po kilka morgów gruntu, ale na to potrzeba było froterować pokoje i trzepać dywany po lat dwadzieścia, a czasem i więcej.

Skądże więc Julkowi marzyć o podobnym szczęściu!

Jedna wszakże noc jesienna przyniosła mu na czarnych skrzydłach swoich to szczęście, do którego wzdychał.

Było to w listopadzie, w tym brzydkim jesiennym miesiącu, pełnym błota, deszczu, niezdrowej wilgoci.

W listopadzie podobno anioł śmierci schodzi na ziemię i zabiera ze sobą dusze biednych suchotników, którzy drżą, kaszląc za zbliżeniem się wilgotnej, szarej sukni anioła.

Niektóre dusze pozostają jeszcze w tych wątłych, zniszczonych ciałach do przyszłej jesieni.

Mroźny anioł sądzi, że nie dość cierpiały, a może daje się ubłagać kochającej matce lub łzom narzeczonego. Nie wiem, co silniejsze — tylko to wiem na pewno, że każdy z tych nieszczęśliwych cierpi więcej, niż przynosi swym przedłużonym istnieniem rozkoszy.

Dlatego to sądzę, że wysłannik Boga jest raczej surowym sędzią, mierzącym karę, niż litościwym duchem, rozrzewnionym prośbą zatrzonego serca. W pałacyku o gotyckich wieżyczkach odgrywała się właśnie wśród ciemnej, listopadowej nocy nierówna walka, toczona u bogatego wezgłowa rzeźbionego łoża.

Na łożu tym, wśród chmur batystu i koronek, spoczywała blada, wynędzniała dziewicza twarzyczka.

To milionerka — narzeczona, schwycona wśród swych lat szesnastu przez ową okropną hydrę, nazwaną chorobą piersiową.

Nie ma jeszcze suchot, ale bardzo groźne zapalenie płuc przykuwa ją od tygodnia do łoża. Dwóch doktorów, sprowadzonych z odległych stron, czuwa dzień i noc koło chorej. Wyczerpują wszystkie środki ratunku, kłócąc się i rzucając na siebie nienawistne wejrzenia. Jasna pani jest „wyczerpaną”. Upada ze znużenia, gdyż trzy razy dziennie wchodzi do pokoju córki. Ta atmosfera lekarstw zabija ją; czuje, że jeśli to dłużej potrwa — ona sama się rozchoruje.

Zapewnia o tym mdlejącym głosem, po czym odchodzi do swego buduaru, szeleszcząc trenem jedwabnego szlafroka. W sercu tej matki nie tleje iskra prawdziwej miłości, ona nie zawiąże bielizny swej córki dokoła drewnianego krzyża, jak to czynią bose, wiejskie matule. Najwięcej, układając się do snu, wzniesie głowę strojną w koronkowy czepek, i spoglądając na hebanowy krucyfiks, wyszepce: „Seigneur! sauvez mon

enfant!” po czym zaśnie spokojna, zostawiając troskę najemnym sługom i płatnym doktorom.

Jaśnie panienka miała się źle, źle bardzo.

Spocona, rozpalona, leżała na samym środku łóżka, z wyprostowanym ciałem, z rękoma wyciągniętymi; głowę, opartą na poduszce, pochyliła na piersi. Oddychała ciężko, otwierając co chwila blade, bezbarwne oczy, przysłonięte mgłą jakąś. Otwierała usta dla przyjęcia podawanych

lekarstw, ale czyniła to machinalnie, bez chęci wyzdrowienia, widocznie życie zmęczyło to biedne, nędzne stworzenie.

Niebieskie światło lampy rzucało blady cień na czyste, dziewicze skronie; kaskada jasnych włosów, rozsypana po poduszkach, chłonęła te błękitnawe blaski i żółta barwa włosów nabierała pod wpływem tego światła zielonych odcieni. Na dworze noc ciemna i wilgotna rozpościerała panowanie swoje. Deszcz lał wielkimi strumieniami, bijąc w duże gotyckie okna. Niebo topniało na wodę, monotony odgłos deszczu wdzierał się do sypialni chorej. Wśród tej monotoności pręgi wodniste biły bez końca o wysmukłe wieżyczki i wyniosłe topole, rosnące dokoła pałacu. Chmury skupiły się ponad wioską i zawisły ciężko, nisko — tuż nad słomianymi strzechami chatek.

Nagle chora podniosła głowę, zabrakło jej oddechu; na czole biednej dziewczyny wystąpiły fioletowe pręgi, piersi wygięły się lekkim łukiem. Kaszel zmienił się w świst, a odgłos jego przerażająco rozległ się po złoconej, wysokiej sypialni.

Zdawało się, że z każdą chwilą czysta dusza dziewczęcia uleci w wilgotną, ciemną dal — uleci, aby nie powrócić więcej.

Lekarze z trwogą spojrzeli po sobie.

Kazali zbudzić jaśnie panią, a sami przystąpili do

cichej narady. Po chwili sypialnia chorej zaczęła napętnać się ludźmi. Tuż przy łóżku stanęła na koniec matka, zaspanymi oczami wpatrując się w córkę. Białe kaszmirowe okrycie spadało z jej ramion, pełna była jeszcze ciepłej, sennej woni i nocnych marzeń. Chyliła się nad córką, nie mogąc zrozumieć, żeby tak źle było. Lekarze przystąpili, a zbadawszy bliżej stan chorej, orzekli, iż tylko użycie jodu ocalić może tę konającą kobietę.

Należało jednak się śpieszyć, śpieszyć się bardzo.

Półgodzinna zwłoka — a za nic ręczyć nie mogą. W domowej apteczce okazał się brak tego środka. Wyczerpano go. Do miasteczka było pięć wiorst. Tam i na powrót przejechać pięć wiorst w noc tak ciemną — przejechać tak szybko, kto się na to odważy? Do sypialni chorej wszedł jasny pan, wysoki, dumny szlachcic z siwiejącą głową. Wysłuchawszy rzecz całą, wyszedł spiesznie i kazał zbudzić dżokejów. Tymczasem Lawdański powrócił z niczym; Hans i Franc byli widocznie na wsi, uznając za stosowne użyć przyjemniej wieczornych i nocnych wakacji, niż chrapać w stajni, pilnując pańskich koni.

Furman pana, Hieronim, był starym zniedołężniałym człowiekiem — jego posłać? Miły Boże! wróciłby pojutrze z rana.

— Cóż robić? — pyta z rozpaczą jaśnie pan, stojąc w otwartych drzwiach swojej kancelarii.

Drzwi te prowadziły do kredensu. Słabe światło tlejącej na kominku kłody rzucało niepewne cienie na wielką kredensową izbę. Pod ścianami cztery tapczany lokajów z porozrzucaną pościelą. Na środku stali lokaje w naprędce narzuconych sukniach, z rozczochranymi włosami i zgłupiałymi minami. Wśród nich Lawdański z twarzą obojętną, znudzoną. Zdawał się nie dostrzegać niepokoju, malującego się w rysach jego chlebodawcy.

Ten jasny pan, płacący tyle pieniędzy, sprawiający migdałowe surduty i pąsowe kurtki swej służbie, stał teraz na progu ciemnego pokoju smutny i zgnębiony, a niedaleko konała jego jedyna córka, milionerka, i skonać mogła dla braku jedyne go środka ratunku.

— Co robić? — powtórzył jasny pan, spoglądając na zaspanych lokajów — który z was pojedzie, może ty, Bazyli?

Głos dumnego szlachcica stawał się miękkim, cichym, jak prośba dziecka. Bazyli, zakłopotany, podniósł głowę, chciał coś przemówić — nagle wysoka ciemna postać zarysowała się w półcieniu.

— Niechaj jaśnie pan pozwoli, ja pojedę. Czerwony blask dogasającego ognia oświetlił bladą

twarz i czarne oczy przybyłego. Patrzył w ziemię i w rękę miał szarą czapkę. Zdawał się być onieśmielonym obecnością pana i wzrokiem lokajów, którzy go z niechęcią od stóp do głów mierzyli.

Mimo to stał tuż przed panem i powtórzył raz jeszcze:

— Ja pojedę.

Był to Julek, który posłyszał od Lawdańskiego o żądaniu doktora i niebezpieczeństwie, w jakim znajdowała się panienska. Szlachetna natura chłopca oburzyła się na obojętność, z jaką Lawdański opowiadał smutne wieści w piekarni. Przyszedł tam przypadkowo po ogień do fajki i zastał na wpół ubranego kamerdynera, szukającego niemieckich dżokejów.

— Wybrała się umierać w nocy i na taką szarugę — mówił przywiązany sługa, wzruszając ramionami.

Wówczas to Julek powiedział sobie: „pojadę”.

I dlatego to przyszedł do kredensu, choć wiedział, że czyn jego ściagnie nienawiść całego dworu.

Nie obliczał następstw. Ktoś konał, on mógł przynieść ratunek — było to jego obowiązkiem.

Oprócz tego, taka szalona jazda w noc ciemną miała dlań urok wielki.

Pragnął odświeżyć spalone

gorączką czoło; sądził, że to go uspokoi. Dlatego to w głosie jego brzmiała nawet prośba.

Jaśnie pan nie zastanawiał się nad pobudkami

— były mu obojętne — szczęśliwy — przyjął ofiarę chłopca.

— Dostaniesz chatę i grunt — wyrzekł szybko

— chatę, a nawet całe gospodarstwo — dodał, sądząc, że wysokością nagrody podwoi dobre chęci chłopca.

Julek podniósł schyloną głowę.

— Chatę i grunt — powtórzył w myśli.

Było to ziszczenie najpiękniejszych jego marzeń

— dach, pod którym mógłby żyć z Małazką, wypocząć po trudach dnia całego.

Zaszeleściły jedwabie, na progu kredensu tuż obok jaśnie pana pojawiła się biała kobieca postać. Delikatna, drobna ręka wyciągnęła długą kartkę papieru, zakreśloną męskim pismem. To sama pani przynosiła receptę lekarza. Ręka jej drżała febrycznie, usta zbieleły — widocznie uczucie matki stopiło ten lód okrywający serce — jasna pani w jedwabnym szlafroku trwożyła się o życie dziecka, które konało w przyległym pokoju.

— Kto jedzie? któż jedzie? — pytała niespokojnie.

— Ja, jaśnie pani — odparł Julek.

— Dlaczego nie Hans? nie Franz?

— Nie ma ich nigdzie — odpowiedział mąż, a zbliżając się do Julka, oddał mu receptę mówiąc — do apteki co koń wyskoczy, bierz Miss Jackson; pamiętaj, za pół godziny musisz być z powrotem. Czy będziesz?

— Będę, jaśnie panie — rzekł wolno Julek.

— W takim razie chata koło bramy, ta po Semenie, twoja i ogród twój.

Jedź i wracaj...

— Wracaj! — powtórzyła jaśnie pani — będziesz dżokejem.

Ale Julek nie słyszał tej obietnicy, był już na progu kredensu, chowając receptę w kieszonkę kamizelki. Nagle zawahał się i zwrócił głowę.

— A jeżeli koń padnie? — zapytał, patrząc na strwożonych rodziców, którzy stojąc jeszcze na progu, śledzili jego kroki.

— Niech pada! — zawołał ojciec — byłeś powrócił.

— Dobrze, jaśnie panie.

I chłopiec — zniknął w ciemnej sieni.

W parę minut później tętent galopującego konia rozległ się wśród nocnej ciszy. Miss Jackson, klacz pełnej krwi, cud prawdziwy, o delikatnej szyi i suchych, nerwowych nóżkach, pędziła iście z wiatrem w zawody.

Tresowano ją na przyszłoroczne wyścigi. Dziś pierwszy debiut odbyło szlachetne zwierzę ścigając się z białym widmem, które swój śmiertelny całun roztoczyć chciało nad gotyckim pałacem...

Julek zdjął czapkę i rozpiął grubą burkę, którą narzuciła mu gwałtem klucznica na ramiona. Deszcz bił w twarz jego i smagał pierś chłopca. Ciemno było dokoła. Miss Jackson, jakby rozumiejąc ważność swego posłannictwa, pędziła z szybkością błyskawicy, obryzgując jeźdźca błotem i wodą.

W niecałe pół godziny przed ganek kredensowy wrócił Julek i wpadł do pałacu. W rękę trzymał ciemną flaszeczkę i oddał ją panu, który na tętent konia wybiegł z pokoju córki. Julek drżał cały, a z sukien jego spływały strumienie wody. Włosy zmoczone przylegały do skroni, na twarzy widniały smugi błota. Przed gankiem, okryta płatami piany, z poranionymi bokami i krwią nabiegłymi oczami, padła Miss Jackson, dysząc ciężko. Śliczne stworzenie podniosło kilkakrotnie kształtną główkę i spojrzawszy w stronę stajni, żałośnie jęknęło. Miss Jackson istnieniem swoim opłaciła uratowanie panienki. Gdy ludzie nadbiegli, łagodne zwierzę leżało martwe z szeroko otwartymi oczami.

Julek powrócił do stajni; resztę nocy przepędził w gorączce, marząc o chacie koło bramy — o ładnej,

białej chacie, prawdziwej hospodzie, którą mu jaśnie pan obiecał.

Tymczasem w pałacu powracał spokój i nadzieja. Lekarstwo okazało się zbawienne, ta mała, ciemna flaszeczka była silniejszą od potężnej, zimnej pani, której lodowe uściski zaczynały mrozić już wątłe ciało młodej dziewczyny.

Narzeczone — milionerka była uratowaną.

O ile październik był chmurny i smutny, o tyle listopad śmiał się ciepłem i słonecznymi promieniami. Żółte słońce oświetlało resztki liści drżących na gałęziach drzew i całowało zziębniętą i wilgotną ziemię. Były to wprawdzie pocałunki wystygłej piękności, które na pozór gorące, nie udzielają wszakże ciepła, nie budzą do życia. Słońce błyszczało jakimś pożyczanym blaskiem, sztuczną kokieterią zesłej z pola kobiety, której przyszła fantazja ukazać się raz jeszcze na sali balowej.

Pewnego dnia, o samym południu, szła drogą do dworu spora gromadka ludzi.

Na samym czele poznajemy Małaszke, ubraną odświętnie, z głową bogato strojną w złociste kwiaty i pawie pióra. Koszula odświętna, siną i krasną bawełną szyta na rękawach, opina jej kształtne piersi. Zamiast płóciennej ochwoty i zapaski, włożyła krasną, wełnianą spódnicę. Czerwona serżowa zapaska, jak ogień czerwona, ściśnięta w stanie pąsowym pasem, spadającym długimi końcami na przodzie. Nogi ustrojone w złote buty z wielkimi podkowami. Stąpa w tym stroju pewnie i śmiało, niosąc głowę wysoko. Papierowe, złote kwiatki i pąsowe, dymkowe róże stanowią jej królewską koronę. Nosi swój diadem z godnością. Dziewicza ta oznaka stroi tylko głowę dziewczyny,

którą we wsi zwać „sużenaja”. Sużenaja — znaczy przysądzona.

Przysądzona przez Boga temu i temu za żonę. Lud mocno wierzy, że pary łączące się na ziemi były wpierw złączone w niebie. Cudna to wiara, bo uświęca związek, który dla nas ludzi inteligentnych, jest tylko środkiem do zwiększenia fortuny lub podniesienia blasku nazwiska.

Małaszka więc była przysądzona za żonę Julkowi. Po owej pamiętnej nocy jasny pan dotrzymał obietnicy. Julek dostał chatę po Semenie leśniczym i został dzokejem. Gdy przyszedł na wieś w swej czerwonej kurtce, zrobił olbrzymią sensację.

Wszystkie krasawice zaczęły się wdzięczyć i potraćć znacząco łokciami. Chciały w ten sposób ujawnić gwałtowną miłość, jaką zapłonęły ich serca

na widok szkarłatnej kurtki; biała, czysta i widna chata nie miała tyle uroku dla tych wiejskich „panien na wydaniu”, jak ta ognista barwa, strojąca szerokie plecy pogardzanego dawniej chłopca.

Wysokość godności, jaką Julek piastował, czyniła zeń istotę wyższą, nad wyraz pociągającą.

Ale on nie zważał na żadną z nich: ani Naścia Paziochowa, która miała taką moc korali na szyi, ani Dziuba Stepanówna, najśliczniejsza dziewczka w całej wsi, ba! nawet i z siedmiu wsi dokoła, nie odwróciły tego serca, które od chwili szczęścia, jakie się doń zaśmiało, zapragnęło tylko jednej krasawicy, rusałki o zielonych oczach — Małaszk.

— Będiesz moją młodycą? — pytał dziewczynę, stojąc koło tegoż samego płota, na którym cztery lata temu siedziała brudna, z pokaleczonymi nogami i podartą chuścina.

Zielone oczy Małaszk zaświeciły nagle; rzekłbyś, że złote słońca promienie odbijają się od gładkiej blachy herbowej, przytwierdzonej do ramienia nowo-

kreowanego dżokeja i zapalają te fosforyczne błyski, drgające w dziewczęcych źrenicach.

— Będę — odrzekła sucho.

W głosie jej nie dźwięczała żadna serdeczna nuta, nie drżało uczucie.

Wyrzekła „będę” bezdźwięcznie, bezdusznie, ostro jakoś. Nie oddawała razem z tym słowem i duszy swojej, dawała tylko królewską piękność ciała swego, w zamian za godność żony dżokeja. Był to z jej strony mariage de raison — szczebel wyżej.

Wiedziała, że przede wszystkim pójdzie z korowajem do dworu. To było dla niej dostateczne.

Ustroiła się też pięknie, zgrabnie głowę wzniosła do góry i idzie na czele gromadki z całym przeświadczeniem swej wielkiej kras.

Obok niej Julek odmłodzony, uśmiechnięty nawet; za nimi dwie družki, starszy bojaryn, dwie swachy i śwityłka.

Wszyscy ci ludzie mają szaty odświętne: szare świtki, suto wyszyte czarnymi sznurkami; mężczyźni buty czarne, woniejące na milę dziegiem; dziewczki dzwonią szklanymi paciorkami, strojącymi ich spalone szyje.

Starszy bojaryn niesie ostrożnie, z wielkim szacunkiem weselny korowaj.

Zatknięte weń drzewko świeci z daleka krasnymi jagodami, dokoła mnóstwo werczu zieleni się wdzięcznie dla oka. Woskowe ponadpalane świeczki pokrzywiły się trochę, ale to nic nie szkodzi! Korowaj udał się nad podziw.

Idą więc dumni z swego dzieła i donośnie śpiewają:

„Podoszwa jemu żelizna, Obruczi jemu sribrnyi, A na wersoczku żowtyj ćwit — Sławnyj nasz korowaj na weś świt”.

Dochodzą już do dworu. Czyste głosy dźwięczą w powietrzu; nuta nie bardzo harmonijna, ale zawsze miłsza od Wagnerowskich utworów. Silne piersi ukraińskich chłopów ślą w dal pieśń godową, tchnącą życiem, a mimo to smutną i rzewną. Małaszka przyśpiesza kroku, ruchome jej nozdrza otwierają się jak skrzydełka ptaka, oddycha szybko, oczy utkwiała w podjazdowy ganek, otwierający szeroko rzeźbione podwoje. Julek chce wejść do kredensu i zaczekać tam na jaśnie panią, ona go nie słucha. Wyprzedza całą gromadę, mija Bazylego, który wyszedł z ganku na odgłos weselnej pieśni i wchodzi śmiało i odważnie na stopnie zasłane czerwonym suknem. Rzekłbyś, że ma skrzydła — za chwilę jest na górze, i otwierając szklane drzwi, wchodzi do wspaniałego przedpokoju. Nagle zatrzymuje się — widzi swą strojną i wdzięczną postać, odbitą w wielkim stojącym lustrze; oniemiała na widok takiej piękności — własna jej uroda przeraziła ją. Stoi nieruchoma, wpatrzona w siebie samą. Wtem słyszy gwar za sobą: to gromada, pociągnięta jej zuchwałą śmiałością, weszła do przedpokoju i napemnia tę złocistą komnatę cichym szeptem i wonią dziegciową. Chłopi pozadzierali głowy i z podziwieniem patrzą na wyłoczone sztukaterie sufitu. Sztukaterie te są w najgorszym guście, robota tandetna obliczona na efekt i półcienie. Swachy pootwierały szeroko gęby, a družki nie zaniedbały popchnąć się kilka razy. Bojaryn tak się przeraził gipsowej Diany, stojącej na wysokim piedestale, że o mało nie opuścił korowaja na ziemię. Po chwili pokłonił się trzy razy i przeżegnał się pobożnie.

Naga bogini wyobrażała dlań jakąś świętą — niepokoił go tylko półksiężyc, który mu się przedstawił jako rogi.

— Ki czort? — rzekł do siebie — jak u perełestnyka.

I odwrócił się od posągu, z zabobonną trwogą, rzucając jednak na kochankę Akteona ukośne wejrzenia.

Małaszka stała na pozór spokojna, milcząca. Gdy družki i swachy wyrażały swe podziwienie wykrzyknikiem lub kułakami, ona nie przemówiła ani jednego słowa.

Z zaciśniętymi ustami i rękoma kurczowo splecionymi wodziła wzrokiem po złocistych ścianach, ciemnej karmazynowej sofie i zatrzymała się na białej, smukłej Dianie, która wznosiła swe gipsowe ciało nad zielenią karłowatych palm i olbrzymich rycynusów. Czyste linie posągu rysowały się na ciemnym tle obicia okrywającego ściany, pełen wdzięku ruch bogini pochwyconej wśród fal rzecznych wiał dziwną ponętą dla oczu nie przywykłych do podobnego zjawiska.

Małaszka nie zastanawiała się nigdy nad pięknnością ciała, stała więc olśniona tą harmonią linii, tą poezją zakutą w trochę gipsu; nie biła pokłonów, nie brała pogańskiej Diany za chrześcijańską dziewicę, uwieńczoną koroną świętości, a mimo to było jej tak dziwnie na duszy, jak wtedy, gdy ciekawością wiedziona, weszła do katedralnego, miejskiego kościoła. Dostrzegła tam w bocznej nawie obraz Matki Bożej, będący kopią słynnego „Wniebowzięcia” Murilla. Stała długo przed tym obrazem wpatrzona, zachwycona, z oczyma łez pełnymi. Nie czuła mistycznej ekstazy — nie, wcale nie wiedziała nawet, że ta w białej sukni i z rozwianym włosom pani, jest tą samą Matką Bożą, której złocistą sukienkę i srebrną koronę podziwiała co dzień w cerkwi — ale chyliła mimo woli i wiedzy zachwyconą głowę przed pięknem, przed nieznanym dla niej uplastycznieniem ideału.

Z tym samym uczuciem wpatruje się teraz w nagą Dianę, a potem bezwiednie prawie spogląda w lustro, porównywując swą własną postać z gipsowym posągiem. Ale zastanawiać się długo nie ma czasu. Szelest jedwabi i głośnie, przeplatana śmiechem rozmowa, daje znać o przybyciu jaśnie państwa. Swachy poprawiają kwieciste oczepki i szare przejryste namitki; dziewczęta, krasne jak buraki, szczypią się wzajemnie; bojarzyn spogląda na korowaj i wysuwa się naprzód. Na środku pozostają oboje „przysądzeni”. Julek w swej czerwonej kurtce dżokeja i Małaszka na pozór spokojna, a w rzeczywistości bezprzytomna prawie z radości ujrzania na koniec jaśnie państwa, a może i mówienia z nimi.

Drzwi się otwierają, do przedpokoju wsuwa się strojne grono dam i panów. Tylko co powstawano od śniadania; przyjechała właśnie siostra hrabiego-narzeczonego i bawi w pałacu od kilku dni. Urodzona w Warszawie, wychowana w Paryżu, pragnie na własne oczy zobaczyć „tych biednych ludzi”. Idą więc sporą gromadką, bo i panienka już zdrowsza i hrabia-narzeczonego przyjechał; wszyscy chcą uśmieć się do woli z tych, którzy w pocie czoła pracują na jaśnie państwo i swoje życie. Stają więc w progu i patrzą ciekawie. Panie mają jasne szlafroki z lekkiej materii i koronkowe krezki u szyi. Panowie — zgrabne anglezy i po największej części monokle na szerokich tasiemkach. Całe to strojne grono śmieje się, kołysze, gada, roznosząc woń czczej paplaniny i Jockey-clubu.

Panie przykładają koronkowe chusteczki do nosa.

— Ach! jakże nie pachną ci poczciwi ludzie!

Mimo to patrzą z ciekawością. Dziewczęta wiejskie płoną się jak jagody, swachy przekręcają z zakłopotania namitki, nasuwając je na ucho — jeden bojarzyn nie traci rezonu. Podchodzi ku jaśnie pani i rozpoczyna swą orację. Mówi szeroko i długo, a panie i panowie śmieją się bez żenady.

Nagle śmiać się przestają. To Małaszka podniosła schyloną głowę i spojrzała na nich swymi zielonymi oczami.

Piękność dziewczyny olśniła zdenerwowane grono: ta strojna narzeczona, smukła, kształtna, dziewiczo-piękna w swej złocistej koronie, stała przed nimi jak zjawisko zbiegłe z kart jakiegoś wzruszającego romansu.

— Charmante! — rzekła hrabina-siostra, przykładając do oczu lornetkę, mimo że widziała bardzo dobrze, gdyż miała wzrok ostrowidza.

— Ravissante! — dodał hrabia-narzeczonego.

Błade jego oczy śledziły z upodobaniem dziewczynę.

Z lubieżną rozkoszą ślizgał się wzrokiem po tych posagowych kształtach, rozbierając je w myśli z wszelkiej osłony.

Nie zdarzyło mu się nigdy spotkać tak olśniewającej piękności. Zielone oczy i białe zęby rozjaśniały twarz całą; podbródek okrągły, duży, nadawał jej wyraz dziwnej, nieustraszonej stałości.

Gdy się zwróciła, profil jej miał czystość linii posągu. Pomimo chłopskiego ubrania, zachowała wyraz majestatycznej i wzniosłej godności; dwie ciemne plamy na jej policzkach świadczyły tylko o jej wielkim, wewnętrznym wzruszeniu.

Nie spuszczała teraz oczu, patrzyła wprost siebie hardo, wyzywająco niemal. Zmierzyła w jednej chwili wdzięki jasnych pań i oceniła je z biegłością taksatorów zakładów zastawniczych.

Uczuła się piękniejsza i podniosła dumnie głowę. Nie mieszała się pod tym spojrzeniem mężczyzn, którzy na jej widok uczuli pewien niepokój. Ona także

popatrzyła na hrabiego. I tak stali naprzeciw siebie, magnetyzując się wzrokiem, przedzieleni tylko przestrzenią kilkunastu kroków.

Słoneczne promienie wpadały do pokoju przez kolorowe szyby i barwiły czerwono lub niebiesko suknie i twarze obecnych. Jedno z tych purpurowych światel oblało nagle twarz Małaszkii — zdawała się płonąć i palić jakimś demonicznym blaskiem.

Tymczasem bojaryn kończył swą przemowę, a oddając korowaj prosił o błogosławieństwo.

Rozpoczęła się ceremonia ukłonów, niewymownie przykra dla Małaszkii — ciężko jej było zginać dumny kark przed państwem. Toteż odetchnęła, gdy jaśnie pani uwalniając państwa młodych od nużącej powinności, kazała zaśpiewać coś z weselnych pieśni. Uczyniła to na usilne prośby hrabiny, którą to wszystko niezmiernie zaanimowało.

Gromada po krótkiej naradzie zaintonowała cudnie piękną pieśń sieroty, wychodzącej za mąż:

„Raztupisa, raztupisa
Mat'syra zemla,
Razkalisa grobowa doska,
Probudisa rodnoj batiuszka —
Mnie nie godok u was godował"...

Śpiewali przyciszonymi, stłumionymi głosami.

Śpiew ich miał urok dziwny, poezję pełną prostoty. Ta melodia sieroca, pełna skargi i cichego bólu w ustach tych spracowanych ludzi nabierała właściwego wyrazu i odpowiedniego wdzięku.

Pośrodku stał Julek ze spuszczoną głową.

Słowa pieśni stosowały się do jego położenia.

Bez ojca i matki, prawdziwy sierota, brał sobie za żonę dziewczynę, która go nie kochała.

Wiedział o tym, czuł, że ona go kochać nie może, a mimo to wiązał się z nią na życie całe.

Odwrócił głowę i spojrzał na Małaszkę. Serce jego ścisnęło się — jakieś dziwne, nieokreślone w umyśle powstało przecucie. Dziewczyna oblana purpurowym światłem patrzyła wciąż płonącymi oczami w bladą twarz hrabiego, on zaś uśmiechał się ku niej, przymrużając powieki.

Całe strojne grono dam, zasłuchane w smutną, chłopską piosenkę, stało nieruchome na progu, zapominając drwinek i złośliwych uwag. Rzekłbyś, że ta dziecięca melodia kołysze do snu te ironiczne, sarkastyczne słowa, zamarłe na ukarminowanych ustach pięknych kokietek. Wobec tej nieskażonej brudnym realizmem poezji milkły sceptyczne żarciki — chłopska piosenka z triumfem wpływała w złociste komnaty, napełniając dźwiękiem swoim wyniosłe ściany pałacu.

Pominiemy opisy wesela i ślubnych uroczystości.

Wszystko odbyło się tak, jak zwyczaj każe i jak się godzi. W niespełna tydzień Małaszka w namitce i z obciętymi włosami krzątała się po ładnej, białej chacie stojącej tuż przy wjazdowej bramie.

Obowiązkiem jej było — gdy posłyszysz turkot powozu, czym prędzej otwierać szeroko wrota, a potem je zamykać. Wypełniała to z przyjemnością wielką. Dużo gości bywało w tych czasach w gotyckim pałacyku. Dzień ślubu jaśnie panny nadchodził, a jakkolwiek sam ślub miał się odbyć w Warszawie, wiele osób związanych czy to węzłem przyjaźni, czy pokrewieństwa, przyjechało nawet z dalszych stron. Małaszka w krasnej spódnicy i wyszytej koszuli, świeża jak róża, z uśmiechem zalotnicy miejskiej, wybiegała z chaty i chwytiała silną dłonią ciężkie, drewniane skrzydło bramy.

Koło niej przejeżdżał to amerykański, zaprzężony parą rasowych angielców — to zgrabny koczyk z czwórką szpaków ustawionych w „poręcz”.

Czasem

jak błyskawica mignął tarantas z węgrzynkiem na koźle, lub ciężko sapiąc wtoczyła się poważna karetka.

Małaszka miała odpowiedni zapas uśmiechów i spojrzeń, którymi darzyła przejeżdżających.

Wrodzonym sprytem umiała zastosować wyraz swej twarzy stosownie do rodzaju ekwipażu, lub osób w nim siedzących. Z amerykańcem była dumna i imponującą, do koczycy posyłała skromne i łagodne spojrzenie, karecie usuwała się z drogi z postawą pełną szacunku, za to dla tarantasa chowała cały arsenał zabójczych płomieni, rzucanych spod długich, jasnych rzęs. W tarantasie siedział najczęściej hrabia-narzeczony, bawiący teraz po całych tygodniach w pałacu. Był jednakże bardzo zakłopotany i zamyślony — nic dziwnego — chmary pejsatych wierzycieli nie dawały mu wytchnienia. Słaby stan zdrowia narzeczonej, jej delikatny organizm, nie dozwalały mu być pewnym ani na jedną chwilę. Może umrzeć przed ślubem! Ta myśl dręczyła go po całych dniach rozkochanego (?) młodzieńca. Patrzył na bladą dziewczynę z trwogą źle ukrytą i okrywał ją starannie przed wieczornym chłodem i nie dozwalał pić zimnej wody.

Za każdym odgłosem kaszlu, który rozrywał pierś dziewczęcia, zrywał się przerażony i biegł ku niej, podając słodowe cukierki. Dla obcych cała ta komedia była nadmiarem uczucia, dla samej panny i jej rodziców wydawała się tym, czym rzeczywiście była — to jest wstrętnym rachunkiem.

Do złoczonego herbu szlachcica brakowało dziewięciopalkowej korony, trzeba było ją mieć — bez względu na to, kto tę koronę kładł na czoło schorowanej dziewczyny.

Zresztą Ella nie kochała nikogo; było to jej obojętne: ten czy ów; wiedziała, że iść za mąż musi, a tytuł miał i dla niej niewysłowiony urok.

Hrabia Jerzy nie wydawał jej się wstrętnym, patrzyła jednak bez wzruszenia na tę twarz wybladłą,

o greckich, regularnych rysach. Nie drżała na jego widok, jak ta młodyca pod wjazdową bramą, gdy tarantas hrabiego przelatował przez drewniane wrota. Małaszka płonęła się i bladła na przemiany, widząc z jaką pyszną obojętnością hrabia mija jej chatę i nie zwraca uwagi na te wdzięki, które tak bardzo ceniła. Widocznie zapomniał o niej, bo choć owego pamiętnego, weselnego ranka nie przemówił do niej słowa, ale oczy jego płonęły takim zachwytem! Nie mogła się pomylić, wszakże i ona sama

poczuła magnetyczny wpływ tego spojrzenia, bo dotąd na samo wspomnienie krew jej do głowy uderza. Roiała najśmielsze plany — otwieranie bramy miało być jej wielką w tym względzie pomocą. Sądziła, że od razu przypomni się pamięci hrabiego. Kładła najeżyściejsze koszule, najuroczystsze namitki, nie zarzucała nigdy świtki na okrągłe ramiona — hrabia mijał ją zwykle z jedną i tą samą obojętnością. Zadumany, posepny, siedział w swym tarantasie, patrząc ponuro przed siebie. Wobec trosk majątkowych namiętność zgasła, kłopoty finansowe uśpiły zmysły — krasne chustki Małaszki i jej zielone oczy nie mogły poradzić nic przeciw poważnej liczbie długów. Małaszka szalała, bezsilna wobec tej kamiennej postaci; wyteżala cały swój spryt i przebiegłość chłopską, aby zmusić hrabiego do spojrzenia raz jeszcze w jej oczy. Walka ta podniecała ją, w gorączce chodziła koło gospodarstwa i przyjmowała pieszczoty męża. Zdawała się ciągle wyczekiwać czegoś, widzieć kogoś poza szerokimi barkami Julka. Patrzyła ciągle w okno i drżała, gdy turkot kół rozległ się w powietrzu. Nie kochała przecież hrabiego — nie, ale byłaby pół życia oddała za jedną chwilę spędzoną przy jego boku.

Gdy Julek całował jej usta, ona zamykała oczy i uchylała głowę — zdawało się jej, że powinna te usta zachować dla hrabiego, że to spojrzenie, wymienione z bladym panem w przedpokoju pałacowym przy odgłosie pieśni weselnej, związało ją jakąś przysięgą — rodzajem zobowiązania. Czekala więc, ale dotychczas czekała na próżno i to czekanie przejmowało ją trwogą i paliło gorączką, która ją dniem i nocą trawiła. Na koniec prosty wypadek usłużył jej więcej niżeli wszystkie uroczyste namitki i haftowane koszule.

Julek wyjechał dnia tego na pewien czas z panem i z panią w dalekie strony. W chacie została sama Małaszka i czarny kot z zielonymi oczyma. W gotyckim pałacu kręciła się sama jaśnie panna, pod dozorem hrabiny-siostry. Narzeczony miał jednak prawo, mimo nieobecności rodziców, odwiedzać narzeczoną. Nie miano serca zabronić tej rozkoszy zakochanemu młodzieńcowi.

Przyjeżdżał więc jak zwykle, oglądał z panną świeże żurnale — dysputował nad krojem trenu, lub siedział w przykładowym milczeniu. Hrabina-siostra znajdowała niezmiernie dystygowanym podobne obejście i zwracała uwagę narzeczonej, jak bardzo „réservé” jest jej przyszły małżonek.

Panna ruszyła ramionami i popijając ekstrakt słodowy, zagryzła go słodowymi cukierkami.

Dla niej istniał tylko jeden człowiek, którego by z wdzięcznym uśmiechem przyjąć mogła. Johan Hoff, Malzbonbons-Hoflieferant in Wien.

Był to fabrykant ekstraktu słodowego, a ona wierzyła w niego, jak w Boga.

Na świecie cudowny poranek zimowy; pierwszy śnieg spadł od wczoraj — biało było i zimno; zdziwione drzewa strząsały z siebie puchowe okrycie, jak młode

kobiety zrzucają balowe narzutki z białych ramion. Słomiane dachy chatek spokojniej przyjmowały śnieżną sukienkę — tak jak rozsądne staruszki liczą siwe włosy każdego rana. Szarawe światło poranku wolno, nieśmiało budziło ze snu ziemię.

Białe smugi na ciemnym horyzoncie rozciągały się jak podarta gaza balowej sukienki. Płaty tej gazy oddzierały się z góry i spadały na ziemię, owijając jakąś mgłą jasne i przejrzyste białe dachy i bezlistne drzewa. Wieś budziła się powoli, tu i ówdzie błyszczały ognie, skrzypiały wrota. Zaspana młodyca w kozuchu i boso biegła z wiadrem do studni. W drodze rzucała sąsiadce „pomagaj Boh” i za chwilę była już przy studni, znacząc ślady nóg bosych na śniegu.

Małuszka jeszcze spała. W kącie izby na tapczanie, w porozrzucanej i grubej bieliźnie, leżała z przymkniętymi oczami i przechyłoną na jedno ramię głową.

W szarzącym świetle poranka bieląca na tle ciemnej, perkalikowej poduszki jej obnażona szyja i muskularne, silne ręce. Pyszny jej biust rysował się jak wykuty z jednej marmurowej bryły. Ręce, od łokcia białe jak śnieg, mieniły się dalej ciemną, brązową barwą, spaloną od słońca. Mimo chłodu panującego w chacie, gorąco było tej czerstwej, zdrowej kobiecie. Zrzuciła z tapczana wełnianą derkę i leżała tak zwrócona twarzą ku oknu, śmiejąc się przez sen, i oddychając lekko.

Wielki czarny kot drzemał obok, wydając właściwe tylko kotom mruczenie. Cała chata zdawała się spać, tonąc w szarawym brzasku dnia wschodzącego. Nagle na drodze dał się słyszeć turkot.

Mimo lekkiej warstwy śniegu nie odważono się jeszcze na sanie — koła były odpowiedniejsze.

Dlatego to przez uśpioną wioskę przeleciał tarantas. To hrabia-narzeczonny powraca z miasteczka, gdzie

po całonocnej hulance pożegnał u Szymka Soroki grono towarzyszków. Rozmarzony fabrykowanym szampanem, niby uśmiechnięty, gwizdzący przez ściśnione usta bachancką piosenkę, siedzi w swoim tarantasie i patrzy ogłupiałym wzrokiem na zamkniętą bramę.

Małaszka śpi mocno i nie słyszy wołania woźnicy. Pan hrabia zaczyna się niecierpliwić.

Woźnica chce zleźć z kozła i otworzyć bramę. Pan hrabia zatrzymuje go. Boi się zostać w powozie, gdy na kozle nie będzie nikogo. A nużby konie w bok skoczyły — cóżby on wtedy zrobił?

Woli sam zejść i otworzyć bramę.

Próżne usiłowania — ręka zdenerwowanego panicza za słaba na takie wielkie i ciężkie belki, przy tym konie rzucają się w prawo i w lewo.

Hrabia decyduje się wejść do chaty.

Na skrzyp drzwi Małaszka otwiera oczy. Podnosi głowę i opierając ją na łokciu, wpatruje się w postać męską stojącą u progu.

Oczy ich spotykają się — mimo półcienia panującego w izbie, poznało się tych dwoje, trawionych równie silną, choć niejednaką namiętnością.

Ona chciała zadowolić swą dumę, on żądzę zmysłową.

Patrzyli na siebie długą chwilę — w chacie zapanował żar, który zdawał się podniecać iskry, płonące w zielonych oczach Małaszki.

Nagle kobieta zerwała się z tapczana, jednym skokiem przypadła do kolan mężczyzny... „panyczku mój” — zaczęła dziwnym głosem i urwała, patrząc wilgotnymi oczami w twarz hrabiego.

To szczęście, o którym marzyła, przyszło do niej razem z przebudzeniem.

Śniła o pocałunku wybladłych i bezkrwistych warg — wargi te na dzień dobry całowały jej koralowe usta...

Była u szczytu marzeń swoich.

W kilka dni później pałacyk gotycki opustoszał zupełnie. Jaśnie państwo, panienka, goście, hrabia-narzeczony — wszyscy wyjechali do Warszawy. Julka zostawiono wszakże przy tych koniach, które nie miały wieźć panny młodej do kościoła.

Rad, że się pozbył przykrej służby, zrzucił z siebie czerwoną kurtkę i włożywszy siwą świtkę, wszedł do chaty.

— Raduj się — rzekł do żony — pojechał dwór na wesele, to ja siedzieć będę teraz z tobą, hołubko moja, choć rok cały!

I usiadł na ławie koło okienka, patrząc na krzątającą się żonę.

Ale Małaszka nie odpowiedziała słowa. Milcząc, zaczerpnęła wody z wiadra i napiła się trochę.

Po owym pamiętnym ranku zimowym nie widziała więcej hrabiego.

Przesunął się jak cień przez kilka minut tylko, a mimo to, wspomnienie o nim zostało w każdym kącie chaty.

Tę delikatną woń, jaką wydawały jego suknie — woń Jockey-clubu i wybornego tytoniu, Małaszka czuła ciągle koło siebie. Nosila teraz głowę bardzo wysoko, byłaby nawet rada, gdyby wszyscy widzieli jej hańbę wyrytą na czole. Gdyby nie wstrzymywała jej trwoga przed Julkiem, poszłaby do karczmy w niedzielę po południu i głośno, bez rumieńca, opowiedziałaby z drobnymi szczegółami wizytę hrabiego. Była dumna, że choć chwilę znalazła się w jego objęciach; zdawało się jej, że jest to szczytem szczęścia i dowodem wielkiej łaski fortuny.

Gdy pan hrabia opuszczał próg Julkowej chaty, upuścił przypadkiem na progu cienką chusteczkę. Małaszka schowała ją w głębi skrzyni. Gdy była sama, wyjmowała biały płatek i przykładała go do twarzy

— nie całowała go wszakże miłośnie, wciągała tylko w siebie woń angielskich perfum, tak jak przed kilkoma laty, siedząc na płocie, ocierała twarz o brudną i zatłuszczoną połę lokaja.

Z kredensu przeskoczyła nagle do salonu; teraz z litością myślała o Warce i krzaku berberysowym, przy którym odegrała się scena miłosna między lokajem i garderobianką.

Sądziła wszakże, że stosunek ten potrwa dłużej, że hrabia zapragnie zobaczyć ją raz jeszcze. Czekala pewna siebie i wrażenia, jakie zrobiła na zdenerwowanym paniczu.

Tymczasem dziś mąż jej spokojnie mówi, że państwo jadą na wesele, a on pozostaje w chacie.

Czy on pozostaje, jest to dla niej obojętne. Ale hrabia wyjeżdża!

Krzęta się więc po chacie chmurna, milcząca, rozpalając drżącymi rękoma ogień w piecu. Potem bierze się do obierania kartofli — ręce się jej trzęsą, oczy mgłą zachodzą. Siedzi na ławie naprzeciw Julka, palącego spokojnie fajkę i spoglądającego przez zamknięte okienko.

Za chwilę opuszczą powozy dworskie dziedziniec i przejadą bramę, aby więcej nie wrócić — odwiozą jaśnie państwa na stację kolejową, a potem już z tej samej stacji wysłane do Warszawy zostaną. Wówczas to skończy się jej marzenie, przepadnie nadzieja. Nagle do uszu Małaszki dochodzi hałas i wołanie. Julek zrywa się z ławki i wybiega. Małaszka w ślad za nim

— otwiera drzwi i staje na progu.

Przed bramą kilka powozów dworskich, Julek otwiera szeroko wrota, karety jedna po drugiej, czarne, zamknięte jak trumny, przesuwają się koło drżącej kobiety! W jednej z nich jest z pewnością on — może spojrzy, może przechyli głowę przez okno powozu.

Nie — na próżno! Hrabia otula teraz milionerkę ciepłym szalem i zapewnia ją o dostatecznym zapasie słodowych cukierków.

Pudła i koła karet przyprószone śniegiem, konie pokryte szronem.

Woźnice siedzą poważnie w swych futrzanych płaszczach. Zwierzęta ślizgają się, wyciągając szyje, a Julek ciągnie je za uzdy.

Puszysty dywan tłumi stuk i hałas, tylko z głębi powozu podnoszą się bardzo niecierpliwe głosy dam, lub gniewne słowa woźnicy.

Cały orszak sunął z wolna koło chaty, na progu której stała milcząca kobieta. Na koniec ostatnia kareta przebyła bramę i podążyła za innymi. Julek, zamknawszy wrota, poszedł do stajni zabrać swą odzież i niektóre sprzęty. We drzwiach chaty stała wciąż Małaszka, patrząc szklanym wzrokiem w przestrzeń.

Przed nią rozpościerał się biały całun śniegowy, a poza nim ściana lasu cudowny przedstawiała widok. Drzewa strojne w szklaną koronkę, miały

pnie zmienione w całe słupy kolumn. U góry gałęzie osrebrzone rysowały się wyraźnie na jasnym niebie.

Przejrzyste, białe sklepienie miało za ledwie odcień błękitu. Srebrne, słoneczne blaski świeciły, nie wydając ciepła. Wszystko leżało ciche, martwe, białe.

Małaszka przymknęła oczy.

Hrabia przeszedł przez jej życie jak cień, ale cień ten nie znikł wraz z nim samym. Odjechał, nie troszcząc się o nią — zapomniał, znieważył ją okrutnie. W sercu jej dotknięta została najdrażliwsza struna, bo jej pycha, niczym niepohamowana pycha! Skosztowała z upajającej czary i w tej samej chwili czara ta rozprysnęła się w tysiące kawałków. Ten człowiek był ciągle przy niej, oderwane słowa, czyny, uśmiechy, wszystko pamiętała do najdrobniejszych szczegółów. Przez tę krótką chwilę wrósł w jej duszę, stał się jej myślą, jej życiem. A dziś,

dziś odjechał bez spojrzenia, bez słowa żalu — zostawił ją samotną na progu chaty, z rozbudzonym pragnieniem widzenia go częściej. Czyż tak mało dała mu rozkoszy, że nie zapragnął więcej jej uścisku i spojrzenia ócz zielonych?

Małaszka schyliła głowę.

Zwątpiła o potędze swych wdzięków.

Dwie łzy zawisły na jej jasnych rzęsach.

Nie serdeczne jednak były to łzy, nie tęsknota i ból wyciskała je z oczu dumnej młodocy — zawiedziona pycha i zraniona miłość własna zmuszały ją do płaczu.

Harda jej głowa opadła na piersi, zniechęcenie i gorycz rozlały się na twarzy, ręce nerwowym ruchem szarpały zapasę.

Nagle podniosła głowę, zielone oczy błysnęły, wyraz zniechęcenia ustąpił jakiemuś prawie demonicznemu ogniewi, który oblał szkarłatnym rumieńcem policzki kobiety. Ponury cień zasępił jej czoło, ręce skurczyła, jak przed jakimś paroksyzmem nerwowym.

Szybkim ruchem zwróciła się ku bielejącej drodze, na której widniały jeszcze ślady kół powozowych; jedną rękę podniosła do góry, a grożąc nią w powietrzu, syknęła zaciśniętymi ustami.

Odtąd była zawsze ponura i milcząca.

Julek, który wiele obiecywał sobie szczęścia podczas tych krótkich wakacji, nie znalazł go w chacie.

Małazka odpowiadała mu ostro, lub nie mówiła doń wcale. Koło gospodarstwa chodziła skrzętnie, zdawało się, że nadmiarem pracy chce zagłuszyć w sobie wspomnienia.

Wstawiała pierwsza, kładła się spać ostatnia. W powierzchowności jej jednak zaszły pewne zmiany. Schowała głęboko do skrzyni haftowane koszule i uroczyste namitki — nosiła teraz zgrzebne płótno i ciemne perkale. Nie zbrzydła mimo to wcale, nawet ten ostry wyraz twarzy nadawał się do posągowego rodzaju jej

piękności. Ta bruzda, rysująca się między ściągniętymi brwiami, dawała jej pozór głębokiego zamyślenia.

Julek patrzył na nią smutny i zniechęcony. Pragnął szczęścia i wesela w domowej zagrodzie — znalazł natomiast odpychający chłód i obojętność. Szukał serca, przy którym by się mógł ogrzać, a trzymał w objęciach swoich marmurową bryłę, w której najgorętsza pieśczość nie mogła zbudzić życia.

Wprawdzie doświadczone, a stare baby twierdziły, że wiele do tej zmiany przyczynił się stan młodej mężatki, i obiecywały Julkowi wiele szczęścia, gdy dziecię pod ich strzechą zapłacze, ale słaba to była pociecha! — rzeczywistość była tak przykra, tak ciężka do zniesienia, że nawet myśl ojcostwa nie uśmiechała się mężowi.

Minęła zima i nadeszła ciepła, cudowna wiosna.

Julek z radością przywitał pierwsze promienie słońca, a gdy drobna, zielona trawka zaczęła pokrywać mogiłę wisielca, rzewne tony sierociej piosenki zadrżały w powietrzu.

Wrócił do swego dawnego ustronia; wolał tam siedzieć wśród drzew jeszcze bezlistnych i drobnych ziółek, wychodzących nieśmiało z ziemi, i „grać, grać, taj dumać!” — niż przebywać w chacie, po której układając haładyszki, krzątała się chmurna i smutna kobieta.

Siedział tam po dniach całych, przesiedział nawet i lato, aż wróciwszy pewnego sierpniowego wieczora, zastał w domu maleńkiego gościa, który drzemał spokojnie w plecionej kołysce, zawieszanej u pułapu.

Wielki, barczysty chłop pochylił się nad tą drobną, wątłą postacią i stał tak długo, wpatrzony w tę czerwoną i głupią buzię. Dziecko przez sen

uśmiechnęło się tym dziwnym uśmiechem, który jest właściwością tylko tych małych istotek.

Oczy Julka napełniły się łzami.

Był to syn, jego syn! jego dziecię! własność jego! Nie będzie teraz znów sam na świecie — ten maluchny robaczek będzie dlań ojcem, matką, żoną, wszystkim! wszystkim!...

Wzrok jego mimo woli ogarnął z miłością całą chatę i zatrzymał się na leżącej na tapczanie Małaszce.

Czerwony blask płonącego łuczywa oblewał twarz jej, zmęczoną fizycznym cierpieniem.

Policzki zapadły, a rysy się zaostrzyły. Patrzyła w ziemię, oparłszy brodę na łokciu.

Julek zbliżył się ku niej z wyciągniętymi rękoma.

Pragnął uścisnąć serdecznie matkę swego syna — kobietę, która mu dała taką słodką a nieznaną mu chwilę; chciał powiedzieć jej, ile szczęścia przepelnia mu serce i rozrywa piersi.

Zapomniał od razu o ciągłych waśniach i dawnych rozterkach.

W kobiecie, która mu truła życie, widział tylko matkę swego dziecięcia.

Dlatego to zbliżał się z taką tkliwością do leżącej Małaszki.

Ale ona rzuciła się nagle jak zraniona lwica.

Głuchy okrzyk wyrwał się z jej piersi, ręce wyciągnęła przed siebie, jak gdyby broniąc się od uścisku męża. Zgrzebna koszula spadła z jej ramion, a purpurowy blask ognia oblał jej posagowe łono. Straszna była w tej chwili — jakaś bezgraniczna rozpacz, a nawet trwoga łamała jej postać w kurczową linię

— oczy otwarte szeroko utkwiała w przerażonego męża. Po czym padła, ukrywając twarz w perkalowe poduszki.

Obnażone ramiona wstrząsnęły konwulsyjnym dreszczem. Zrobiła się nagle małą jak dziecko, tuliła się do siennika, drżąc i wymawiając niezrozumiałe słowa.

Julek odstał od tapczana i załamał ręce.

Dziecię w kołysce zapłakało.

Julek ujął za sznurek przyczepiony do kołyski i z wolna, ostrożnie kołysać zaczął.

Dziecię usnęło.

Dogasające łuczywo rzucało niepewne i nierówne blaski na wnętrze chaty.

Pod tą słomianą strzechą odgrywał się w tej chwili początek dramatu, do którego jeden z aktorów przed chwilą płaczem powitał ziemię.

Mały, niewinny aniołek spał w swej wyplatanej kołysce, nieświadom bólów i rozpaczy, jakie w tej chwili szarpały sercem jego ojca i matki.

Z namiętności ludzkich nie poznał jeszcze żadnej, ze smutków zrozumieć nic nie mógł, a przecież jego przyjście nie wywołało śmiechu w tej ciemnej izbie.

Ojciec stał smutny i przygnębiony, kołysząc machinalnie plecioną kolebkę; matka leżała, walcząc z jakimś strasznym widmem — wspomnieniem, które jak upiór od tak dawna serce jej rozdzierało.

Nawet anielski uśmiech dziecka nie wygnał z progu tej chaty cienia bladego panicza, który wśród zimowego poranka wsunął się jak wąż przez niskie drzwi tej chaty.

I dziś cień ten stoi wśród tych trojga istot i sieje rozpacz i zgryzotę.

Nagle łuczywo zagasło — ciemność zapanowała w izbie. Wśród ciszy nocnej słyhać było tylko łkanie Małuszki i ciężki oddech Julka.

Dziecię spało.

W kilka miesięcy później, szarą godziną zastukano do Julkowej chaty.

Małuszka otworzyła drzwi, i przez niski próg wsunął się Szmul, siwowłosy arendarz. Wszedłszy obejrzał się dokoła, widocznie rad był, że znalazł w chacie tylko młodą matkę. Julek wyszedł na chwilę do stajni, bo teraz siedział po całych dniach w chacie i kołysał plecioną kolebkę.

Nie chodził już grywać nad mogiłą wisielca.

Całą potrzebę kochania przelał na swego Stepanka i otulał go, powijał, a hołubił bez miary. Małuszka była właściwie ojcem, a on matką. Role ich zamieniły się.

Młoda kobieta podawała dziecku swemu pierś zimną, kamienną prawie; nigdy nie przytuliła syna do łona, nigdy nie zanuciła piosenki.

Za to Julek chodził koło maleństwa z pieczołowitością najdelikatniejszej kobiety; początkowo drżał na samą myśl dotknięcia się tego drobnego ciała. Zdawało mu się, że swymi grubymi rękoma zgniecie te różowe

nóżki i maluchne rączki. Ale widząc jak Małaszka ostro i nieuważnie przewijała dziecko, przewyciężył swą trwogę i sam zajął się synem. Małaszka milcząc, ustąpiła mu chętnie praw swoich, a nawet powierzyła mu pranie i suszenie pieluch. Julek z całym namaszczeniem podjął się tego trudnego aktu.

Miał wiele wolnego czasu — państwo nie wrócili jeszcze. Po ślubie córki, który odbył się z wielką okazałością w kościele Wizytek, wyjechali za granicę. Młoda para udała się także do Wiednia i tam na wyścigi traciła ojcowskie miliony.

Na koniec wróciła do Warszawy. Młoda hrabina po ciężkiej i strasznej męczarni wydała na świat równie bladego i zmęczonego syna. Dziecko nie rokowało długiego życia — tylko zdrowy i świeży pokarm mógł ratować i przedłużać jego wątłe istnienie. Mamki miejskie nie okazywały dostatecznych przymiotów; po wspólnej więc naradzie postanowiono sprowadzić z dóbr pani hrabiny jaką silną mołodycę, która by wraz z mlekiem swoim przelała choć setną część zdrowej krwi w żyły bladego hrabiątka.

— Niech będzie wysoka, a przede wszystkim ładna — mówiła mdlejącym głosem pani hrabina do swego pleniponenta.

Dygnitarz ten bawił od kilku dni w Warszawie w sprawach majątkowych.

Skłonił łysą głowę przed wyrocznią, strojną w koronki i batysty.

— Będzie wysoka i ładna — powtórzył z udaną pewnością siebie.

Wracając jednak na Ukrainę, zaczął tracić swą pewność.

Skąd u licha wezmę na poczekaniu wysoką i ładną? Ta wymokła hrabina myśli, że mamki rosną, jak grzyby po deszczu.

Po przyjeździe zawołał natychmiast Szmula i zwierzył mu się z życzenia hrabiny, które mu tyle kłopotu sprawiało.

Nadspodziewanie jednak Szmul mlasnął z radością językiem i wzruszył ramionami.

— Nu, co za kłopot! — rzekł — tu w chacie pod bramą jest taka fajna mołodyca, silna jak dąb, a wysoka, jak z przeproszeniem, sam jaśnie wielmożny hrabia; ona pójdzie z chęcią, ale trza ostrożnie, a delikatnie koło niej, bo tam mąż złośnik i grubianin. On jej nie zechce puścić, ale ja mam na nią sposoby...

Tu mrugnął figlarnie okiem, a poszeptawszy chwilę z plenipotentem, zakasał chałat i poszedł do Julkowej chaty.

— Nu, jakże zdrowie? — zapytał u progu, a widząc niechęć na twarzy gospodyni dodał: — Co to wy zawsze taka skrzywiona, jak środa na piątek? Ja do was z nowiną i bogactwem, a wy się krzywicie i spojrzeć nawet nie chcecie.

Małaszka podniosła głowę.

— Nowina? — spytała... myślała, że to hrabia powraca.

Patrzyła więc uważnie na żyda i ręką cisnęła bijące łono.

— Ot, przyjechał jasny plenipotent — zaczął żyd — i mówił mi, co jaśnie hrabina ma syna i kazał mi wiszukać we wszi dobre mamkę dla dziecka; ja pomi-

szalałem co wy jechać możecie, bo to i los i szczęście niemałe. Będzie pieniędzy kupa i podarków. To bardzo dobry interes. Mie Hapka Pazioszycha zaczęła i dawała odstępnę, ale ja przódy do was przyszedł, może z wami zrobię geszeft. Ale musicie mi dać faktornego tego czarnego byczka, co go macie w chlewiku. A to wam przysyła jaśnie wielmożny plenipotent na początek...

I kładł na stole różową asygnatę, a mrugał wciąż figlarnie i uśmiechał się dwuznacznie.

Małaszka aż pobladła z wielkiej radości.

Nie patrzyła na dziesięciorublówkę — pieniądze dla niej w tej chwili nie miały żadnego znaczenia; szczęście przepełniało jej całą istotę i mieniło się tysiącnymi odcieniami na jej zwykle zasepionej twarzy. Pojedzie do miasta, będzie chodzić w krasnych spódnicach i koralach po złożonych pokojach, jeść na gładkich, błyszczących talerzach!

Tysiące myśli krzyżują się w jej głowie jak błyskawica; ale rzecz dziwna... to, co ją najwięcej do Warszawy ciągnąć powinno, to jest sposobność widzenia hrabiego, utonęło w tym chaosie dumy i chęci zadowolenia próżności. Nie myśli o bladym paniczu; rzekłbyś, że nie dba o niego — drży cała i stojąc przed Szmulem, układa plany i zamiary na przyszłość. Dziecko, mąż, chata, swoi — nic nie istnieje dla tej zgorączkowanej kobiety; przed jej oczyma snuje się jakiś świat zaczarowany, jakies mgliste, niewyraźne obrazy, z których zapytana nie mogłaby zdać

dokładnej sprawy. Po kilku chwilach Szmul opuszcza chatę Julkową — na progu rzuca jeszcze jedno słowo:

— Nu! o dziesiątej coby wy byli gotowi; a nie gadajcie przed mężem... on i głupiec jeszcze was nie puści; potem, jak zobaczy jaki to dobry interes, to się przestanie złościć i ułagodzi. Ja tu będę czekał za chlewikiem i was na kolej odwozę. Tam będzie

Terpiłowski i was przypilnuje do Warszawy. Pamiętajcie, cobyście się nie spóźnili... bo wezmę Hapkę i wy straciecie los, a jaki los!...

— Nie zapomnę, nie zapomnę — upewniała Małaszka i drżącą od wzruszenia ręką otwierała niskie drzwi chaty opierając się o ścianę.

Czarna postać żyda zniknęła w szarym świetle dnia zachodzącego...

— O dziesiątej — wyrzekł, obracając się raz jeszcze.

— O dziesiątej — powtórzyła jak echo kobieta. Gdy Małaszka wróciła do izby, zastanowiła się. Powtórzyła za żydem o „dziesiątej” — ale skądże ona może wiedzieć, kiedy to będzie ta dziesiąta?

Bezpieczniej zrobi, gdy zaraz zwiąże węzełek i schowa się za chruścianą ścianką chlewika.

Julek może lada chwila wrócić — a tajemny głos ostrzegał ją, że w takim razie musiałaby pozostać w domu.

Na tę samą myśl ogarniał ją szal. Ona miałaby wyrzec się dobrowolnie takiego szczęścia — odstąpić innej to ziszczenie marzeń i snów swoich! Nigdy! Raczej z życiem pozwoli wydrzeć sobie zaszczyt zostania mamką hrabiowskiego dziecka.

Roztwiera szybko skrzynie i rzuca krasne spódnice, haftowane, koszule, zapaski i związuje je w nieładzie, z pośpiechem wielkim.

Dwie silne plamy występują jej na policzki.

Drży cała, pierś faluje pod zgrzebną koszulą, oczy błyszczą w ciemności, jak dwie gwiazdy odbite w zielonawej wodzie.

Już jest gotowa, biegnie do progu nieprzytomna, szalona.

Nagle ze środka ciemnej izby dolatuje płacz cichy, jakies niewyraźne łkanie.

Małaszka obraca głowę i zatrzymuje się chwilę.

To jej dziecko zbudzone, zapewne głodne, dopomina się o pierś matczyną.

Uciekająca kobieta doznała nagle dziwnego uczucia — było to pchnięcie noża, które przeszło jej serce. Zdawało się jej, że ktoś przykuł jej stopy do ziemi; lekki węzełek zarzucony na plecach zaciężył nagle, jak stufuntowy ciężar, i gniótł jej silne ramiona.

Dziecię płakało ciągle w swej plecionej kołysce; głos ten rozlegał się po ciemnej izbie coraz wyraźniej, doniosłej, śmielej. Wśród tej ciemnej izby, płaczliwy głos maleństwa zdawał się wołać, prosić, upominać...

Małuszka stała chwiejna, niezdecydowana, przełknięta prawie.

Nagle dał się słyszeć skrzyp bramy. To Julek wracający z dworskiej stajni do chaty. Jednym skokiem Małuszka przeskakuje ciemną sionkę i jak błyskawica niknie za ścianą chlewika.

Tam składa swój węzełek i czeka na Szmula.

Gdy Julek wszedł do chaty, zdziwił się niemało, nie zastawszy żony w izbie. Sądził, że poszła po wodę lub po ogień do sąsiadki.

Zapalił łuczywo i wziął na rękę płaczącego syna.

Tej nocy wszakże długo czekał na powrót żony, a dziecę na próżno płakało i skarżyło się żałośnie.

Dopiero nazajutrz dowiedział się, co się stało z tą, którą miłował małą dziewczynką, a potem krasawicą pod dach swój wprowadził.

Po pięknej i hardej młodycy zostało tylko malutkie dziecę, śpiące w plecionej kolebce, trochę szmat porozrzucanych i różowa dziesięciorublówka, zapomniana na stole.

Ogród Saski w Warszawie, to słusznie nazwany letni salon mieszkańców syreniego grodu.

Pod cieniami rozłożystych kasztanów ileż setek strojnych dam, szykownych dandysów, lub biało i niebiesko poubieranych dzieci.

Wszystko kręci się, chodzi, ogląda lub krytykuje. Tu romansuje bona, płaska i chuda Niemka, z kelnerem nocnych restauracyj. Tam znów młoda mężatka, żona urzędnika, spędza przedobiadowe chwile na wymianie czułych spojrzeń z operowym śpiewakiem. Tu młody farmaceuta, który zdaje od dwóch lat egzamina i marzy w samotnej alei o wstąpieniu na scenę w razie „spalenia” po raz trzeci.

Damy po największej części pozasiadały ławki, wysuwając nóżki w pąsowych lub kawowych pończoszkach. W rękę trzymają parasolki obszyte koronką i choć słońce pada im prosto na twarz, przechylają parasolki w tył, ażeby dać możność przechodniom podziwiać pudrowane

policzki i karminowe usteczka. Wszystkie te kobiety mają jasne, satynowe suknie, pióra na kapeluszach i długie duńskie rękawiczki.

Niektóre noszą iluzjowe woalki. Iluzja cudownie kryje zmarszczki i nadaje wyraz melancholii zwiędłym twarzyczkom. Mówią, a raczej szczebioczą szybko i głośno; niekiedy wołają małe, trzyletnie lub czteroletnie dzieci, upominając, aby się zachowywały grzecznie i przyglądają im grzywki.

Dzieci patrzą z udaną powagą spod swych wielkich „rembrandtów”, a oddaliwszy się od matek, nie omieszkują wpadać jak bomby na emerytów, lub rozbijać piłką okulary na nosie staruszek.

Staruszki łaja i gniewają się bardzo, odsyłając małych swawolników na tak zwany „trawnik dziecinnie”. Ależ to niepodobieństwo! — Tam mamki żydowskie poroziadały się ze swymi wózkami i całe potomstwo bankierów płacze lub gaworzy na tym „trawniku dziecinnym”.

Dlatego lepiej urodzone dzieci skaczą po alejach, przewracają się i wrzeszczą wniebogłosy.

Matki i bony uspokajają i łagodzą te gwałtowne oznaki rozdrażnienia nerwów.

Pod ożywczymi promieniami słońca ogród cały okrył się jasną zielonością, delikatną i lekką jak koronka. Koło krat łodygi powojów i chmielu powypuszczały cienkie latorośle, a jaśmin wydaje cudowny zapach.

Pod tymi ciemnymi gałęziami drzew spokojnie było, mimo gwaru, i błogo. Ten nadmiar życia nie drażnił tutaj. Ponad drzewami niebo czyste, bez chmurki, jasne jak kryształ; w powietrzu woń jaśminu i Jockey-clubu, którą te panie wносиły tu, jak do salonu.

Wszędzie, gdzie spojrzysz, jasne suknie, barwne pióra, pęki zieleni, świecące oczy, lub długie, koronkowe sukienki niemowląt. Wszystko to mieszało się razem i cisnęło pod oko.

Młodzi ludzie lub podstarzali donżuani przechadzali się po alejach z cienkimi laseczkami w rękach i kwiatkiem w ustach.

Przypatrywali się siedzącym lub przechodzącym kobietom, robiąc przy tym impertynenckie uwagi. Damy znajdowały jednak, że panowie ci są bardzo szykowni i w zamian za impertynencje spoglądały filuternie spod rzęs przyczernionych. Kilka sławnych piękności siedzi w tak zwanej

„owocowej alei". Te nie uśmiechają się i nie spoglądają filuternie. Mają swoją sławę i ustaloną reputację wdzięków.

Piękna doktorowa, spokojna i niewzruszona, patrzy wielkimi, czarnymi oczami na podziwiające ją tłumy z powagą królowej.

Niedaleko niej pani X, znana ze swej ekscentryczności, założywszy ręce po napoleońsku, z całą obojętnością przyjmuje komplementa i aluzje, dotyczące się jej czarnych włosów, lub długich na ośmnaście guzików rękawiczek. Same najpiękniejsze, najdziwaczniej ubrane, zebrały się koło owocarni.

Siedzą tam, czekają na adoratorów, ziewając lekko i przyglądając się sobie nawzajem.

Ale od kilku dni przybyła im rywalka.

Tak jest—rywalka, w krótkiej, czerwonej spódnicy i wyszytej koszuli.

Strój to chłopski, ale bogaty i zrobiony przez Hersego. Wygląda prawdziwie maskaradowo ta hrabiowska mamka, ale oryginalnością ukraińskiego kroju i pięknością twarzy zwraca ogólną uwagę. I teraz siedzi na jednej z ławek, opierając jedną nogę około białego, plecionego wózka, który porusza lekko. W wózku, za atlasowymi, niebieskimi firankami, widać twarzyczkę małego trupka, z zielonawą cerą i zsiniałymi powiekami. Trupek ten niby żyje, niby się uśmiecha, niby płacze.

Jedwabna kołderka, obszyta delikatną koronką, pokrywa wątle i chude członki. Mamka nachyla się i zagląda do wózka; nie czyni tego wszakże z troskliwości, nie, wcale — ona tylko od czasu do czasu schyla się, aby potem powstać nagle i zadziwić obecnych swym wzrostem i gibkością ciała.

Jedwabna, czerwona spódnica szeleści, a szelest ten sprawia jej rozkosz nieokreśloną. Dziwnym instynktem odgadła siedzibę najpierwszych piękności — tam skierowała swój wózek i rozsiadła się na jednej z ławek, dumna i uśmiechnięta. Uczyniła to z takim spokojem i pewnością siebie, jakby miejsce to zamówione dla niej czekało na nią od dawna. Nie osłania się przejrzystą iluzją — jej świeża, rumiana twarz nie boi się jasnych, słonecznych promieni.

Zielonymi oczyma patrzy na przechodzących, bez śladu zdziwienia, lub zazdrości. Te panie w różowych satinettach nie zachwycają jej wcale; ona woli swą krasną, jedwabną spódnicę, bo wie, że wyróżnia ją z tłumu.

Na ustach ma nawet uśmiech szyderczy; gdy garstka zdziwionych stanie przed nią, nie rumieni się i nie spuszcza oczu ta harda młodyca; patrzy wprost przed

siebie, a tylko delikatne jej nozdrza poruszają się lekko. Rzekłbyś, że wciąga w siebie upajającą woń pochlebnych słówek i zachwytów nad jej urodą.

Zbytecznie, zdaje się, jest dodawać, że tą hrabiowską mamką, rozsiadającą się w owocowej alei Saskiego Ogrodu, jest nasza Małaszka.

Uciekła więc naprawdę tej ciemnej, letniej nocy, uciekła z chaty, w której tak rzewnie płakało jej dziecko. Nic jej nie wstrzymało; z gorączką w sercu i na twarzy weszła do wspaniałej sypialni hrabiny i wzięła na rękę chude i nędzne paniątko. Uśmiechała się doń nawet i hołubiła — wiedziała, że tak robić powinna, choć ten trup żyjący sprawiał jej odrazę. Hrabiego nie było w Warszawie, spodziewano się jego powrotu za kilka tygodni — mogła więc Małaszka namyślić się i ułożyć plan dalszego postępowania. On zapomniał o niej, a ona pragnęła pozornie zapomnieć o nim. Codziennie słyszała zachwyty nad swą urodą, wzrostem — słowem, nad całą postacią. Uczuła się bardzo piękną i uraza do hrabiego spotęgowała się w jej sercu. Na wsi, w niskiej chacie, przy Julku, straciła już wiarę w moc swych wdzięków — tu, wśród tych złocistych luster i świec jarzących, zdumiała nad czałem, który wiał z całej jej istoty.

Teraz stawała długo i często przed wielkimi zwierciadłami, uśmiechając się do siebie i przybierając wdzięczne pozy. Rzekłbyś, że to model z profesji, wyćwiczony przed sztalugami najwybredniejszych malarzy. Gdy dziecko spało — ona zdejmowała zeń błękitną kołderkę i drapowała na sobie jedwab i koronki, owijając swą głowę w te lśniące błękity.

Patrzyła wtedy w wielkie lustro w złożonych ramach, i obracała się profilem lub en face, nagarniając jasne włosy nad czoło.

Duma jej rosła z dniem każdym. Stała się kapryśną, wymagającą. Spała długo i gniewała się, gdy dziecko sen

jej przerywało. Szczypała je wówczas i życzyła w nadmiarze uczucia, aby „mu oczy na wierzch wyszły...”

Jeśli na krzyk dziecięcia wchodziła rezydentka, panna lub wreszcie sama hrabina, zmieniała natychmiast ton mowy i ubolewała, że „biedna dziecina śpi niespokojnie”.

Pochylała się wówczas nad rozkrzyczanym dzieckiem i huśtała je na rękach, nucąc przy tym piosenki. Hrabina lubiła ją bardzo. Zachwycała się jej urodą i troskliwą opieką, którą rozciągała nad hrabiątkiem.

Rzeczywiście, Małaszka nie dała nikomu zbliżyć się do dziecka.

Troskliwość ta pochodziła z bardzo naturalnej przyczyny: obawiała się, aby nie dostrzeżono sinych znaków, pochodzących z jej wybuchów miłości dla wychowanka. Dla hrabiny jednak rzecz ta przedstawiała się inaczej. Małaszka tak naturalnie prosiła ją, aby nikt się do niej nie wtrącał — skarżyła się, że jej dziecko zaziębia lub przełamia, a ona potem „naciągać” je będzie musiała.

Hrabina bała się owego „naciągania” i zakazała jakiegokolwiek kontroli nad postępowaniem mamki.

Została więc panią sytuacji. Powoli o władnęła całą służbę. Słyszała, jak doktor mówił, że płacz mamki działa zabójczo na dziecko — szlochała więc przy najmniejszej okazji i płakała bez łez. Tarła suche oczy pieluchą, a gdy były dość czerwone, skrapiała policzki wodą, robiąc sobie tym sposobem sztuczne łzy.

Hrabina ze względu na dobro swego syna ustępowała jej we wszystkim i nakazała całej służbie, aby ostrożnie obchodziła się z mamką. Wskutek tego nakazu znienawidzono Małazkę tak w kuchni jak w garderobie. Nazywano ją po cichu „mamczurą” i wymyślano na nią niestworzone brednie.

W oczy jednak ulegano jej despotyzmowi i znoszono jej kaprysy z pozorną uległością.

Udawano się czasem pod jej protekcję — ona przyrzekała wstawić się do pani, z miną dygnitarza. Siedząc na sofie obitej brokatelą, i trzymając na ręku tę masę koronek, wstążek, zielonawej skóry i kilku kosteczek, które miały reprezentować potomka hrabiowskiego rodu, udzielała łaskawie posłuchania i uśmiechała się, naśladując, o ile mogła panią hrabinę. Nosila teraz cieniuchne, webowe koszule i udawała, że się nie może obejść bez chustki do nosa. Miała buciki na wysokich obcasach, które niemiłosiernie wykoślawiała.

Co rano z hrabiowskiej kamienicy wyjeżdżał biało lakierowany wózek, popychany przez podrostka w szarej liberii z błyszczącymi guzikami. Małaszka szła obok, trzymając w ręku elegancki koszyczek z bielizną dziecka.

Gdyby ów koszyk nie miał jedwabnych sznurków i nie był tak szykownie wypleciony, nie wzięłaby go za nic do ręki.

Małaszka zaczęła rozpoznawać piękno i odróżniała elegancję od pospolitości.

Dobierała zawsze harmonijne barwy wstążek i paciorek, które wiązała na szyi; zrzuciła namitki, a natomiast stroiła głowę w czerwone, jedwabne chustki.

Obcięła sobie grzywkę i zakręcała ją w tysiące loczków.

Gdy nadeszły przyjaciółki hrabiny i wołano ją do salonu, wchodziła z uśmiechem, witając niskim schyleniem głowy zebrane osoby. Skoro te panie brały na rękę poduszkę z dzieckiem — ona opierała się z wdziękiem o wysokie, rzeźbione krzesło i stała tak, pozwalając się podziwiać i chwalić.

Pewnego dnia bankierowa X... zapytała ją, czy nie tęskni za swoim synem.

Małaszka spuściła oczy i namyślała się nad odpowiedzią. Nie chciała wydać się złą matką, a przyznając się do tęsknoty, bała się przyspieszyć powrót do domu, o którym myśleć bez trwogi nie mogła.

Stała więc w milczeniu, bawiąc się szeroką, jedwabną taśmą, której końce spadały od stanu aż do kolan.

Pani hrabina przyszła z pomocą swej ulubienicy.

— Z pewnością tęskni — rzekła z głębokim przekonaniem o prawdzie słów swoich — tęskni bardzo, ale cóż robić? Nie mówmy jednak o tym, bo każda jej zgryzota, to trucizna dla mego Manusia...

Zgromadzone damy zaczęły ubolewać, kiwając głowami. Pióra u kapeluszy szeleściły, wydając szmer podobny do spadających liści.

Chcąc oszczędzić mamce zgryzoty, a tym samym nie truć hrabiego Manusia, zaczęły panie wypytywać stojącą wśród nich kobietę o imię, wiek dziecięcia, na czyjej opiece zostało itd.

Bawiły się w dobre i łaskawe damy, udawały troskliwość i szczególne zajęcie...

Przebiegła chłopka odgadła natychmiast, jaką rolę zagrać w tej komedii powinna.

Przybrała żalną minę i stłumionym głosem opowiadała, ile to łąz kosztowało ją rozstanie się z ukochanym synem.

Mówiła powoli, śledząc wrażenie słów swoich.

Rezultatem tej sceny było rozrzewnienie ogólne i otworzenie eleganckich maluchnych portmonetek, które panie miały w kieszonkach dolmanów.

Kilkanaście rubli, danych na „pieluszki” dla Stepanka, spadło na fartuch

Małazki. Za kilka dni szeleściła jedwabna, pąsowa spódnica, która od dawna stanowiła jedyny cel marzeń dumnej młodocy. Hrabina kupowała jej kaszmirowe lub tybetowe spódnice — ona zapragnęła jedwabiu. Teraz dumna kroczy

wśród strojnego tłumu po zwirowanych alejach ogrodu, bijąc z daleka w oczy szkarłatnym kolorem stroju.

Odtrąca od siebie myśl o przeszłości, żyje terażniejszością; upaja się snem szczęścia — nic jej nie brakuje tylko... hrabiego.

Gdy on powróci, musi przypomnieć sobie ten ranek zimowy, gdy ona drżąca i ciepła jeszcze snem nocnym, przypadła mu wpół ubrana do kolan. Och! Ona powtórzy raz jeszcze tę scenę miłosną, tylko role muszą być zmienione. W nieograniczonej swej dumie chce zmusić hrabiego do padnięcia u jej kolan.

On klęczeć przed nią musi, tak jak ona przed nim w swej chacie klęczała. I podnosiła głowę wysoko, marszcząc brwi, jakby miała już u stóp swych jasnego pana w modnym anglezie.

Wzruszyła ramionami z pyszną obojętnością i zakładała ręce na piersiach. Patrząc z boku, można by przypuścić, że to która z artystek próbuje rolę kokietki.

Rzeczywiście, była to próba z dramatu, którego akcję główną prowadziła właśnie ta wysmukła chłopka, siedząc w jedwabnej spódnicy i

różnobarwnych koralach, na ławce w owocowej alei miejskiego ogrodu.

Była to artystka skończona. Nie robiąc studiów a la Sarah Bernhardt, czarowała widzów to niezrównanym wdziękiem wiejskiej młodocy, to pozą lub finezją miejskiej kobiety.

Miała na zawołanie śmiech i łzy — pokorę lub dumę — wdzięk kotki lub majestat królowej. Jak zręczny pajak roztaczała swe siatki i za pośrednictwem dziecka podbijała serce matki. O swoim synu nie myślała

nigdy; pierwszy i ostatni raz rozrzewniła swoją opowieścią miłosierne damy. Kupiła sobie za tę opo-

wieść spódnicę i dała pokój macierzyńskim sentymentom.

Gdy Julek, nazajutrz po ucieczce Małaszki, dowiedział się całej prawdy, jęknął boleśnie i zatoczył się jak pijany.

Uciekła!

Uciekła wśród nocy, rzucając dom, dziecko i jego — uciekła do ludzi, do miasta...

Na służbę. Po co? Czy jej tu źle było?

I błędnymi oczyma powiódł po ścianach chaty. Nic nie brakowało. Tyle garnków, tyle misek — nawet dwie stłuczone filiżanki, które sam skleił, stary dywanik z sanek, obrazek z pudełka od chustek, które znalazł na śmieciach... Obrazek ten zawiesił nad oknem. Była tam głowa blondynki w różowej, mocno dekolowanej sukni i w lila kapeluszu z piórami.

Pamiętał, że Małaszka częściej stawiała przed tym obrazkiem, jak przed obrazami świętych i wizerunkiem Pana Jezusa. Patrzył teraz na malowaną twarz blondynki i znajdował pewne podobieństwo w tej czerwonej twarzy do swej żony.

Obejrzał się dokoła — na podłodze leżały w nieładzie stare suknie i koszule. Każdy gałganek, każda szmatka zdawała mu się szeptać imię tej, która tak bezlitośnie odeszła w dal, zostawiając małą biedną dziecinę, płaczącą w kołysce.

Nie kochał jej... znienawidził ją!

Gniewnymi rękami schwycił leżące na ziemi ubranie i wrzucił w rozwartą skrzynię.

Na dnie skrzyni dostrzegł cienką batystową chusteczkę, ozdobioną hrabiowską koroną. Schwycił ten cienki płatek i długą chwilę patrzył nań z podziwem.

Skąd w jego chacie znalazł się ten batyst? Dlaczego był ukryty na dnie skrzyni? Nie domyślał się wszakże prawdy. Małaszka nie wychodziła

prawie z chaty, siedziała zawsze chmurna i milcząca. Musiała tę chustkę znaleźć kiedy przed bramą i schowała ją...

Wrzucił więc chustkę na dawne miejsce i zatrzasnął wieko skrzyni z taką siłą, jakby pragnął w niej raz na zawsze pogrześć nawet wspomnienie o tej kobiecie, którą kochał jeszcze małym brudnym dziecięciem.

Znienawidził ją.

Zwrócił się do kołyski i na głowie swego syna złożył gorący, długi pocałunek.

— Sieroto moja!... — wyszeptał, tuląc dziecię do siebie — sieroto moja!...

I zaczął sam zajmować się dzieckiem — poił je mlekiem z cierpliwością anielską.

Nieraz nie kładł się wcale, całą noc bosy chodził po izbie, kołysząc krzyczące dziecię na rękach.

Uspokajał je i zabawiał, pokazując mu rozmaite figle na cieniu, które jednak nie zajmowały wcale rozplakanej dzieciny.

Mleko szkodziło dziecku; podawano mu je zimne, nie rozpuszczone wodą — z dniem każdym chłopiec chudł i mizerniał. Krzyczał po całych dniach i nocach. Julek zamiast przywołać którąkolwiek z sąsiadek, niepojętym uporem wiedziony, zamykał chatę przed życzliwymi. Rad by skryć się z swą hańbą pod ziemię — wstydził się swego opuszczenia i zdrady żony. Bał się litości i ubolewań ogółu. Wiedział, że dziecko niknie i ucieka mu z chaty daleko, ale sam przed sobą taił straszną prawdę.

Teraz, gdy ten mały był jego światem całym, nie chciał przypuścić, aby Bóg odebrał mu to dziecię w takiej chwili. Ale Stepanek z każdym słońca wschodem stawał się bledszy i leżał jak figurka woskowa w swojej plecionej kołysce. Gdy ojciec pochylał się nad

nim, szukając jego spojrzenia, dziecię zachowywało się martwo, jakby jakiś cień padł na jego oczy. Na drobnej, znędznięłej twarzyczce, zarysował się z wolna wyraz właściwy tylko konającym — anioł śmierci z wolna rozsuwał swą zasłonę nad opuszczonym dziecięciem. Nie umiano w tej chacie ocenić szczęścia, jakie Bóg zesłał w postaci tej małej dzieciny — odchodziło więc w nieznaną dal, poskarżyć się aniołom skrzydlatym. I odeszło w noc letnią, ciepłą, taką samą, w jaką przyszło na ten świat boży. Rok istniało na świecie i przeżyło wiele nędzy, głodu i braku. Zasnęło cicho, spokojnie, na ręku odrętwiałego z bólu Julka. Skończyło się.

W chacie było cicho, cicho bardzo.

Dogasające łuczywo rzucało czerwony blask na całą izbę i oblewało postać nieszczęśliwego ojca z martwym synem na ręku.

Przez otwarte drzwi wpadł do chaty prąd ciepłego świeżego powietrza.

Umarło! Umarło!

Julek nie płakał, obłąkanym wzrokiem tylko patrzył przed siebie. Ścisnęło go w gardle; na ziemi dostrzegł ciemną perkalową koszulkę. Stepanek nie włoży już jej więcej — on leży zimny i martwy z twarzyczką szernią, z oczkami zamkniętymi.

Julek wstał i złożył martwe dziecko w kołysce, potem ścisnął skronie swe, jak gdyby czuł, że czaszka mu pęknie.

Obejrzał się wokoło i nie mógł przypomnieć sobie, gdzie się znajduje.

Zaczął myśleć, ale to myślenie sprawiło mu ból niewypowiedziany.

Wiedział tylko jedno, że jest ojcem i że to jego dziecko śpi w kołysce.

Wziął znów dziecko na rękę i zaczął z nim chodzić po izbie, huśtając je i kołysząc bezustannie.

Nie czuł zimna i sztywności trupa, owszem okrywał go pocałunkami i przemawiał doń najczulszym głosem.

Trwało to do rana; gdy słońce weszło i pierwsze jego promienie wpadły do chaty, on chodził jeszcze po ciasnej izbie, kołysząc martwe dziecko na rękach.

Razem z duszyczką dziecka i dusza tego nieszczęśliwego uleciała bezpowrotnie, pozostały tylko dwa ciała, z których jedno miało jeszcze pozory życia...

Całe lata składały się na tę jedną chwilę. Nosząc już w sobie skłonność do melancholii, którą rozwinęła samotność i częste przesiadywanie w lesie — Julek stracił rozum — zwariował!

Było to ciche, spokojne obłąkanie — nie robił nikomu nic złego — siedział w swej chacie przy pustej kołysce, lub prał i suszył czyste podarte pieluszki.

Gdy mu dziecko zabierano i wieziono na cmentarz, oddał je bez oporu — w jego przekonaniu, Stepanek żył ciągle, widział go, pieścił, kołysał, mówił doń i uspokajał.

Dziecię to było dla niego widzialnym — imienia matki nie wymówił wszakże nigdy.

Zdawało się, że o niej zapomniał zupełnie.

Ludzie z początku bali się i uciekali przed nim.

Widząc wszakże, że jest równie spokojnym jak dawniej, przywykli i oswoili się z jego stanem. Często pytano go o zdrowie dziecka, na co odpowiadał zwykle pomyślnie i z uprzejmością wielką. Gospodarstwem zajmował się jako tako, a zresztą potrzebował teraz bardzo mało. Nikt nie wiedział, czym żyje i co robi. Zapuścił brodę i długie włosy. Wzrok miał błędny i jakby zamglony. Chodził wolno i trzymał się bardzo pochyło. Czasem tarł ręką czoło, jakby pragnąc coś sobie przypomnieć. Stawał i zamyślał się. Potem zrywał się i szedł i do chaty kołysać próżną kołyskę. Całe noce spędzał chodząc po izbie i nosząc na rękę fikcyjne

dziecko. Nad ranem padał na ziemię znużony i zasypiał snem twardym, kamiennym.

Dlaczego się zeń budził? Czy nie lepiej stokroć byłoby, gdyby to ciało pozostało nieruchome i senne na wieki?

Podzwrotnikowe gorąco!

Hrabina nie może dłużej wytrzymać w oszklonej altanie fotografa.

Schodzi powoli z krętych wschodów, ocierając pot z czoła.

— Nie mam siły... — mówi mdlejącym głosem.

— Niech pani hrabina przejdzie do buduaru — prosi jasnobrody fotograf — my tu sami damy radę i krzywdy pieszczoszki nie zrobimy.

Hrabina uległa rozsądnej perswazji i wchodzi do ciemnego pokoiku, powleczonego białym i czerwonym kretonem, na podobieństwo dziesięciocentowych muzeów wiedeńskich.

Tymczasem na górze, w atelier, rozlega się krzyk pieszczoszka, którego podobiznę zdejmują dziś po raz czwarty.

Malec siedzi na kolanach mamki i roztwierając szeroko buzię, wrzeszczy wniebogłosy. Boi się ciemno pokrytej maszyny i samego fotografa. Jest to bez wątpienia bardzo wdzięczny obrazek rodzajowy, który malarz przeniósłby na płótno i podpisał: „płaczące chłopię” — ale fotograf innego jest zdania; pragnie uspokoić rozgrymaszone dziecko i pokazuje mu w tym celu zakurzone koszycki i połamane wazony. Ale prześliczne te rzeczy wywołują jeszcze większy lament i rozpacz ze strony Maniusia.

Widocznie jest dziś zdenerwowany i jawnie protestuje przeciwko wszystkim wynalazkom nowoczesnym.

Na wschodach dają się słyszeć męskie kroki — po chwili do atelier wchodzi sam hrabia...

Powrócił przedwczoraj — a ponieważ zajęcie się dzieckiem uważa za nader miłą dywersję wśród swych innych zajęć — dowiedziawszy się w domu, że pani hrabina pojechała do fotografa, sam podążył za nimi.

Wszedł więc do altany, niosąc ze sobą jasność letniego garnituru i woń Jockey-clubu. Na wschodach już śmieje się hałaśliwie i pyta: czy fotografia się udała. Małuszka drży i blednie. Stoi właśnie na środku altany z dzieckiem na ręku, a promienie słońca oblewają całą jej postać. W jednej chwili jednak odzyskuje całą przytomność — czuje, że od tej sekundy cała jej przyszłość zależy — wie, że wrażenie, które wywoła, pociągnie za sobą cały szereg wspomnień, mglistych obrazów niedawnej przeszłości... Podnosi hardo głowę i za chwilę uśmiech zmysłowy rozsiania jej purpurowe wilgotne usta. Oczy, usta, cała postać uśmiechają się dziwnym, nieokreślonym czarem; jedwab purpurowy szeleści, a korale dzwonią, gdy powoli przechyliła się ku przodowi.

Gdy hrabia wchodzi i spogląda ze zdumieniem na nią — ona wesółą, roześmianą, pochyla się jeszcze bardziej naprzód.

Wita go niby niskim chłopskim ukłonem, a przecież głowy nie zgina, karku dumnego nie chyli. Tchnie całą weselem, rozkoszą, zdrowiem. Hrabia ogarnia całą jej istotę jednym rzutem oka — przypomina sobie, że widział gdzieś twarz tę śmiejącą się żywym rumieńcem, jakieś dreszcze przebiegają jego ciało... Przybliżyła się. Małuszka podaje mu dziecko — a pochylając się zrećźnie, szepce: „panyczu mój...”

To dosyć! — w umyśle hrabiego z zadziwiającą dokładnością zarysowują się wypadki tego zimowego poranku, w którym to słowo owionęło go całego.

— To ty! — pyta zdziwioną wpatrzoną weń kobietę.

Na to pytanie zielone oko, z taką tkliwością patrzące w niego, zapala się fosforycznym ogniem.

— To ja — odpowiada krótko i ostro.

O ileż głos ten brzmi dziwniej, niemiłej. Nie ma w nim tej prośby, namiętnej, stłumionej prośby, jaka brzmi przy słowach: „panyczu mój”.

— To ja! — odpowiada sucho, bezdźwięcznie. Cały żal, a zarazem i uraza tajona przez lat tyle,

składa się na te dwa słowa. Hrabia nie chce jednak zrozumieć, za co może mieć doń urazę ta piękna młodyca.

Wszedł rankiem zimowym do chaty i zastał ją półseną: przypadła mu do nóg, on uczynił jej ten zaszczyt, że od stóp swoich podniósł ją do uścisku, do objęć. Potem... zapomniał. Miły Boże! tak się zawsze robi. Nie pamiętał na trzeci dzień o chacie koło bramy. Dziś widzi kobietę znowu, pełną krasy i zdrowia, piękną w tych jedwabiach i haftach, i ciepły prąd przebiega jego ciało; patrzy, a gorąco panujące pod szklanym dachem altany, ciśnie mu czaszkę i rozsadza żyły.

Fotograf wyszedł do swej pracowni, aby przygotować płytę, oni zostali sami wśród porzrzucanych płócien, szezlongów, tekturowych brzoź i dywanów z siana. Pomiedzy nimi mały Marianek, nieufny i zachmurzony, spoglądał na ojca. Dziecię to dzieliło ich.

Pragnął ująć jej rękę — tę, która była wolną; usunęła ją z dumą królowej. Hrabia cofnął się zdziwiony pod naciskiem tego wzroku.

— Dlaczego się usuwasz? — zapytał, nie przyzwyczajony do oporu. — Podobasz mi się, pamiętam cię w chacie przy bramie, moja piękna... Słuchała go milcząc, z miną nawet surową; uśmiechem zmusiła go do przypomnienia sobie zimowego

ranka, teraz uśmiech ten ukryła, a przybrała zimną, lodową maskę.

Opanowany szaloną żądzą, podnieconą dziwnym zachowaniem się kobiety, wyciągnął znów ręce. Zbliżył się i całował jej haftowaną cienką koszulę. Przez pajęczę płótno czuł ciepłe, miękkie ciało, które ugięło się pod dotknięciem drżących ust jego.

Ona stała sztywna, z zaciśniętymi wargami.

On tymczasem schwycił jej rękę obnażoną i zsunąwszy szeroki rękaw koszuli, okrył ją chciwymi pocałunkami.

Marianek zapłakał. Choć Małaszka biła i szczypała biedne dziecko — ono w prostocie swej niewinnej duszyczki przywiązało się do swej karmicielki. Nie znając się na wybuchach namiętności, sądziło, że hrabia wyrządza jakąś dotkliwą krzywdę Małaszce.

Ale hrabia nie słyszał płaczu dziecka: namiętność nie chciała uciszyć się. Pochylił się nad nią, patrzył na jej szyję, gdzie wiły się drobne włoski.

— Chcę cię zobaczyć... — szepnął prawie rozkazująco.

Ale ona poprawiła dziecku koronkę u koszuli i z pyszną obojętnością odeszła, zostawiając go na środku altany. Gdy się odwrócił, ujrzał ją rozmawiającą z wielkim spokojem z panią hrabiną, która w tej chwili weszła.

Małaszka zdawała sprawę z niefortunnych prób fotograficznych i żaliła się z miną niezadowoloną, że wskutek tego ona sama wyrzec się musi posiadania swego wizerunku.

Hrabina namawiała do jeszcze jednej próby tym bardziej, że dziecię się uspokoiło. Fotograf powrócił i zaczęto układać mamkę wraz z dzieckiem, a jeszcze południowe światło oblewało srebrem i złotem pozującą kobietę.

Marianek znudzony i zmęczony, usnął na jej ramieniu —ona zwróciwszy pełnym harmonii ruchem śpiącą twarzyczkę dziecka od siebie, stanęła na tle malowanego krajobrazu prosto, posągowo, nieruchomie prawie. Jedną ręką przytrzymała dziecię, drugą wsparła o tekturową skałę. Zwróciła głowę na bok, a klasyczny prawie profil zarysował się delikatną linią w powietrzu.

Fotograf nie miał nic do zarzucenia — chwalił głośno zmysł estetyczny tej chłopki, która tak piękną linią bezwiednie odcinała się w tej chwili od ciemnego tła krajobrazu.

Hrabina uśmiechała się wskazując mężowi na swą faworytkę i odnajdując w niej niebывałe przymioty i zalety ducha.

Hrabiego mało obchodziła w tej chwili duchowa strona tej kobiety. Myślał on o czym innym — wśród tego cieplarnianego gorąca, pod tymi drobnymi szybami szklanego dachu mieniła się dlań ona jak cudny kwiat zamorski, pełen woni i słonecznych blasków. Ona zaś musiała odczuwać całą potęgę wrażenia, jakie uczyniła — stała nieruchoma, piękna, jak posąg wykuty z jednej twardej bryły. Tylko błękitna siatka żyłek, widnych na skroniach, nabiegła krwią, a oczy przysłaniały przelotne blaski. Była szczęśliwą, bardzo szczęśliwą.

I odtąd zaczęły się dla kobiety tej dnie niewypowiedzianej rozkoszy. Stawiała opór żądzy hrabiego i w ten sposób podniecała go. Przesuwała się po to, aby zniknąć jak widmo senne. Nieraz wchodziła wczesnym rankiem do hrabiowskiej sypialni, niosąc na ręku Marianka w koszulce. Podawała dziecko na wpół rozspanej hrabinie, a sama stawała w progu,

opierając się o ciemną aksamitną portierę. Stała tak z oczyma wpatrzonymi w przestrzeń, milcząca, czekając do chwili, w której hrabina znudzona zabawą z synem, zawoła ją do siebie. Hrabia milczał także, otwierając na wpół

senne oczy i obejmując wzrokiem tę kobietę, która jak senne zjawisko zjawiała się co rana na tle ciemnej kotary, aby po krótkiej chwili zniknąć w fałdach aksamitu. Myślał potem o niej, pijąc kawę, lub czesząc rzadkie włosy. Zdawała się nie dostrzegać go — miała twarz obojętną i na pozór znudzoną.

Raz spotkał ją na wschodach, wracającą z południowego spaceru — niosła na ręku dziecko, i zarumieniona od sierpniowego gorąca, oddychała ciężko. Zatrzymał ją, zastępując jej drogę, ale ona królewskim ruchem odsunęła na bok dumnego pana. I on, lew salonów, pogromca serc niewieścich, usunął się przed tą wyciągniętą ręką, strojną w haftowany rękaw chłopskiej koszuli, i patrzył oglupiałym wzrokiem, jak z szelestem jedwabnej spódnicy, szła dalej po wschodach, aż znikła na skřęcie.

Małaszka oddychała teraz pełną piersią, używała do woli uczucia nasyconej zemsty, widziała męki hrabiego, a fantazja jej pracowała całą siłą nad wymyślaniem tysiąca środków, którymi pobudzając namiętność swego pana, mogła ją doprowadzić do szczytu.

Raz w nocy zastukała do drzwi sypialni hrabiny, wołając o ratunek. Marianek według słów jej był bardzo chory. Miał gorączkę — rzucał się w swej kołysce i płakał bezustannie. Hrabina przerażona wybiegła wpół ubrana, zastała Małaszke boso i w naprędcie narzuconej bieliźnie; chciała iść do syna, Małaszka zatrzymała ją — trzeba zbudzić pana hrabiego, może on co poradzi.

Hrabina wróciła do sypialni i po chwili wbiegła do dziecinnego pokoju, ciągnąc męża za sobą. Zastali przy kołysce Małaszke pochyloną nad płaczącym chłopcem. Marianek nie miał wprawdzie gorączki, ale krzyczał głośno: pokazując na rączki i wołając: „kuku”.

W dziecinnym języku słowo „kuku” oznacza „boli”. Niebieska lampa paliła się zawieszona u sufitu,

oblewając mdławym blaskiem porozrzucaną bieliznę, pościel i miękkie, niskie sprzęty.

Zapomniane w kącie zabawki zdawały się drzemać w tym półświecie, tekturowy pajac w czerwonej sukience wykrzywił swą podrapaną twarzyczkę i zdawał się płakać razem z krzyczącym w kołysce dzieckiem. Małutkie krzeselko leżało przewrócone na dywanie, obok grzechotki i kościanego łóżka.

Wchodząc, hrabia potknął się o to małe krzesło wybite czerwonym adamaszkiem, machinalnie podniósł je; gdy chciał postawić sprzęt na właściwym miejscu — wzrok jego padł na pochyloną nad dzieckiem Małazkę.

Ona zdawała się oczekiwać tylko tej chwili — podniosła się i wyprostowała. Potężne ramiona oblało błękitne światło lampy, spadająca z tych ramion koszula odkrywała olśniewający biust, modelowany na wzór starożytnych posągów.

Głowa uwolniona z więzów kraśnej chustki zdumiewała czystością linii — włosy przy ślubie odcięte, teraz odrosły i spadały do połowy pleców, wijąc się po szyi jasną złotą kaskadą.

Obok niej hrabina, wątła, drobna postać z zapadłą piersią i chudymi, długimi rękami.

Można pani stała tam jakby dla kontrastu, dla porównania. Wzrok hrabiego błędził od jednej do drugiej, aż na koniec zatrzymał się na Małaszce.

Dziecko w kołysce przestało płakać i patrzyło zdziwionymi oczami na te odwiedziny rodziców — rzecz zupełnie niezwykła o podobnej porze. Hrabina zdziwiona, nie widząc śladu gorączki, ani chorobliwych symptomatów, zaczęła robić wymówki Małaszce, że zupełnie niepotrzebnie przerwała jej sen, tak potrzebny dla jej zdrowia.

Małazka nie odpowiedziała nic, schyliła się tylko i wzięła dziecko na rękę. Marianek krzyknął boleśnie i zaczął się wrywać z objęć mamki. Pod haftowaną kołderką ręka Małazki szczypała białe i delikatne ciało dzieciny.

Hrabina przerażona rzuciła się ku dziecku... — Niech jaśnie pani przyniesie ten ocet, co stoi koło lustra — zaordynowała mamka drżącej z trwogi o dziecko matce.

Hrabina w jednej chwili znikła za drzwiami.

Była to istota nieporadna, a zwłaszcza w stanowczej chwili, chwytła ze skwapliwością każdą podaną sobie radę.

Teraz biegła po ocet toaletowy, sama nie wiedząc po co i dlaczego. Dziecko było chore i krzyczało, ktoś kazał jej przynieść octu — śpieszyła się więc, gubiąc aksamitne pantofelki po drodze. W dziecinnym pokoju został hrabia i Małaszka. Ta ostatnia położyła dziecko do kołyski, które natychmiast płakać przestało — potem usiadła na niskim taburecie i bosą nogą oparłszy o biegun kołyski, miarowym ruchem opuszczając i podnosząc je zaczęła. Hrabia zbliżył się ku niej i pochylił się tak blisko, że gorący oddech uczuła na szyi. Ta cisza nocna, to półświatło i ją zaczęło rozmarzać. Była przede wszystkim kobietą i kamienna jej wola opuszczając ją zaczęła. On przeczuł tę reakcję, był przy niej blisko, blisko bardzo — jedną ręką objął jej kibić i starał się ją podnieść ku sobie. Była chwila wahania. Małaszka chciała powstać i zrównać się w ten sposób z obejmującym ją mężczyzną — ale przed jej oczyma mignęło, jak błyskawica szare światło zimowego poranka, a na tym tle zarysowała się niewyraźnie ona sama klęcząca u kolan hrabiego. On klęknąć przed nią musi, wtedy ona nie stawi oporu, podniesie go łaskawie ku sobie i poda mu usta do pocałunku. Siedziała więc

ciągle, ale ręce jej nerwowym ruchem oplotły szyję hrabiego. Silne i muskularne jej dłonie zaczęły giąć ku ziemi wysoką postać mężczyzny — on wpatrzony w te zielone oczy, olśniony białością nagiego biustu, bezwiednie prawie ugiął kolana.

Klęknął nie przed chłopką, ale przed czarownicie piękną kobietą, w której widział urok i niepospolitą harmonię, jaką mało która ze strojnych dam poszczycić się może.

Był u jej stóp.

Prosił o naznaczenie schadzki — on prosił!

Nie chciała być dłużej okrutną — osiągnęła swój cel, opór dłuższy nie miał racji bytu.

Pochyliła się ku niemu i wilgotnymi usty szepnęła:

— Jutro o zmroku... wieczorem, w zielonym pokoju...

Zielony pokój — była to niewielka izdebka na facjatce, którą wytapetowano, przystrojono i przygotowano dla pana Lawdańskiego.

Pan Lawdański nie przybył jeszcze ze wsi — niechętnie rozstawał się z tuzinem młodyc, których był kolejno szczęściem i osłoda — pokój więc był próżny. Małaszka wiedziała o tym aż nadto dobrze.

Naznaczyła tam schadzkę, bo za dom oddalać się na długo nie mogła.
Hrabia uśmiechnął się i powstał. — Skinieniem głowy obiecał przyjście
— usunął się na bok i czekał powrotu hrabiny, która też niebawem weszła,
niosąc kryształowy flakon napełniony do połowy octem.
Potrzeba trzeźwienia dziecka okazała się zbyt duża.
Marianek spał w swej kołysce, ukrywając nos w mięciuchne poduszki.
Hrabina odeszła uspokojona, w ślad za nią pośpieszył hrabia.
Małuszka została sama.

Za pomocą bicia i szczypania udało się jej rozkrzyknąć dziecko, a tym samym ściągnąć hrabiego w nocy i okazać mu się w całej pełni wdzięku i młodości. Instynktem odgadła, że jest stokrotnie piękniejsza z obnażoną szyją, jak w haftowanej koszuli.

Uśmiecha się więc teraz z zadowoleniem i ruchem leniwej kotki zabiera się do spoczynku.

Po chwili zasypia, a we śnie jeszcze widzi hrabiego u stóp swoich, wśród porzucanych zabawek, tuż obok pajaca w czerwonej bluzce.

Widzi we śnie jak najdokładniej twarzyczkę pajaca wykrzywioną, ironicznie uśmiechniętą. Nagle te rysy przemieniają się w dawniej jej znane, nawet dobrze znane. Postać pajaca rośnie, olbrzymieje — czerwona bluzka zamienia się na pasową kurtkę ze złotą blachą u rękawa. Zamiast błazeńskiego kołpaka, widnieje dżokejska czapka, a spod niej wysuwają się czarne gęste włosy. Ciemne oczy patrzą ponuro, smutno na leżącą kobietę.

I w bladym świetle lampy pajac podnosi się z miękkiego kobierca i staje nagle przed nią, grożąc, szepcząc jakieś niezrozumiałe słowa. Twarz ma mściwą, nieubłaganą, jedną rękę kładzie na piersi kobiety. Ręka ta ją dusi, tłoczy ku ziemi, gniecie... Rada by pozbyć się tego okropnego ciężaru, ale zagięte palce wpijają się w jej ciało. Czuje ból straszny, dotkliwy.

Nagle krzyk wyrывa się z jej ściśniętego gardła. Poznała go!

Poznała to senne widzenie, te oczy ciemne chmurne, te włosy czarne i tę dżokejską kurtkę.

To Julek — to jej mąż.

Dobywa wszystkich sił — zrywa się, otwierając oczy.

Wszystko znikło.

Lampa zgasła, a wschodzące słońce zagląda ciekawie przez białe story. W kołysce śpi Marianek, a na

Dodaj do ulubionych

ziemi drzemią zabawki, fotelik i mały tekturowy pajac w czerwonej bluzie.

Ani śladu dżokeja z herbową blachą na ramieniu.

Małaszka siedząc na łóżku uspokaja się powoli. Taki głupi sen!

Przestraszyła się jednak naprawdę, dotąd jeszcze plecy pokrywają krople potu, a twarz ma bladą, bardzo bladą. Dziwna rzecz! Skąd stanął przed nią ten człowiek, którego zostawiła tak daleko, w pustej chacie pod bramą, i o którym nie myślała nigdy? Czego on chciał od niej wśród tej jasnej pańskiej komnaty?

Nie trzeba myśleć o nim! I zaczyna przypominać sobie wypadki tej nocy. Uśmiech powraca na jej usta, schadzka w zielonym pokoju do reszty rozprasza trwogę.

Pójdzie na nią, pójdzie z pewnością.

Ale Marianek może krzyczeć podczas jej nieobecności.

Hrabina posłyszysz, przyjdzie i spostrzeże.

Nie domyśli się, gdzie pójść mogła; ale mamce pod utratą służby nie wolno oddalać się od dziecka.

Siedzi więc i myśli. Nagle zrywa się uradowana.

Wyborny sposób przyszedł jej do głowy.

— Marianek będzie spał jak kamień, i nie zapłacze ani razu.

Ściemniło się już prawie, gdy z kamienicy zajmowanej przez rodziców Marianka, wybiegła Małaszka, kryjąc coś pod wełnianą chustką, narzuconą na ramiona. Obejrzała się dokoła i stała przez chwilę, jakby przypominając coś sobie; nagle zwróciła się na prawo i biegła szybko wzdłuż ulicy. Na rogu mignęła wielka latarnia z kolorowymi szybami. Oświetlone wewnątrz pozwoliło czytać napis: „Skład piwa i wódek”.

Małaszka nie umiała czytać, ale chłopskie jej powonienie odgadło szynk i przeczuło wódkę. Za chwilę stanęła przed szynkwasem, podając niewielką butelkę, i cichym głosem rozkazała nalać w nią miarkę jak najmocniejszej wódki i uciekła szybko, nie oglądając się poza siebie.

Wróciła do domu i wdrapała się na wschody.

Gdy weszła do dziecinnego pokoju, była dziwnie pomieszana. Nie rozumiała jednak swego pomieszania. Nie chciała przecież zrobić nic złego.

Pragnęła iść na wyznaczoną schadzkę, a tu dziecko krzykiem swoim mogło odkryć jej nieobecność. Trzeba je uspić. Nieraz przecież widziała, jak gospodynie na wsi usypiały krzykliwe dzieci. Dawwały im trochę wódki, a bębny potem spały jak zabite w swych plecionych kołyskach. Ona też da dziecku kilka kropel wódki, która szkodzić nie może, owszem pomoże. Jeśli dziecko ma choć jakikolwiek zaród choroby—to wódka ten zaród w nim struje. Tak rozumując, bierze na kolana dziecko, a drugą ręką sięga po przyniesiony trunek. Marianek się wzbrania, jakby przeczuciem wiedziony wrywa się z kolan mamki i konwulsyjnie rzuca się całym ciałem. Małuszka usiłuje wlać mu trochę palącego napoju w ściśnięte usta. Przychodzi jej to z trudnością — Marianek zasłania usta rączkami i gwałtownymi ruchami rozlewa wódkę po batystowej koszulce. Małuszkę ogarnia wielka niecierpliwość — w ten sposób nie skończy nigdy. Ściemnia się coraz bardziej — spóźni się. Kto wie, może hrabia czeka, a znudzony odejdzie.

Pragnienie nasycenia swej próżności a wreszcie i żądzy zmysłowej, rozpala jej krew, drży cała z gniewu i gorączki.

Mocno przyciska krzyczące dziecko i jedną ręką ściskając mu nosek, wlewa po kropli usypiający napój. Dziecko się krztusi i łyka palącą wodę, oczy łzami

zaszłe obraca na twarz swej opiekunki — ona bezprzytomna, z zaciśniętymi ustami, nie zważa nawet, jaką dozę wlewa trucizny. Ona wie tylko tyle, że tam na górze, w zielonym pokoju, czeka na nią hrabia, a opóźnienie stać się może dla niej zgubą. Na koniec zabrakło wódki — dziecko leży ciche, z popalonymi ustami i powoli przymyka powieki. Od czasu do czasu jęk cichy, stłumiony, wydiera się z tej malutkiej słabej piersi.

Małuszka kładzie dziecko do kołyski i chwilę słucha. Dziecko zdaje się zasypiać. Przykrywa je kołderką i chowa flaszkę od wódki pod łóżko. Nic już nie stoi na przeszkodzie — może biegnąć do niego.

Wysuwa się po ciemku i na palcach przebiega długi korytarz. Ładna lampa z matową banią oświetla białe ściany i złote szlaczki.

Małaszka przesuwa się jak cień, zaciskając wkoło nóg swą czerwoną spódnicę, bo się obawia najlżejszego szelestu. Serce bije jej gwałtownie, gniewają to—bo się jej zdaje, że nawet to bicie serca zdradzić ją może. Przechodząc zaczepia o jeden z wielkich wazonów stojących koło lustra i omal nie przewróciła go.

Przestraszyła się bardzo i przyśpieszyła kroku.

Na kurytarzu nie było nikogo. Również na wąskich wschodach, prowadzących na facjatkę.

Za chwilę Małaszka była pode drzwiami zielonego pokoju. Ujęła klamkę i tak stała czas jakiś niepewna i wahająca. Na koniec przemogła nieznanego wzruszenie, które ją ogarnęło. Otworzyła drzwi i wsunęła się do pokoju. Nie było nikogo.

Dokoła cicho, pusto, ciemno.

Stała tak tuż przy progu i zaczęła... czekać.

Na niebie zaiskrzyły się miliardy gwiazd i świeciły przez otwarte okno.

Małaszka mimo woli skierowała wzrok swój ku tym drżącym diamentom i patrzyła

długo, długo bardzo. Na pobliskim zegarze biły kwadranse, godziny i półgodziny — czas leciał na skrzydłach nocy, ona czekała ciągle, stojąc u progu i wpatrując się w gwiazdy.

Powoli jakiś smutek, jakieś zniechęcenie ogarniać ją poczęło. Doznała tego samego uczucia, jakie ścisnęło jej serce, gdy zimowego ranka szereg karet przesuwał się z wolna przed jej chatą i zniknął na zakręcie drogi.

Ten bunt, jaki zadawała swemu sercu, pragnąc zmusić hrabiego do ukorzenia się przed jej próżnością i pychą, mścił się na niej w okropny sposób.

W tej chwili nie była istotą, pożądaną hrabiego dla cienkiego surduta i woni Jockey-clubu, była przede wszystkim kobietą, która kochała, nie zdając sobie już dokładnie sprawy ze swoich czynności. To, co brała li tylko za chęć nasycenia swej dumy, miało głębszą podstawę. Chciałaby zniknąć teraz w jednym uścisku, w jednej minucie zadowolnić to, czego brakło jej życiu całemu!

A teraz w głębi swej duszy uczuła dziwne ciśnienie wewnątrz, bezbrzeżny smutek.

Czekała, a on nie przychodził. Zapomniał, a może miał inną, miłszą schadzki i jaką wielką, uczoną damę.

Okno pokoju wychodziło na ogrody otaczające ulicę. Gwar miasta nie dolatywał do uszu zgnębionej kobiety.

Było to morze ciemności ta noc, która rozpościerała swoje cienie.

W cieniach tych zasypiał świat. Świat usypiał tej nocy, a w kamiennej piersi Małaszki budziło się serce.

Dwie łzy spłynęły z jej oczu.

Płakała długo drżąc na całym ciele. Zrozumiała swą nicość, czuła, że nie samą pięknnością ciała można skłonić mężczyznę do pożądania kobiety.

Myśli głucho pracowały w jej głowie, była zanadto pogrążona w ciemności umysłowej, aby mogła od razu sfor-

mułować, czego jej brak właściwie. Czuła to jednak. Powstało w niej uczucie wielkiej zazdrości do tych pań, które tak pięknie mówić umieją, nie zazdrościła im haftowanych parasolek lub jedwabnych dolmanów — ona chętnie byłaby oddała teraz białość ramion swoich i czar oczu zielonych za możliwość wysłowienia się tak, jak te panie mówiły do siebie w salonie. Widziała się niczym, straciła nadzieję i płakała.

Północ wybiła głośno, dźwięcznie, śmiało.

Małaszka machinalnie zwróciła się ku drzwiom, i chwiejąc się, zeszła po wschodach.

Miała oczy łez pełne i serce ściśnięte głębokim żalem.

Na kurytarzu zastała całą służbę w przerażeniu wielkim.

Biegano, szeptano i potracano się wzajemnie.

Małaszka przecuciem wiedziona zatrzymała się nagle.

Ale było już za późno, spostrzeżono ją.

— Jest, jest!... — wołano ze wszystkich stron.

Z otwartych drzwi dziecinnego pokoju dolatywał gwar kilkunastu głosów.

— Sprowadźcie ją... — wołał jakiś mężczyzna z siwą brodą, wychodząc na kurytarz.

I za chwilę Małaszka potracana, popychana, na wpół nieprzytomna, znalazła się w pokoju Maniusia.

Z początku nic dostrzec, nic rozróżnić nie mogła. Widziała tylko mnóstwo osób pochylonych nad kołyską dziecka — słyszała gwar i łkania kobiece, łkania spazmatyczne, bolesne, okropne...

Gdy jednak ten sam siwowłosy mężczyzna wzięwszy ją za rękę przyprowadził przed kołyskę, zrozumiała całą prawdę i zakrywszy oczy, osunęła się prawie martwa na kolana.

W kołysce leżał Maniusz bezprzytomny, sztywny.

Na białych wargach widniała piana, a z piersi wyrywały się chrapliwe dźwięki. Zieloność trupa pokrywała to nieszczęsne dziecko, wijące się w mękach powolnego konania. Nadmiar wódki spalił wnętrzności nieprzyzwyczajonego do podobnych eksperymentów chłopca. Delikatny organizm niemowlęcia nie mógł przenieść tej trucizny — mimo starań lekarzy, było za późno. Dziecię konało.

Tuż przy kołysce klęczała szalona z rozpaczyny hrabina...

Wpatrzona w twarz umierającego dziecka, łamała ręce i łkała gwałtownie. Czepiała się doktorów, błagając o ratunek, robiąc im wyrzuty za ich powolność i nieumiejętność.

Ta kobieta w dziecku tym traciła wszystko, świat cały. Nie kochała nic i nikogo prócz syna swego — wiedziała, że mąż poślubił ją dla jej posagu — na dziecko przelała całą potrzebę kochania, jaka istnieje w sercu każdej kobiety. Dziś jedyne jej ukochanie kona, otrute przez jakąś nędznicę, otrute w niepojętym dla nikogo celu, otrute prostą wódką, której ostrą woń wydaje cieniuchna bielizna biednej dzieciny.

— Ratujcie! ach, ratujcie!... — jęczy nieszczęśliwa matka, włócząc się u nóg doktora.

Dziecko otwiera oczy i spogląda w górę. Wzrok jego błądzi przez chwilę po białym suficie i zatrzymuje się na błękitnej lampie, zawieszanej u stropu. Gdy było zdrowe, wyciągało zawsze rączki ku temu łagodnemu światłu i pragnęło pochwycić przejrzyste niebieskie szkło — i teraz wyciąga rączki, i teraz patrzy na lampę, ale po chwili rączki opadają, a oczy nieruchome, martwe, zasłania cień szary i rozszerza je bezmiernie. Ciche westchnienie wyrywa się z piersi, Marianek nie żyje...

U stóp klęczą dwie kobiety. Jedna — matka, łkająca głośno i buntem swej rozpaczyny napełniająca

powietrze, druga — bezwiedna, zabójczym zasłaniająca twarz drżącymi rękami.

Ciemnota umysłu, szalona pycha, a na koniec namiętność, słały tej kobiecie drogę trupami.

Była u szczytu szczęścia —jedna noc zepchnęła ją w przepaść nędzy i występku.

Wewnątrz chaty ciemno było.

Julek chodził miarowym krokiem, kołysząc na rękach urojone dziecko. Chata, niezamiatana, nieczyszczona, okropny przedstawiała widok. Wariat w przystępie swego szaleństwa darł wszystką odzież na pieluszki dla nieistniejącego dziecka. Miał na sobie tylko brudną okropną koszulę i resztki płóciennych spodni, przepasanych kawałkiem postronka.

Na dworze deszcz padał i wiatr dął niemiłosiernie. Drzewa szumiały, kłoniąc się ku ziemi, a przez wybite szyby wpadał zimny wichur, świszcząc i gospodarując po ciemnej chałupie.

Wariat chodził ciągle, pomrukując i nucąc jakieś piosenki. Nie było w nich melodii, ale rytm, dopomagający mu do stawiania równych, miarowych kroków.

Na wsi ludzie spali po trudach i pracy całodziennej, a rzeki błota płynęły drogą, wijącą się wśród chat. Ponad chatami gałęzie drzew niewyraźnie rysowały się jak olbrzymie ramiona. Drogą koło chat szła spiesznie jakaś kobieta, kryjąc się i oglądając, jakby dążąc na jakąś schadzkę. Była okryta wełnianą chustką, a w ręku niosła niewielkie zawiniątko. Deszcz zmoczył nielitościwie całą jej odzież, włosy przylegały w mokrych pasmach dokoła skroni — szła schylona, zgarbiona, zmęczona jakaś. Od czasu do czasu podnosiła wielkie zielone oczy i starała się przejrzeć wśród ciemności,

które ją otaczały. Błoto było tak gęste, że lakierowane buty przylegały do niego.

Doszedłszy do chaty stojącej koło bramy, zatrzymała się.

Nie widząc światła w oknach, zawahała się chwilę.

Wiatr dął z coraz większą gwałtownością — deszcz lał strumieniami. Na koniec otworzyła drzwi i weszła do chaty niepewna, dziwnie zaniepokojona... Wśród ciemności, panującej w izbie, doleciały ją kroki nóg i monotonne mruczenie.

— Sieroto moja! — mówił wariat, chodząc po izbie. Nie śmiała się jednak odezwać, bała się, bo jakkolwiek głos Julka pieścił dziecko, jednak brzmiała tam nuta ostra, przykra, jakaś groźna nawet. Stała więc tak przytulona do ściany, bez tchu i myśli. Wiedziała, że ją spotka jakieś nieszczęście, czekała nań cierpliwie.

Od chwili śmierci małego Marianka doznała tyle ciosów i upokorzeń, że zaczynała obojętnieć na wszystko. Powróciła do chaty, boją państwo wypędzili, każąc sobie dziękować, że nie dają jej uwięzić za otrucie dziecka.

Wśród naigrywań i drwin służby odstawiono ją na kolej, zapłaciwszy jej miejsce III klasy, do rodzinnej wioski. Z całej świetności dozwolono zabrać czerwoną jedwabną spódnicę, i ten skarb przywiozła ona do swej chaty, w małym zawiniątku trzymanym w ręku. Było to wszystko, co się jej zostało... jedyna pamiątka bezpowrotnej przeszłości, świadek triumfów i hołdów, odbieranych pod zielonymi drzewami miejskiego parku.

Kochała tę spódnicę i ceniła ją jak relikwię.

Kto wie? Może jeszcze kiedyś dostanie się do miasta, włoży wtedy jedwabie i zaszeleści nimi... Trzyma więc w ręku to jedyne bogactwo swoje i słucha piosenki i słów wariata.

Nie rozumie go dobrze — wie, że nosi po izbie dziecko i usypia je, ale dlaczego w chacie ciemno, dlaczego wiatr tak smutno jęczy, wpadając do wnętrza przez wybite szyby?

Na koniec Julek zbliża się do kołyski — zapewne ułożył dziecko na posłaniu, bo porusza czas jakiś plecioną kolebką i uspokaja dziecinę. Potem podnosi szmaty z ziemi i wychodzi.

Przestępując próg, dotknął z lekka Małaszke, ale nie zważał na to — spieszył nad staw, prać wśród deszczu i wichru podarte łachmany. Dla tego człowieka była wieczna noc w umyśle i wieczna noc dokoła.

Ciemność nie przstraszała go.

W chacie została sama Małaszka.

Odetchnęła i złożywszy zawiniątko, zbliżyła się do kolebki.

Machinalnie wyciągnęła ręce.

W kołysce nie znalazła nikogo. Nieokreślony przestрах ścisnął jej serce.

Gdzież jej dziecko, które przed chwilą Julek kładł do kolebki.

Co to jest? Czyż on zabrał dziecię ze sobą, wychodząc z chaty? Nie — przypomina sobie, że niósł tylko pęk łachmanów w spuszczonej ręce, drugą przyciskał do skroni. Widziała to wśród ciemności panującej w chacie.

Przechodził koło niej tak blisko, że prawie czuła jego ciężki, gorący oddech... Dziecię już powinno być duże — dwuletnie. Gdzież ono? Gdzież to dziecko, które porzuciła owej pamiętnej nocy?

W kominie tliły się jeszcze iskry pod popiołem — znalazła kawałki łuczywa, rozdmuchała ogień i oświetliła izbę.

Miły Boże! Jakąż okropną, straszną ruinę ujrzała przed sobą. Brud, kurz, porozrzucane i połamane sprzęty i szmaty, tworzyły trudny do opisanego chaos. Pośrodku pusta kołyska, napchana łachmanami, poruszała się wolno, poważnie jakoś. Kołyska ta była

straszną swą próżnią, czerniała się wśród tej izby, jak wyrzut sumienia pośród ciemnej nocy. Małuszka zdrętwiała. A więc to był jej dom, w którym teraz żyć będzie musiała. Przed jej oczyma przesunął się cały szereg złocistych pokoi, miękkich kanap, błękitnych lamp — słowem, ten eden, z którego ją tak sromotnie wypędzono. Tam dostatek, woń, przepych — tu brud, nędza, zgnilizna dokoła! Uczuła się strasznie nieszczęśliwą — zdawało się jej, że spadła w przepaść okropną, bezdenną przepaść.

Nagle drzwi chaty skrzypnęły. Przy blasku płonącego łuczywa Małuszka poznała Julka, który stanął na progu.

Deszcz przestał padać, tylko wicher grał z szaloną dzikością. Wariat miał smutną znękaną postać i postąpił bezmyślnie kilka kroków.

Złożono ich kości do jednej sosnowej trumny i pogrzebano obok Stepanka.

Leżą tam we troje i śpią cicho, a tylko wicher jęczy nad ich mogiłą, a brzoza szumi... taj płacze...